

Patt Bucheister

Ogień i lód

Papierowy samolocik wzbił się wdzięcznie w powietrze, aby zaraz wylądować na piersi mężczyzny, wchodzącego właśnie do pokoju.

To była rzecz, jakiej najmniej spodziewał się John Zachary, kiedy otwierał drzwi swego gabinetu. Schylił się i podniósł przedmiot, który upadł u jego stóp. Przyjrzał mu się i na pogiętym kadłubie zauważył fragmenty nagłówka swego papieru firmowego. Rozglądając się wokół, spostrzegł, że samolot, który go uderzył, nie był jedynym, jaki wystartował. Papierowe samoloty pokrywały jego biurko, dywan, szklany stolik do kawy.

Rzeczą jeszcze dziwniejszą niż jego biurowa galanteria papiernicza, fruująca po pokoju, był widok kształtnego damskiego siedzenia, wystającego spod jednego ze stołów. Widocznie właścicielka na czworakach szukała rozbitego samolotu. Niestety, ograniczone pole widzenia nie pozwalało mu rozszyfrować jej tożsamości. Był dostatecznie zaintrygowany tym, co widział, aby chcieć ujrzeć resztę. Jej ruchy, które sprawiły, że czerwona spódniczka ciasno opinała ponętne zaokrąglenia, pobudzały jego wyobraźnię.

Nie miał najmniejszego pojęcia, kim była kobieta, ale zidentyfikowanie drugiej osoby, odpowiedzialnej za zamieszanie w jego gabinecie, nie stanowiło problemu. Małe dziecko, siedzące na szarym pluszowym dywanie koło jego biurka, okazało się jego trzyletnią córeczką, Amy.

Miał właśnie zapytać Amy, dlaczego znalazła się u niego w gabinecie, ale powstrzymał go dziwny dźwięk. Śmiała się. Spoglądała na niego zadzierając główkę do góry, a ręką zakrywała usta, jakby śmianie się w obecności ojca było czymś,

co należało ukryć. Po raz pierwszy od trzech dni widział u małej jakąkolwiek oznakę rozbawienia. Nie mógłby się gniewać nawet o setkę trafiających go papierowych samolocików, jeśli dzięki temu znowu potrafiła się śmiać.

Kobieta pod stołem najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

- Będziemy musiały zrobić nowy pojazd gwiazdny "Enterprise", Amy - powiedziała. Ten ma rozbity przód.

- W porządku. Mogę go zrobić.

Amy zebrała pomięty papier na kolana. Koniuszek języka ukazał się między wargami - skoncentrowała się, żeby złożyć następny samolot. John zauważył, że jedwabiste włosy dziecka zostały niedbale splecione przez panią Hamish w dwa warkocze. Kiedy odbierał Amy z lotniska, jej jasną główkę zdobiła kunsztowna plecionka, ale ta fryzura okazała się zbyt pracochłonna dla starszej pani, którą zatrudnił, aby opiekowała się małą w ciągu dnia. Pomyślał wtedy, że tamto uczesanie było dla niej za poważne, ale to nie wyglądało wiele lepiej. Ubranie Amy też wydawało się nieodpowiednie dla dziecka. Wszystkie sukienki, mieszczące się w dwóch walizkach, które przybyły wraz z nią, były podobne do tej, jaką miała na sobie dzisiaj: różowej, przybranej masą szczypanek i metrami koronki. Drogie, uroczyście i wyszukane. Dokładnie jak jego była żona.

John usłyszał ożywienie w głosie córki i zdziwił się zmianą, jaka w niej zaszła. Od czasu, kiedy trzy dni temu jego była żona faktycznie przekazała mu córkę, dziecko rzadko się odzywało. Spodziewał się, że Amy będzie potrzebowała czasu, żeby przystosować się do nagłej zmiany w swoim życiu, ale przykro było widzieć ją tak spokojną i zamkniętą w sobie. Chociaż raczej nie był ekspertem, jeśli chodzi o dzieci, jej zachowanie nie wydawało mu się normalne. Nie miał najmniejszego pojęcia, co

robiła w jego gabinecie, ale był zadowolony, że słyszy jej śmiech i widzi, jak się bawi, zamiast siedzieć bezmyślnie zapatrzona w przestrzeń.

Zastanawiał się, jakich czarów użyła owa kobieta o uroczej pupie.

Zamykając za sobą drzwi, zapytał:

- Czy można pomóc?

Dało się słyszeć nagłe stuknięcie. Ubrana na czerwono kobieta uderzyła głową w stół. Wydała okrzyk bólu, a parę sekund później wysliznęła się spod stołu i przysiadłszy na piętach pocierała tył głowy, patrząc na niego ponuro.

Lauren McLean opuściła rękę. To oczywiście on, pomyślała. To nie jego sekretarka zastała ją czołgającą się po podłodze, tylko John Zachary we własnej osobie. Dlaczego spośród wszystkich ludzi w Norfolk to musiał być on? Odpowiedziała sobie na własne pytanie: Bo to był jego gabinet.

Sama miała ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, a on przerastał ją o dobre piętnaście centymetrów. Ale w tej chwili, kiedy tak stał nad nią z wyrazem zmieszania w ciemnych oczach, wydawał się jeszcze wyższy. Jego włosy, oczy, garnitur i krawat, wszystko było koloru ciemnej kawy. Zwykle dokładnie jak w tej chwili - jego rysy wyglądały jak wykute z granitu. Był mężczyzną, który rzadko się uśmiechał, chociaż w jego oczach czasami ukazywało się rozbawienie. Jego powierzchowność nie zdradzała całej jego osobowości. Właściwa mu pewność siebie, aczkolwiek pozbawiona arogancji, sprawiała, że bijące od niego poczucie władzy i autorytet były tak naturalne jak oddychanie. Pracując z nim, Lauren mogła stwierdzić, że postępował surowo, ale uczciwie. Uważał, że najlepiej zatrudniać ludzi, którzy są najlepsi w swojej robocie, a potem pozwolić im ją samodzielnie wykonywać.

Uśmiechnęła się słabo do niego.

- Dzień dobry, panie Zachary.

Jego oczy zwięzły się, kiedy się jej przyglądał..

- Mac?

Jakie to miłe, pomyślała. Nie był nawet pewien, kim ona jest. Czując się śmiesznie na podłodze, wstała. Przydałoby się w tych okolicznościach nieco godności i odpowiednich form, choćby trochę spóźnionych. Czołganie się w kółko po podłodze nie było tym obrazem kompetentnej pracowniczki, jaki najbardziej chciałaby przedstawić swemu pracodawcy. Przecież była tylko małą płotką w przedsiębiorstwie należącym do Johna Zachary'ego.

- W rzeczywistości - powiedziała - na imię mi Lauren. "Mac" zawsze brzmiało dla mnie jak buldog albo jak ciężarówka, ale nigdy nie miałam wyboru. To przezwisko, jakie mi przypięto, i to na całe życie.

John zamrugnął zdziwiony.

- Proszę mi wybaczyć, że pani nie poznałem. Nie przypominam sobie, że bym wcześniej oglądał panią od tej drugiej strony.

Na początku Lauren nie zrozumiała, co miał na myśli. Dopiero kiedy jego spojrzenie przeniosło się na stół, pod którym przed chwilą klęczała, odezwała się chłodno, postanawiając nie okazywać po sobie zmieszania:

- Wybaczam panu. A poza tym mój tył nie jest moją najlepszą stroną.

Jeden kącik jego ust podniósł się do góry.

- Tego bym nie powiedział. Byłem pod wrażeniem.

Lekko się uśmiechnęła, doceniając komplement. Wydawało się, że los dał jej prezent urodzinowy, spełniając jedno z jej marzeń. Nigdy dotąd nie widziała, żeby John się uśmiechał, a

już na pewno nie do niej. Zaświtało jej to w głowie, kiedy przyglądała się jego ustom, więc odwróciła wzrok.

Dół jej lnianej sukienki pogniótł się w czasie wycieczki pod stół. Kilka razy przejechała dłońmi po materiale, zastanawiając się jednocześnie, w jaki sposób zręcznie dokonać odwrotu. Spojrzenie Johna śledziło ruchy jej rąk i zdziwiło go własne podniecenie. Taki zwykły, codzienny gest z jej strony wystarczył, żeby zaczął sobie wyobrażać jej ręce wędrujące po jego ciele ruchem, jakim wygładzała własną spódniczkę. Odwrócił wzrok.

Uważnie stąpając pomiędzy licznymi papierowymi samolocikami rozrzuconymi po dywanie, podszedł do swego biurka i położył na nim teczkę. Spojrzał na córkę.

- Cześć, Amy.

Jak zwykle, dziecko wlepiło w niego wzrok, nie odzywając się. Zdusił w sobie dobrze już znane rozczarowanie, usiadł na brzegu biurka, zakładając ręce na piersi. Jego ciemne spojrzenie ponownie powędrowało w stronę Lauren.

Była wysoka i smukła, miała popielatoblond, błyszczące włosy i gładką, opaloną skórę. Ale to jej wyraziste, jasnobrązowe oczy zaintrygowały go i przykuły jego uwagę. Miała najbardziej żywe oczy, jakie kiedykolwiek widział. Dziwne, że nie zauważył jej przedtem. A może to nie było takie dziwne? W końcu widywał ją tylko wczasie zebrań, dotyczących umów, i czasem w kawiarni na dole. Zawsze była oficjalna w stosunku do niego. Zauważył, że z innymi potrafiła śmiać się i żartować, ale nie z nim. Z nim nigdy. Była grzeczna, ale z dystansem, i odnosił wrażenie, że nie przejmowała się nim.

Świadomość tego zraniła jego dumę, zwłaszcza że wydała mu się intrygująca. Było w niej coś, co przyciągało go jak niewidzialna siła. Jakiś dziwny powab przykuwał do niej wzrok,

kiedy tylko ją widział. Niestety, wyglądało na to, że ona nie odczuwała tego samego.

Skierował swą uwagę na najpilniejszą sprawę. - Zastanawiam się, dlaczego zaniienila pani mój gabinet w lotnisko.

- Robienie papierowych samolotów było jedyną rzeczą, jaką mogłam wymyślić, żeby zabawić pańską córkę. Rozejrzała się wokół. - Pański gabinet jest bardzo elegancki i wygląda profesjonalnie, ale nie ma tu zbyt wielu rzeczy, którymi mogłoby bawić się dziecko.

Wydało mu się, że usłyszał nutkę krytyki i był rozbawiony.

- Może to dziwne, ale jak dotąd nie stanowiło to problemu. Może inaczej sformułuję pytanie. Dlaczego jest pani tutaj z Amy? Powinna być w domu z opiekunką.

Lauren założyła za ucho kosmyk swoich długich do ramion włosów.

- Czy opiekunka jest kobietą mego wzrostu O kasztanowych, krótkich włosach, jakby obciętych tępymi nożyczkami, która mówi jak karabin maszynowy?

Ten opis, chociaż oryginalny, jak ulał pasował do pani Hamish. Przytaknął.

- Gdzie pani widziała panią Hamish?

- Wracalam z lunchu, kiedy jakaś kobieta zatrzymała mnie przy wejściu do budynku. Zapytała, czy pana znam, a ja powiedziałam, że wiem, kim pan jest. Wtedy w mgnieniu oka wypchnęła Amy przed siebie i powiedziała mi, że szła do pana. Mam panu powiedzieć, że zdarzył się jakiś nagły wypadek w jej rodzinie w Filadelfii. A może w Pittsburghu? Wzruszyła ramionami. - Przypuszczam, że to nie ma znaczenia. Tak czy inaczej tyle mi powiedziała, zanim wsiadła do czekającej taksówki.

A niech to, zaklął w duchu. Po odejściu pani Hamish nie miał nikogo, kto mógłby zająć się Amy.

Lauren kontynuowała swoje wyjaśnienia.

- Przyprowadziłam tutaj Amy, ale pańska sekretarka powiedziała, że nie ma pana. Nie chciałam, żeby Amy była sama, więc zostałam z nią. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. Jestem za to wdzięczny.

Spojrzał na Amy, która ciągle składała papier na kształt samolotu.

- Wydaje się, że dobrze się bawi. Zwrócił się w stronę Lauren. - Jak to się stało, że pani Hamish wybrała panią, żeby zaopiekowała się pani Amy?

iskierka przekory zamigotała w jej brązowych oczach.

- Byłam jedyną, którą mogła zaczepić. Wszyscy inni wrócili już z lunchu.

John spojrzał w jej błyszczące oczy, potem jego wzrok przesunął się w stronę jej ust.

- Była pani spóźniona?

- No, ale mam wytłumaczenie. Tak jakby wytłumaczenie. Choć jestem pewna, że pan Simpson go nie uzna.

Simpson był szefem wydziału umów. John miał własną opinię na jego temat i nie wygłaszał żadnych komentarzy. Dziewczyna ciągnęła:

- Paru przyjaciół zaprosiło mnie na lunch.

Akurat mam dzisiaj urodziny. Przynieśli tort do restauracji i nie mogłam wyjść, zanim nie zdmuchnęłam wszystkich świeczek.

Ma fascynujące usta, pomyślał John, szczególnie kiedy się uśmiecha. Przesunął wzrok i spojrzał jej w oczy.

- Tak dużo było świeczek do zdmuchnięcia?



- Sporo - powiedziała sucho. - Tak czy inaczej, taki jest powód mojego spóźnienia. Jest pan ostatnią osobą, której bym się do tego przyznała, ale niech pan spojrzy na to z innej strony... Gdyby mnie tam nie było, Ainy mogłaby zostać powierzona wartownikowi zamiast mnie.

- To prawda. Po chwili dodał: - Wszystkiego dobrego w dniu urodzin.

- Dziękuję - mruknęła. Urodziny nie były tematem, który chciałyby roztrząsać właśnie w tej chwili. To były jej dwudzieste dziewiąte urodziny, a to oznaczało, że za rok skończy trzydziestkę. Nie śpieszyło jej się minąć ten kamień milowy.

Zaczęła zbierać pomięte papiery rozrzucone po jego gabinecie.

- Amy, a może pomogłabyś mi pozbierać samolociki, zanim wyjdę? Narobiłyśmy u taty bałaganu. Wyrzucimy rozbite. Jeśli chcesz, zatrzymaj te, które mogą latać.

Amy posłuchała. Z rękami pełnymi samolotów zapytała:

- A nie możemy zrobić jeszcze paru?

Lauren uśmiechnęła się do dziecka.

- Teraz możesz je robić z tatą. Ja muszę wrócić do pracy.

Zauważyła, że Amy spogląda ostrożnie na ojca, nie okazując entuzjazmu wobec perspektywy robienia z nim papierowych samolotów. Lauren ujrzała wyraz czujności w oczach Johna. Nie wyglądał na bardziej uradowanego niż Amy, co kazało jej zastanowić się nad łączącymi ich stosunkami. Ale szybko przypomniała sobie, że to nie jej sprawa.

John także dostrzegł, że jego córka nie okazuje ochoty do wspólnej z nim zabawy.

- Amy - powiedział - możesz jeszcze trochę pobawić się samolotami. Chcę pomówić z Mac.

Lauren to się nie spodobało.

- Naprawdę muszę wracać do pracy, panie Zachary. Nie sędę, żeby pan Simpson był ze mnie w tej chwili szczególnie zadowolony. Pan wie, jaki on jest, jeśli chodzi o punktualność.

- Zajmę się Simpsonem.

- Nie ma potrzeby. Wiedziała, że kierownik jej działu nie będzie zachwycony, jeśli szef zacznie usprawiedliwiać jej nieobecność w pracy. Simpson był bardzo dumny ze swej pozycji i autorytetu, i nie spodobałoby mu się, gdyby jeden z podległych mu pracowników miał jakieś układy ponad jego głową.

- Mac, jest pani spóźniona z powodu mojej córki - stwierdził rozsądnie John. - Minimum, które mogę zrobić, to upewnić się, że zwierzchnik nie będzie pani robił żadnych kłopotów.

- Nie, dziękuję.

Nie mogła powiedzieć swemu pracodawcy, że narobiłby kłopotów, zamiast je rozwiązać. Należałoby zacząć od tego, że pan Simpson nie był jej największym sympatykiem, jako że dostała pracę, którą on obiecał bratu swojej aktualnej dziewczyny. Taka była przynajmniej teoria kilku jej współpracowników, którzy zauważyli otwartą niechęć zwierzchnika wobec niej.

Myśląc o tym, jak bardzo jest już spóźniona, Lauren zdecydowała, że najwyższy czas wyjść. Poza tym taka bliskość Johna Zachary'ego mogła sprawić, że zacznie się na niego gapić jak zakochana gęś. Zanim podeszła do drzwi, pocałowała Amy w policzek.

- Do widzenia, Amy - wyśliznęła się z gabinetu, zdecydowanie zamykając za sobą drzwi.

Uśmiechnęła się do sekretarki Johna, która spojrzała na nią znad przepisywanego listu. Pani Murray bez wątpienia odczuła wielką ulgę, kiedy Lauren zaofiarowała się, że zostanie z Amy.

Ta kompetentna sekretarka była w stanie żonglować terminami niezliczonych spotkań, zmagać się z kilometrami dyktowanego tekstu i znosić wymagającego pracodawcę, ale widok małego dziecka ewidentnie wyprowadził ją z równowagi.

Lauren wyszła z sekretariatu, czyniąc świadomy wysiłek, by nie okazać pośpiechu. Jej obcasy nie robiły żadnego hałasu na korytarzu wyłożonym grubym dywanem, kiedy szła w kierunku windy. Drzwi otwały się, a ona odczuła ulgę, widząc, że nie ma nikogo w środku. Oparła się o ścianę z zamkniętymi oczami i głęboko odetchnęła, starając się uspokoić.

Dziwny jest los, pomyślała. W godzinę po tym, jak zdecydowała położyć kres swoim głupim, romantycznym fantazjom na temat Johna Zachary'ego, została wplątana w sprawę jego córki, a pośrednio i jego. Wcześniej, kiedy wracała z urodzinowego lunchu, postanowiła, że dwudzieste dziewiąte urodziny są bardzo dobrą okazją, żeby ocenić przeszłość i zaplanować przyszłość. Jeśli chodzi o przeszłość, nic już nie mogła zrobić, ale przyszłość zależała od niej. Postanowiła, że da sobie z nią radę.

To śmieszne, żeby zakochać się w mężczyźnie, którego widywała tylko przypadkiem w godzinach pracy. Ich stosunki miały charakter służbowy i nie było wielkich szans, aby uległo to zmianie. Zawsze okazywała mu chłód i podkreślała dystans. Nie chciała dopuścić, aby on lub ktokolwiek inny odgadł, co naprawdę czuła.

Może miał rację jej brat. Powiedział jej, że nigdy nie szukała łatwych dróg, bez względu na to, co robiła. Powiedział, że zawsze pragnęła czegoś nieosiągalnego, jak wtedy, kiedy chciała jabłka z wierzchołka drzewa, zamiast zadowolić się innym, będącym w zasięgu ręki. Wtedy sprawa skończyła się na upadku z drzewa i złamaniu ręki. Tym razem to serce mogło być

złamane.

Jej uczucia do Johna Zachary'ego rosły przez cały ten rok, jaki przepracowała w jego firmie. Jak wszystkie kobiety w tym budynku, ulegała jego urokowi, połączonemu ze spokojną siłą emanującą z jego osobowości. W miarę upływu czasu odkryła, że jej uczucia pogłębiają się, nie ograniczając się już tylko do podziwu dla inteligentnego umysłu i męskiego ciała. Pociąg do niego rósł jak uparty kwiat, pnący się w górę i rozkwitający mimo braku pożywki.

Czuła się jak kompletna idiotka.

Kiedy doszła do budynku Raytech, zajmowanego przez firmę Johna, powiedziała sobie, że już czas zejść z obłoków i stanąć nogami na ziemi. Powinna zapomnieć o swoich nadziejach i jałowych oczekiwaniach, że kiedykolwiek jej stosunki z Johnem Zachary'm nabiorą charakteru bardziej osobistego. To brzmiało rozsądnie i praktycznie.

I wtedy powierzono jej córkę Johna.

Teraz drzwi windy otwarły się, wysiadła na trzecim piętrze. Prostując plecy i zadzierając głowę do góry zastukała do drzwi ozdobionych mosiężną wizytówką z nazwiskiem Richarda Simpsona, umieszczoną na wysokości oczu. Poczowała się do wyjaśnień. Miała nadzieję, że John nie zrealizował swojej zapowiedzi i nie zadzwonił do kierownika jej działu. To by nic nie dało. A poza tym, potrafiła sama się wytłumaczyć.

Dziesięć minut później usiadła przy swoim biurku z uszami ciągle płonącymi po burzliwym przemówieniu Simpsona. W końcu przyjął jej obietnicę, że zostanie po pracy, żeby nadrobić dwie stracone godziny, ale to oznaczało, że wyjedzie na wieś później niż w każdy piątek. Na to już nie było rady.

Przysunęła do siebie umowę. Zanim skoncentrowała się na cyfrach, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i przedstawiła

się, oczekując zwykłej rozmowy w sprawach zawodowych.

John Zachary nie marnował czasu na uprzejmości.

- Mac, proszę przyjść do mego gabinetu.

Lauren otworzyła usta, żeby zapytać, po co, ale połączenie urwało się.

- Myślę, że mówi na serio - mruknęła odwieszając powoli słuchawkę. Wsunęła krzesło zza biurka i westchnęła głęboko. Wyglądało na to, że będzie musiała zostać po pracy jeszcze dłużej, niż myślała.

Kiedy wróciła do gabinetu szefa na najwyższym piętrze, sekretarka Johna wprowadziła ją do niego natychmiast. John zajmował swoje miejsce za biurkiem, a zapłakana Amy siedziała na kanapie. Jak tylko Lauren weszła, Amy podbiegła do niej. Dziewczynka cicho płakała, łzy spływały jej po policzkach. Lauren automatycznie objęła ją i przytuliła, żeby uspokoić, zastanawiając się jednocześnie, na czym polega problem.

Podniosła oczy, aby spotkać spojrzenie Johna zapytała:

- Co się stało?

- Nie wiem - powiedział spokojnie. - Nie mówi nic poza tym, że chce "Lorn" . Widocznie przy tobie czuje się bezpieczna.

Coś w jego głosie sprawiło, że tępo zapytała:

- Czy to pana martwi?

Wytrzymał jej wzrok i dziwny wyraz pojawił się w głębi jego ciemnych oczu.

- Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego ona tak to odczuwa.

Lauren wpatrywała się w niego, dopóki Amy nie odwróciła jej uwagi. Dziewczynka podniosła głowę znad ramion Lauren i zagięła paluszek, pokazując, że ma jej coś do powiedzenia. Lauren słuchała tego, co Amy szeptała jej do ucha.

Odwróciła się do Johna z lekkim uśmiechem.

- Amy potrzebuje ... hm, przypudrować nosk.

- Może skorzystać z mojej prywatnej łazienki - wskazał drzwi po drugiej stronie przestronnego gabinetu.

Lauren zdusiła w sobie chęć do śmiechu. Została wezwana, żeby wysadzić córkę szefa. Cóż, pomyślała, to on płaci jej pensję. O ile wiedziała, zakres obowiązków nie obejmował opieki nad dzieckiem, ale jeśli on chce, żeby zaprowadziła jego córkę do łazienki, zrobi to .

Postawiła Amy na podłodze, wzięła za rączkę i poprowadziła do drzwi wskazanych przez Johna. Zanim weszła do łazienki, obejrzała się na niego. Nie poruszył się. Jego spojrzenie nadal spoczywało na niej i na jego córce, przy czym wyraz jego twarzy był nieprzenikniony. Wprowadziła Amy do pomieszczenia i zamknęła drzwi.

John długo się w nie wpatrywał. Niecierpliwie bębnił palcami po biurku. Gdyby tydzień temu ktoś mu powiedział, że traci coś ważnego w życiu, roześmiałby się. Myślał, że ma wszystko. Jego firma elektroniczna dobrze prosperowała. Mieszkał w Virginia Beach, w olbrzymiej posiadłości nad brzegiem Atlantyku. Miał wielu przyjaciół i zawsze mógł znaleźć chętne kobiety, kiedy był w nastroju i potrzebował damskiego towarzystwa. Nie sądził, by istniała chociaż jedna rzecz, której by potrzebował, a której by jeszcze nie posiadał.

Tak sprawy wyglądały zanim pojawiła się Amy. Była niemowlęciem, kiedy rozwiódł się z Martine. Jego była żona wyjechała do Kaliforni, zabierając ze sobą ich jedyne dziecko, i od tego czasu widział się z Amy tylko dwa razy. Tłumaczył się przed swoją byłą żoną i przed sobą samym, że prowadzenie interesu zajmowało mu zbyt wiele czasu, by lecieć na Zachodnie Wybrzeże na spotkanie z Amy. Po części było to prawdą. Od czasu rozvodu całą energię wkładał w pracę, pragnąc osiągnąć sukces życiowy, który mógłby mu wynagrodzić jego nieudane

małżeństwo. W firmie znajdował satysfakcję, jakiej nie mógł znaleźć gdzie indziej.

Kiedy nachodziło go poczucie winy z powodu braku zainteresowania dla jedyne go dziecka, próbował sam sobie tłumaczyć, że widując się z Amy, mógłby zakłócać jej spokój. Czasami nawet w to wierzył.

Narobił w życiu sporo błędów. Poślubienie kobiety, która zajmowała się swoim wyglądem bardziej niż cokolwiek innym, było tym błędem, którego już nigdy nie popełni. A brak zainteresowania dla własnego dziecka był błędem znacznie poważniejszym, i tego też nie zamierzał powtarzać.

Amy traktowała go jak obcego, bo rzeczywiście był dla niej kimś obcym. Coś musiało zmienić jej postawę wobec niego. Kiedy zobaczył jak Amy reaguje na Lauren McLean, pomyślał, że mógłby znaleźć sposób, żeby tak się stało.

Po drugiej stronie drzwi Lauren oglądała dyrektorską łazienkę. Instalacje były czarne, a ściany białe. Wielkie lustro w czarnej ramie wisiało nad umywalką i stanowiło jedyną dekorację ścian. Nie dostrzegła żadnego osobistego przedmiotu na czarnym, marmurowym blacie obok umywalki. Po jego jednej stronie leżały złożone czarno - białe ręczniki. Zastanawiała się, czy John widział świat w taki właśnie sposób - czarno - biały.

Amy radziła sobie sama, więc Lauren podeszła do umywalki. Myjąc ręce myślała o Johnie Zachary'm i jego córce. Po biurze krążyła plotka, że trzy dni temu stał się ojcem na pełnym etacie. Szczegóły były cokolwiek niejasne, jak przy wielu innych plotkach dotyczących Johna, ale zainteresowanie sięgało zenitu. Powszechnie wiedziano, że był rozwiedziony, ale wydawało się, że plotkarze jak dotąd uronili wiadomość o tym, że miał dziecko. Plotkarski młyn nadrabiał stracony czas

nowinami na temat jego nagłego ojcostwa.

Lauren studiowała swoje odbicie w lustrze, zastanawiając się, jakiego typu kobiety mogły pociągać Johna Zachary'ego. Naturalnie interesowała ją jego była żona. Mimo wszystko, była kobietą, z którą się ożenił... i rozwiódł.

Nachmurzyła się, potrząsając z rozdrażnieniem głową. Ty kretynko, skarciła w duszy swoje odbicie. Cóż to za różnica, jakiego rodzaju kobiety preferował John. W ciągu ostatniego roku nie okazał jej najmniejszego zainteresowania. i nie było żadnego powodu, żeby miało się to zmienić.

Cień żalu pojawił się w jej oczach. Zamrugła parę razy, żeby się otrząsnąć. Rozsądniej byłoby porzucić marzenia. Rzeczywistość była ciut bardziej skomplikowana.

Amy podeszła do niej i stanęła przy umywalce, ale nie mogła jej dosięgnąć. Lauren odkręciła kran i podniosła Amy, trzymając ją w pasie, by ta mogła umyć ręce. Usłyszała grzeczne "dziękuję", kiedy podała dziewczynce ręcznik .

Mała spojrzała na nią i Lauren zauważyła, że jej policzki są nienaturalnie zarumienione.

- Czy dobrze się czujesz, kochanie?

Amy przytaknęła, opuszczając głowę tak nisko, jakby chciała przyjrzeć się swoim bucikom. Lauren złożyła ręcznik. Jej serce zabiło dla dziewczynki. Rozumiała zagubienie Amy i współczuła jej. Pamiętała czasy, kiedy sama wędrowała między rodzicami jak niepotrzebny przedmiot. Ale miała już kilkanaście lat i przynajmniej częściowo mogła zrozumieć, co się dzieje. Amy miała zaledwie trzy lata. W tym wieku powinna interesować się życiem, szczebiotać bez ustanku, zadawać pytania na temat każdej ujranej rzeczy. Tymczasem była uroczysta i poważna, a w jej oczach widać było wyraz czujności.

- Jesteś gotowa, możemy wracać do gabinetu tatusia?



- A możemy zrobić więcej samolotów? - zapytała Amy niepewnym głosem.

- Muszę wracać do mojej pracy, Amy. Pamiętasz, co powiedziałam ci o strasznej ilości papierów.

- Umowy?

- Umowy. Więc właśnie teraz jedna czeka na mnie na biurku, i jeśli nie skończę jej przed upływem pewnego terminu, nie wykonam mojej pracy. Chodźmy do tatusia.

- A mogę iść z tobą? - Głos dziewczynki był spokojny, ale czuło się w nim napięcie. - Będę bardzo grzeczna.

Niezdolna oprzeć się chęci dodania dziecku otuchy, Lauren uklękła przy nim, objęła je i przytuliła.

- Wiem, że byłabyś grzeczna, Amy, ale musisz zostać z tatusiem.

Po chwili Lauren puściła Amy i wyciągnęła rękę. Amy posłusznie wyszła z łazienki. Nie patrząc na ojca, puściła rękę Lauren i wdrapała się na kanapę. Nie spojrzała nawet na dwoje dorosłych, kiedy siadła i oparła ręce na kolanach.

Lauren czuła się rozdarta między pragnieniem złagodzenia rozpaczy dziewczynki a własną chęcią pozostania poza tym wszystkim. Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi, ale John przywołał ją:

- Mac?

- Tak? - z ręką na klamce spojrzała na niego ponad ramieniem.

John nie chciał, żeby wyszła, ale nie mógł polecić jej, by została. Zastanawiał się, co takiego w niej było, że szukał powodów, by ją zatrzymać w swoim gabinecie.

Rozdrażniony jej widoczną chęcią szybkiego uwolnienia się od niego, przemówił znacznie ozięblej, niż zamierzał.

- Dziękuję pani za pomoc. Jeśli będzie pani miała jakies

kłopoty z Simpsonem z powodu nieobecności, proszę mi dać znać.

Chociaż nie miała zamiaru tego robić, skinęła głową i wyszła z gabinetu.

Nie upłynęło pół godziny, a telefon znowu zadzwonił. Tym razem, kiedy John kazał jej wrócić do swego gabinetu, usłyszała płaczącą w głębi Amy.

Lauren po raz trzeci tego dnia pojawiła się w sekretariacie i pani Murray pospiesznie dała jej znać, że powinna od razu wejść do środka. Jak tylko otworzyła drzwi, Amy rzuciła się w jej kierunku. Dziewczynka płakała tak okropnie, że Lauren obawiała się, że może się rozchorować. Usiadła na kanapce z Amy na kolanach, kołysząc ją i próbując uspokoić. Nawet nie pytała dziewczynki, co się stało, poprzestała na głaskaniu jej.

Kiedy spojrzała w kierunku Johna, zobaczyła, że stoi parę metrów dalej i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy przygląda się swojej córce i jej. Zdjął marynarkę, rozluźnił krawat, podwinął rękawy koszuli. Wydawało się, że wraz z marynarką zdjął z siebie ciężar autorytetu.

Stopniowo płacz Amy, mocno przytulonej do Lauren, przechodził w łkanie. Przez materiał sukienki Lauren czuła gorąco policzka wtulonego w jej piersi. Nadal kołysała dziecko i drobne ciało oparte o nią zaczynało się rozluźniać. Minuty upływały i czuła już skurcz w ramionach obejmujących Amy, ale nie zmieniała pozycji.

Po pięciu minutach - a zdawało się, że były to godziny - usłyszała spokojny głos Johna:

- Myślę, że zasnęła.

Lauren ułożyła Amy na kanapie. Delikatnie dotknęła palcami policzków i czoła dziewczynki.

- Jest okropnie rozpalona, panie Zachary. Dobrze by było,

żeby obejrzał ją lekarz. To może być coś poważniejszego niż tylko skutki zdenerwowania.

Wstała z kanapy i ruszyła w kierunku drzwi.

Dokąd pani idzie? - zapytał.

- Z powrotem do biura.

- Jeszcze nie.

Tym razem nie zamierzał pozwolić jej odejść. Podeszedł do biurka i sięgnął po telefon.

- Pani Murray, proszę połączyć mnie z Richardem Simpsonem.

Lauren stanęła przed jego biurkiem.

- Już rozmawiałam z moim zwierzchnikiem, panie Zachary. Pan Simpson zgodził się, abym nadrobiła stracony czas pracy.

Johna zafascynował przez moment błysk złości w jej oczach.

- Mam zamiar powiedzieć Simpsonowi, że nie wróci pani do biura dziś po południu.

Nie chciała, żeby się w to mieszał, choćby miał prawo robić, co mu się żywnie podoba. To była JEGO firma. W jej głosie słyhać było stłumioną wściekłość, kiedy zapytała:

- Dlaczego chce pan to zrobić?

Jego spojrzenie przesunęło się w stronę Amy śpiącej na kanapie.

- Jest coś, o czym chcę z panią porozmawiać. To może zająć trochę czasu.

Rozmowę przełączono i John powiedział jej zwierzchnikowi, że w ciągu tego popołudnia potrzebuje do swojej dyspozycji Lauren McLean. Jeśli Simpson miał jakieś zastrzeżenia, John nie dał mu szansy przedstawienia ich. Odwiesił słuchawkę, jak tylko skończył mówić.

Odsunął krzesło i wstał. Wskazując miejsce naprzeciw biurka, zapytał:

- Dlaczego pani nie siądzie?

- Nie, dziękuję. Naprawdę nie mam czasu, panie Zachary. Mam masę pracy do wykonania.

Wbił w nią swoje ciemne oczy.

- Pracuje pani dla mnie, pamięta pani o tym? Nie chcę odwoływać się do hierarchii, ale zrobię to, jeśli będę musiał. Chcę z panią porozmawiać o Amy.

Lauren przyglądała się, jak podniósł rękę, żeby potrząść kark. Odniosła wrażenie, że nie było mu łatwo wprowadzać ją w swoje sprawy osobiste. Rozumiała go, jej też ten pomysł zupełnie nie przypadł do gustu. Bardziej na miejscu wydawało jej się zachować dystans wobec Johna, niż wplątywać się w jego kłopoty.

- Poznałam Amy zaledwie parę godzin temu. Wiem o niej tylko tyle, że ma trzy lata, i że jest pańską córką. Nie wiem, jak mogłabym panu pomóc.

Zrobił w jej kierunku kilka długich kroków. Spojrzał na nią z powagą:

- Chcę, żeby pani dzisiaj spała u mnie w domu.

2

- Co proszę? - Lauren wbiła w niego wzrok. Kiedy pani Hamish odeszła, zostałem z Amy sam. Mam nadzieję, że mogłaby pani przyjść po pracy do mojego mieszkania i pomóc mi przy niej. To dla mnie nowość być ojcem i, szczerze mówiąc, nie jestem w tym najlepszy. Chciałbym skorzystać z pani pomocy.

- Panie Zachary - zaczęła cierpliwie. - Jestem urzędniczką od umów. Niezameżną i bezdzietną urzędniczką od umów. Dlaczego sądzi pan, że jestem ekspertem od dzieci?

Pomimo spokojnego głosu, był na krawędzi załamania.

- Zdołała pani zbliżyć się do niej w kilka godzin. Mnie się to nie udało w ciągu trzech dni. Kupiłem jej zabawki, ma ich pełen pokój, ale nie zwraca na nie uwagi. Pani pokazała jej, jak robić samoloty z papieru, i świetnie się przy tym bawiła.

- Większość dzieci najlepiej się bawi prostymi rzeczami, zwłaszcza jeśli czują, że poświęca im się uwagę.

W jej głosie słychać było pewną krytykę, ale nie obraził się.

- Próbowałem. W ciągu ostatnich trzech dni naprawdę próbowałem rozmawiać z nią, bawić się i po prostu nie potrafię się do niej zbliżyć. Pani to potrafi. Pani to osiągnęła. i zajęło to pani tylko kilka godzin.

Odwrócił się od niej i stanął przy oknie. Ze wzrokiem utkwionym w panoramę Norfolk, dodał:

- Potrafię załatwiać transakcje warte miliony dolarów, ale trzyletnie dziecko zapędza mnie w kozi róg.

Kiedy tak wyglądał przez okno, Lauren przyjrzała się jego profilowi.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - zapytała po prostu.

- Moja córka i ja jesteśmy sobie obcy. Muszę to w jakiś sposób zmienić. Mogłaby mi pani w tym pomóc. Proszę

zapomnieć, że pracuje pani dla mnie. To nie ma nic wspólnego z pani pracą w Raytech. Proszę mi powiedzieć, co by pani zrobiła na moim miejscu.

- istnieją tony książek z wszelkimi możliwymi radami na temat wychowywania dzieci. istnieją lekarze i specjaliści, i w końcu ludzie doświadczeni, inni rodzice, którzy mogą panu pomóc. Nie mam dostatecznych kwalifikacji, żeby sugerować panu, jak wychowywać córkę.

- Nie mam czasu, żeby czekać na wizytę u specjalisty od dzieci. Kiedy pani Hamish odeszła, zostałem z tym sam. Mam stos książek, które kupiłem w dzień po przybyciu Amy. Ich icktura nie nauczyła mnie przenikliwości, jaką pani posiada. Widziałem, jak pani postępuje z Amy. Nic potrzebuję innych referencji.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Pokusa, żeby zrobić to, o co ją prosił, była silna. Tak samo jak pragnienie, aby poznać go lepiej. W końcu przemówiła:

- Czy mogę o coś zapytać?

Przytaknął.

- Proszę pytać, o co pani tylko zechce. Zagryzła usta, zastanawiając się, czy wypowiedzieć głośno to, co chodziło jej po głowie. istniała wyraźna różnica między dawaniem rad a wtrącaniem się w czyjeś życie osobiste.

John przyglądał się jej. W jej wyrazistych oczach odczytać można było jej wątpliwości i obawy. Wiedział, że przypiera ją do muru, ale był zdesperowany. Ta kobieta znalazła wspólny język z jego córką i możliwe, że była w stanie pomóc mu osiągnąć to samo.

Ponieważ nie odezwała się od razu, ponaglił: - Co chciałaby pani wiedzieć?

Zmarszczyła brwi.

- To, o co chcę zapytać, jest bardzo osobiste, to nie moja sprawa.

- Z mojej winy stało się to pani sprawą. Jeśli pomoże mi to w stosunkach z córką, może pani pytać o wszystko, o co pani chce.

Możliwości były nieograniczone, ale zawężyła pole swoich pytań, stosując się do jego życzenia. - Czy mam rację zakładając, że pańska córka mieszkała z pana była żoną?

Przytaknął.

- Czy pana była żona okazywała panu niechęć w obecności Amy, kiedy przywiozła ją do pana? Pytam z tej przyczyny, że jeśli dziecko słyszało uwagi matki, mogły one mieć wpływ na jego stosunek do pana.

Jego głos stwardniał, kiedy jej odpowiadał.

- Amy przyjechała sama. Matka wsadziła ją do samolotu w San Francisco. Nawet nie wiedziałem, że przyjeżdża, dopóki nie dostałem telefonu od mojej byłej żony na godzinę przed przylotem Amy. Spojrzał na śpiącą córkę. - Kiedy wyszedłem po nią, miała przypiętą do sukienki kartkę, jakby była pakunkiem.

Odwrócił się od niej i Lauren zauważyła błysk złości w jego oczach. Za uważyła też, że jego ręce zacisnęły się w pięści. Nie mogła się zorientować, czy jego złość skierowana była przeciw byłej żonie, czy przeciw przybyciu córki.

- Czy pańska żona powtórnie wyszła za mąż? Potrząsnął głową, jego palce nie rozluźniły się. - Kiedy zadzwoniła, żeby poinformować mnie o przyjeździe Amy, powiedziała mi, że ma kogoś. Odniosłem wrażenie, że Amy jej przeszkadza.

Chociaż kobieta, którą poślubił, interesowała Lauren, nie podjęła tematu, tylko zapytała:

- Od jak dawna jesteście rozwiedzeni?

- Ponad dwa i pół roku.

- Jak Amy reagowała na pana: kiedy odwiedzał ją pan w tym czasie?

Jego ostry ton nie wskazywał, żeby przejmował się tym szczególnym pytaniem.

- Nie widywałem jej tak często, jak powinienem był.

Wiedziała, że wkracza na delikatny teren.

- Nierzadko jedno z rozwiedzionych rodziców albo oboje, przekazują dzieciom własne rozzalenie i złość.

- Nie mam pojęcia, co Martine powiedziała Amy o mnie. Wiem tylko, że się mnie obawia.

- Być może reakcja Amy na pana wynika po prostu stąd, że nie przywykła do mężczyzn w ogóle. Jest pan mężczyzną, a w dodatku obcym. Właściwie nie takie dziwne, że nie czuje się z panem swobodnie.

Podszedł do biurka i położył dłonie na blacie, pochylił się do przodu.

- Nic nie mogę poradzić na to, że jestem mężczyzną. A czy może mi pani zasugerować, w jaki sposób mógłbym zmienić ten drugi fakt?

Żałowała, że zaczęła tę historię, ale jeśli powiedziała A, musiała też powiedzieć B.

- Wiem, że brzmi to banalnie, ale do tego potrzeba czasu. Ma pan Amy dopiero od trzech dni. Niech pan jej da szansę, żeby pana poznała, przyzwyczała się. Nie trzeba jej naciskać ani zmuszać, żeby się panu odwzajemniała. Lepiej, żeby pan dostosowywał się do sytuacji w miarę, jak będzie

się ona rozwijać.

- Dostosowywał się? - powtórzył sceptycznie. Uśmiechnęła się.

- Jak tam z elastycznością i spontanicznością? - jej uśmiech zamarł. - Przepraszam, nie miałam zamiaru żartować. Wiem, że



to nie jest śmieszne. Tego typu sytuacje są ciężkie nawet dla starszych dzieci, które są w stanie zrozumieć, co się dzieje. A dla Amy, która jest taka mała, musi to oznaczać zupełne wybicie z rytmu.

John wyprostował się, przypatrując się jej dokładnie.

- Czy mówi pani z własnego doświadczenia, czy tylko zgaduje?

Lauren rzadko rozmawiała o własnej przeszłości, ale opowiadając mu o okresie, kiedy dorastała, mogła pomóc mu zrozumieć zachowanie Amy.

- Moja matka wychodziła za mąż czterokrotnie. Wędrowałam tam i z powrotem między ojcem i matką odkąd miałam lat czternaście do ukończenia osiemnastu, kiedy to poszłam na uniwersytet. Miałam trzech ojczymów, jedną macochę i wiele przyrodniego rodzeństwa. Brat mieszkał z ojcem, więc widywałam go tylko wtedy, kiedy j:)Osyłano mnie do domu ojca. Częściowo jestem w stanie zrozumieć, co czuje Amy. Zawsze, kiedy odwiedzałam dom ojca, czułam się jak kłopotliwy gość. A kiedy wracałam do domu matki, potrzebowałam czasu, żeby się od nowa przyzwyczaić do jej sposobu bycia. Pamiętam to wrażenie, jakbym była piłeczką ping - pongową, odbijaną tam i z powrotem między dwoma przeciwnikami, a od czasu do czasu lądującą poza polem gry, i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę miała kontakt z którymś z rodziców.

John obszedł naokoło biurko i stanął przed nią.

Położył dłonie na jej ramionach, a gest ten zaskoczył ich oboje.

- Poprosiłem panią o pomoc, zanim dowiedziałem się o pani dzieciństwie. Nic z tego, co mi pan powiedziała, nie może zmienić mojej decyzji. Jest pani przygotowana lepiej niż

ktokolwiek kogo znam. Proszę panią o wiele, ale jestem w rozpacz. Ponieważ moja gosposia odeszła, Amy jest zdana wyłącznie na mnie. Chciałbym, żeby spędziła pani z nami trochę czasu, żeby była pani czymś w rodzaju bufora pomiędzy mną a Amy. Dobrze się czuje w pani towarzystwie. Może przyglądając się, jak pani sobie z nią radzi, nauczę się, jak z nią postępować.

Jej serce biło szybko. Jego dotknięcie przeszło ją gorącem, zmieszała się. Chciała pomóc nie tylko ze względu na niego, ale też na Amy. Jednak ciągle coś ją powstrzymywało.

Kiedy nie odpowiadała, jego palce zacisnęły się:

- Opłaci się pani czas temu poświęcony, Mac.

Proszę wymienić sumę, zapłacę każdą. Jeśli chce pani awansu, proszę bardzo. Nie oczekuję, że będzie to pani robiła za darmo.

Szarpnęła się i cofnęła parę kroków w tył. Musiała mówić cicho, żeby nie zbudzić Amy, ale złość była jej z oczu i widoczna była w jej wyprostowanej postawie.

- Jak pan śmie ofiarowywać mi pieniądze? Nigdy nie przyjmę od pana innych pieniędzy niż moja pensja. Jeśli mam awansować, to dlatego, że na to zasłużyłam, a nie za przysługi świadczone szefowi.

- Nie chciałem pani obrazić, Mac. Ale wynagrodzenie pani straconego czasu jest jak najbardziej słuszne.

Po chwili dodał cynicznie:

- Nie spotkałem jeszcze kobiety, która zrobiłaby coś za nic. Ja tego nic oczekuję, a pani nie powinna tego ofiarowywać.

Czując, że przesadziła, powściągnęła swój temperament.

- Jeśli się zgodzę - a jest to jeszcze pod wielkim znakiem zapytania - to dlatego, że chcę, a nie dlatego, że mi się za to płaci.

Nie wiedząc dlaczego, poczuł, że zachodzi potrzeba

wyjaśnienia swego stanowiska. Przyglądając się jej uważnie, powiedział:

- Jeśli zgodzi się pani pomóc mi przy Amy, chciałbym, żeby była to zwykła transakcja. To dlatego ofiarowuję zapłatę za pani czas. Nie chcę, żeby pani źle to zrozumiała. Potrzebuję pani dla mojej córki, nie dla siebie. Mam teraz dosyć komplikacji i nie potrzebuję ich więcej.

Zdaniem Lauren, mocno się okopywał. Nabrała powietrza i policzyła do dziesięciu, żeby się opanować. Pomogło. Udało jej się mówić cicho i kontrolować swój głos.

- Bez względu na to, czy zgodzę się, czy nie pomóc panu z Amy, osobiste zaangażowanie w stosunku do pana jest ostatnią rzeczą jakiej pragnę czy oczekuję. Mam niepisaną zasadę jeśli chodzi o ludzi, z którymi lub dla których pracuję nie mieszam mojego życia prywatnego i zawodowego. Nie ma pan się czego obawiać z mojej strony.

Mimo że mówiła to, co - jak mu się wydawało - chciał usłyszeć, John był rozdrażniony. Powoli zbliżył się do niej. Oczy jej pały złością. Widział to, mimo że starała się zdusić ją w sobie. Wydała mu się fascynująca w takim nastroju.

- Zobaczymy, na ile będę bezpieczny - mruknął.

Chwytał ją w ramiona i przyciągnął do siebie. Westchnęła zaskoczona, a on nakrył jej rozchylone usta swymi wargami. W pierwszej chwili zeszywniała, czując jego pewnie poruszające się wargi. Potem westchnęła i wydawało jej się, że wiruje wśród karuzeli odczuć, którym uległa wbrew swej woli. Jej ręce podniosły się do jego ramion, palce zacisnęły się na materiale jego koszuli. Nawet w najbardziej plastycznych marzeniach nie mogła wyobrazić sobie potężnej rali rozkoszy, jaka przebiegła ją w tej chwili. Jej reakcja była automatyczna, kiedy przycisnął mocniej swoje usta, jej zmysły całkowicie mu się poddały.

John przyciągnął ją bliżej do siebie, poczuł jak wiotczeje w jego ramionach. Dotyk jej piersi pobudził drżące w nim pragnienie. Potraktował ten pocałunek jako eksperyment, może nawet karę, ale jego intencje zmieniły się, kiedy poczuł jej wargi pod swoimi. Kiedy ich języki zetknęły się, przeszło go pożądanie. Groziło mu, że zapomni o wszystkim poza kobietą, którą trzymał w ramionach, a która smakowała słodko niczym ciepły miód.

Jak nieproszony intruz odezwał się telefon. Jego przenikliwy dźwięk przebił się przez otaczający ich obłok zmysłowości i przywrócił ich do rzeczywistości. Przy drugim dzwonku John rozluźnił swój uścisk. Przyglądał się jej przez długą chwilę. Wykazał, jak prawdopodobne jest, że się zaangażują, wykazał nie tylko jej, ale i sobie samemu.

Zmarszczył brwi. Nie mógł uwierzyć, iż dopuścił, żeby pocałunek zaszedł tak daleko. Niektórzy mężczyźni wykorzystywali swą pozycję pracodawcy dla zdobywania sobie erotycznych względów, ale on do nich nie należał.

Dzwonek powtórzył się, wypuścił ją z objęć gwałtownym ruchem. Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Tak? - po krótkiej pauzie powiedział ochryple: - Proszę przełączyć.

Lauren sięgnęła po oparcie najbliższego krzesła, poruszona, nie mogąc ustać na nogach. Nie musiała umieć czytać w myślach, żeby wiedzieć, że John żałował ostatnich paru minut. Widziała ponury wyraz jego twarzy, kiedy spojrzał na nią. Ona nie żałowała tego, co zaszło między nimi, ale on widocznie tak.

Zastanawiając się nad swoją reakcją, ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że była skłonna pomóc mu w sprawie córki. Była to pewnie jedna z najgłupszych rzeczy, jakie mogła zrobić, ale będzie mądrzejsza na następne urodziny. Mogła powiedzieć

sobie, że robi to dla Amy. i była to prawda. Po części.

Nadal sięgała po wymykające się spod ręki jabłko na wierzchołku drzewa.

Kiedy w końcu John odłożył słuchawkę, pozostał na swoim miejscu koło biurka i nic podszedł do Lauren. Czuł się najeżony i spięty, i dobrze wiedział dlaczego. Problem polegał na tym, że nic nie mógł na to poradzić.

- Mam parę telefonów do załatwienia, a potem chciałbym zabrać panią na obiad. O ile nie ma pani innych planów. - Nie wiedział dlaczego uznał za stosowne dodać: - Amy, oczywiście, idzie z nami.

Lauren zignorowała dzwonki alarmowe w głowie.

- Pójdę na obiad z panem i z Amy pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że będzie pan nazywał mnie po imieniu, a nie "Mac".

Nagle uśmiechnął się.

- W porządku, Lauren. To dość proste. Masz to załatwione. Tak długo, jak ty będziesz mówić do mnie John, a nie pan Zachary.

Na widok rzadko pojawiającego się na jego twarzy uśmiechu Lauren przeszył dreszcz od stóp do głów. Miała przygnębiające wrażenie, że właśnie dobiła targu z własnym sumieniem. Okaze się dopiero, czy zrobiła mądry interes.

Umówiła się, że spotka się z Johnem i Amy w holu o piątej, po czym wróciła do swego biura, żeby wykończyć kilka rozpoczętych spraw. Powtarzała sobie, że zgodziła się tylko na wspólny obiad z Johnem i Amy. Nic poza tym. Wydawało się to stosunkowo niegroźne. Nie ma się czym przejmować. Gdyby tylko mogła przekonać swój żołądek, dający znać skurczami o niepokoju, że to prawda, czułaby się nieco lepiej.

Parę minut po piątej Lauren uporządkowała swoje biurko i

wyciągnęła z jego szuflady torebkę. Odstawiła krzesło, kiedy drzwi otwały się i stanął w nich John.

Zauważyła, że miał na sobie marynarkę, a krawat był z powrotem na swoim miejscu. Znów wyglądał jak jej pracodawca, i ten jego wygląd sprawił, że zaczęła się zastanawiać, czy takie właśnie wrażenie chciał zrobić.

Pomyślała, że musiała coś źle zrozumieć, kiedy umawiali się wcześniej i zapytała:

- Czy jestem spóźniona?

Potrząsnął głową i wszedł do jej pokoju.

- Nie. Oczekuję ważnego telefonu z Zachodniego Wybrzeża, a jeszcze się nie odezwali. Nie chciałem, żebyś stała i czekała w holu.

Rozejrzał się po jej pokoju. Na długim stoliku przyoknie ustawione były kwiaty w ciekawych doniczkach, ryciny zdobiły ściany. Zwrócił uwagę na plakat wiszący nad jej biurkiem, przedstawiający cudacznego, kolorowego żółwia, przywiązanego do drzewa pajęczą nicią. Napis pod spodem głosił "Spiesz się powoli".

Kącik jego ust uniósł się do góry, kiedy wrócił spojrzeniem do Lauren.

- Przepis na życie?

- Mam tendencję do plątania się w różne rzeczy zanim się zastanowię - odpowiedziała z pewnym szyderstwem. Pomyślała, że biorąc pod uwagę jej ostatnią decyzję, to było za mało powiedziane.

Jego wzrok wytrzymał jej spojrzenie.

- Pójście za głosem instynktu jest czasami lepsze niż analizowanie i męczenie się przy każdej decyzji.

- Czy właśnie to robi pan, prowadząc interesy? idzie pan za głosem instynktu?

- Jak dotąd to się sprawdzało, i to nie tylko przy interesach i transakcjach - zamilkł, a poicm dodał: - A może byś poszła do mojego gabinetu? Może potrwać zanim uzyskam połączenie z Kalifornią.

Potrząsnęła głową.

- Muszę podgonić pracę. Powiedziałam panu Simpsonowi, że posiedzę dłużej ze względu na przedłużenie przerwy na lunch.

John przysiadł na rogu biurka koło jej krzesła. - Powiedziałem Simpsonowi, że robisz coś dla mnie. Ponieważ to ja podpisuję jego wypłatę, jest na tyle kulturalny, żeby się ze mną nie spierać.

Uśmiechnęła się.

- Czy tym sposobem daje mi pan do zrozumienia, że też nie powinn(łm się z panem spierać?

Wystarczyłoby przesunąć rękę o parę centymetrów, aby ją dotknąć, pomyślał John.

- A czy to by pomogło?

- Chyba nie.

Był tak blisko, pomyślała. Za blisko. Jego udo znajdowało się tylko o parę centymetrów od jej ręki, wspartej na poręczu krzesła.

- Nie wydaje mi się.

- A czy pomyślał pan, jak pan Simpson mógł zinterpretować pana oświadczenie, że mam coś dla pana zrobić?

John wzruszył ramionami.

Nic nie poradzę na to, co myślą ludzie. Problem polega na tym, że rzeczy, o których ludzie myślą, stają się czasami rzeczami, o których ludzie mówią.

- Boisz się, że biurowi plotkarze będą łączyć cię z szefem? - zapytał rozbawiony.

- Nie powiedziałabym, że się obawiam Lauren zebrała

trochę papierów z biurka i wpięła je do skoroszytu. - Powiedziałabym raczej, że nie bawi mnie pomysł, by dać z siebie zrobić soczysty kąsek dla plotkarzy.

John zsunął się z jej biurka i skierował w stronę drzwi. Gdyby tego nie zrobił, popełniłby coś niewiarygodnie głupiego, na przykład chwyciłby ją w ramiona.

- Ja bym się tym nie martwił. idziesz? Rzuciła mu poirytowane spojrzenie. Niestety, był odwrócony plecami i nie zauważył. Łatwo mu było mówić, żeby nie przejmować się biurowymi plotkami. Jego, zamkniętego w swojej wieży z kości słoniowej, takie rzeczy nie mogły dotknąć.

Grzebała w środkowej szufladzie swego biurka i w końcu znalazła to, czego szukała, paczkę krakersów z masłem fistaszkowym.

- Amy jest pewnie głodna. To powinno zaspokoić ją, dopóki nie pójdziemy na obiad.

John nie powiedział jej, że krakersy nie będą potrzebne. Nie chciał zepsuć niespodzianki. Miał nadzieję, że pokaże jej, jak potrafi się dostosować.

Kilka głów odwróciło się, a kilka brwi podniosło, kiedy jej współpracownicy za uważyli, że wychodzi z pokoju z Johnem Zacharym. Na szczęście Richard Simpson nie był jednym z nich, ale wiedziała, że próżne były jej nadzieje, by ci, którzy widzieli ją z Johnem, zapomnieli o tym przez weekend. Nie podobało jej się, że stała się tematem rozmów, ale nic na to nie mogła poradzić.

Po drodze do windy John nie zwracał uwagi na spojrzenia urzędników. Jego uwaga w całości skupiona była na kobiecie, która szła u jego boku. Jej zapach owiewał go, kiedy jechali w górę windą. To był nieuchwytny zapach, kwiatowy choć ostry, właściwy tylko jej.



Odsunął rękę od jej ramienia, opierając się pokusie objęcia i ucałowania jej. W innych warunkach nie zawahałby się i uległ pociągowi do kobiety, ale teraz potrzebował Lauren dla Amy, nie dla siebie. Poza tym, pracowała u niego. Dla niej ten fakt był równie niewygodny jak dla niego.

Oparł się o ścianę windy.

- Dlaczego nie masz żadnych planów na dziś wieczór?

Odwróciła się i napotkała jego wzrok.

- Pyta pan dlatego, że są moje urodziny?

- Z tego powodu, a także dlatego, że jesteś atrakcyjną kobietą. No i jest piątkowy wieczór, koniec tygodnia pracy. Trzy dobre powody, żeby wyjść do miasta.

- Zamierzałam wyjechać z miasta, a nie do miasta. Nadal mam zamiar wyjechać z Norfolk na weekend. Tyle tylko, że pojedę później, niż planowałam.

Wiedział, że nie miał prawa pytać ją o jej plany, poza tym, że był odpowiedzialny za ich zmianę.

- Dokąd jedziesz?

- Mój brat ma domek w Kill Devil Hills w Północnej Karolinie. Danny jest w marynarce, stacjonuje w bazie marynarki tutaj, w Norfolk, ale zazwyczaj jest na morzu. Jego żona oczekuje ich pierwszego dziecka i postanowiła zostać u swojej rodziny, skoro nie ma Danny'ego. Prosił mnie, żebym pilnowała ich domku, więc jeżdżę tam w każdy weekend.

- A co z twoimi rodzicami?

- Moja matka mieszka na Hawajach. Mój ojciec nigdy nie był w stanie zapamiętać dat urodzin, więc nie spodziewam się, żeby się odezwał. Matka dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem z życzeniami urodzinowymi i zapowiedziała, że pakunek jest w drodze. - Uśmiechnęła się, widząc, że poruszyło go sformułowanie, jakiego użyła. - W zeszłym roku matka przysłała

mi tuzin świeżych ananasów. Rok przedtem dostałam sześć orchidei, Ciągłe się zastanawiam, jaką to wyszukaną rzecz przyśle mi w tym roku.

Drzwi windy otworzyły się i John w ślad za Lauren wyszedł na korytarz. Pani Murray zajmowała się Amy, która obudziła się zanim John wyszedł po Lauren. Jak tylko wrócił, wzięła torebkę i stanęła gotowa do wyjścia.

- Czy zajęła się pani tymi przygotowaniami? - zapytał ją John.

Starsza pani kiwnęła głową, uśmiechnęła się do Lauren i Amy.

- Nie było problemów.

- Dobrze. Dziękuję, pani Murray. Proszę się dobrze bawić w czasie weekendu.

Przyjęła jego słowa ponownym kiwnięciem i grzecznie pożegnała się z Lauren i Amy.

Amy, teraz już całkowicie rozbudzona, usiadła obok Lauren na kanapie. Lauren skonfiskowała kolejną porcję papieru Johna i ku zachwytowi jego córki, zaczęła rysować śmieszne zwierzątka. Kiedy skończyła ze zwierzątkami, odwróciła kartkę papieru i na górze wypisała imię Amy. Położyła papier na niskim stoliku do kawy i wręczyła dziecku ołówek.

- Zobaczmy, ile razy napiszesz swoje imię.

Amy uklękła przy stoliku i zajęła się kopiowaniem wzoru wypisanego przez Lauren. Kiedy skończyła, podała jej papier do obejrzenia.

A leciało na bok, M było koślawe, a Y dwa razy większe niż pozostałe litery. Uśmiechając się szeroko, Lauren wykrzyknęła:

- Wspaniale, Amy! Biegnij, pokaż tatusiowi, jak ładnie umiesz napisać swoje imię.

Mocno ściskając papier w ręczce, Amy wstała i obeszała

biurko. Z nieśmiałym i wyczekującym wyrazem twarzy wyciągnęła kartkę do Johna. Wziął ją i uważnie obejrzał. Uśmiechnął się.

- To jest świetne, Amy.

Odwrócił kartkę i spojrzał na komiczne rysunki Lauren. Wskazując jeden ze szkiców, zapytał Amy:

- Co to jest?

Przysunęła się, żeby zobaczyć, o który rysunek mu chodzi.

- To jest pies.

- A ten?

- To kot, tatusiu.

W jej głosie słyhać było lekkie rozczarowanie, że on nie potrafił powiedzieć, co to za stworzenie.

Po raz pierwszy jego córka nazwała go tatusiem. John podniósł głowę i napotkał spojrzenie Lauren. Uśmiechnęła się. Zwrócił się z powrotem do córki:

- Tak, to kot, Amy.

Telefon na jego biurku zadzwonił, sięgnął, by go odebrać. Myśląc, że to ważna rozmowa o interesach, której oczekiwał, Lauren przywołała Amy od biurka.

- Pokaż mi jeszcze raz jak piszesz swoje imię. John odłożył słuchawkę i powiedział:

Za ch wi lę wracam.

Lauren wpatrywała się w otwarte drzwi, za którymi zniknął. Potem wzruszyła ramionami i z powrotem zajęła się Amy, przyglądając się, jak ta wypisuje swoje imię.

Amy zdążyła je napisać jeszcze trzy razy, kiedy Lauren usłyszała, że drzwi od sekretariatu otwierają się i ponownie zamykają. Amy pierwsza zauważyła, co niósł jej ojciec. Klasnęła w podnieceniu, i Lauren spojrzała w tamtym kicrunku. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

John niósł tacę z trzema wielkimi ciastkami tortowymi, a w każdym z nich tkwiła mała świeczka. Zapalił świece przed wejściem, i teraz ich płomień rzucał żółtawą poświatę na górtt jego nieposzlakowane białe koszuli.

Ustawił ciastka na stoliku do kawy mówiąc:

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Lauren. Pomyśl życzenie.

Lauren potrzebowała minuty, żeby ochłonąć z szoku. Długo przyglądała się trzem ciastkom zanim powiedziała: - Amy, pomóż mi zdmuchnąć świece.

Kiedy płomyczki zgasły, Lauren spojrzała na Johna.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Sądzę, że to się nieczęsto zdarza - powiedział z błyskiem rozbawienia w oczach. Jego spojrzenie powędrowało w stronę Amy, która pożerała ciastka wzrokiem, a potem ponownie w stronę Lauren przesuwającej palcem po lukrze jednego z ciastek. Przyglądał się, jak zlizywała ślad lukru z palca. Na widok jej ust zamykających się wokół palca poczuł przenikające go fale gorąca.

- Ciastka są na deser - powiedział. W jego głosie słychać było pewną szorstkość.

Wszedł znowu do sekretariatu i wrócił z plastikową siatką. Usiadł przy stoliku, zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. Lauren mhsiała posunąć się na kanapie, kiedy niespodziewanie usiadł koło niej. Gdyby tego nie zrobiła, praktycznie usiadłby jej na kolanach. Milczała, kiedy zaczął wyciągać jedzenie z siatki. Ustawił hamburgera z frytkami przed Amy. Dalej szły kanapki Lauren.

Zdarła opakowanie i uniosła kromkę chleba ryżowego z wierzchu.

- Skąd pan wiedział, że lubię ten rodzaj kanapek?

- Udało mi się odgadnąć.

Do picia były napoje orzeźwiające w puszkach.

Nie brakowało talerzyków papierowych i plastikowych widelców, które umieścił obok ciastek.

improvizowane przyjęcie urodzinowe było rzeczą, której Lauren najmniej się spodziewała.

To cudowne. Jak się panu. udało załatwić to wszystko w tak krótkim czasie?

- Kiedy dowiedziałem się, że obiad trochę się spóźni, zadzwoniłem do kawiarni na dole. Pani Murray zadzwoniła do cukierni po tort, ale mieli pod ręką tylko te ciastka tortowe. Wartownik poszedł je odebrać. Telefon był od niego. Powiedział, że ciastka i kanapki są gotowe.

Lauren wpatrywała się w niespodziewany posiłek i ciastka urodzinowe, głęboko poruszona, że zadał sobie tyle trudu, żeby uczcić jej święto. Odwróciła się i pochwyciła spojrzenie jego ciemnych oczu.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo. Staram się "dostosowywać".

Uśmiechnęła się przypominając sobie swoją wcześniejszą uwagę.

- Szybko się pan uczy.

Spojrzał na córkę i zauważył, że nic odwinęła swojego hamburgera.

- Amy, nie będziesz jeść?

- Powinniśmy umyć ręce przed jedzeniem - powiedziała afektowanym głosem.

Lauren roześmiała się.

- Masz zupełną rację, Amy - spojrzała na Johna z rozbawieniem w oczach. - Trzylatka daje nam lekcję dobrego wychowania.

Wszyscy przeszli do dyrektorskiej łazienki i umyli ręce. Amy nie zaprotestowała, kiedy to John podniósł ją, żeby mogła dosięgnąć mydła i wody. Wytarli ręce, wrócili do stołu i odpakowali hamburgera. John znowu usiadł obok Lauren. W czasie jedzenia Lauren zapytała Amy, co jej smakuje oprócz hamburgerów.

John słuchał odpowiedzi Amy, zdając sobie sprawę, dlaczego Lauren zadała to pytanie. Zakonotował w pamięci ulubione potrawy Amy, chociaż w przeważającej części należały do kategorii deserów. Kiedy po raz trzeci wymieniła tort czekoladowy, spojrzął na Lauren i stwierdził, że śmieje się do niego.

Zazwyczaj Lauren nie miała problemów z jedzeniem, mogła jeść wszystko. Jedzenie było dla niej jedną z największych przyjemności w życiu. Jednak tego wieczoru jej kanapka mogła być równie dobrze zrobiona z tektury, tak niewiele poświęcała jej uwagi. Zbyt odczuwała bliskość mężczyzny siedzącego obok. Ich uda stykały się, a jego ramię ocierało się o nią, kiedy sięgał po frytki.

Starła się skupić na Amy. Rzuciła się w oczy schludność, z jaką ta jadła hamburgera. Dziewczynka bez przerwy wycierała ręce, a po ugryzieniu każdego kęsa przykładała do ust serwetkę. Lauren nigdy nie widziała dziecka, które by taką uwagę przywiązywało do czystości. Po kilku kęsach Amy odłożyła hamburgera na opakowanie. Oczy Lauren zwięzły się, kiedy przypatrywała się płonącym policzkom Amy. Miała właśnie przekazać swoje spostrzeżenia Johnowi, kiedy odezwał się telefon. Odłożył swoją niedojedzoną kanapkę i poszedł go odebrać.

Amy ziewnęła kilka razy i zaczęła trzeć oczy. Lauren spojrzała na zegarek. Była siódma, więc dziewczynka mogła

czuć się zmęczona mimo popołudniowej drzemki. Wzięła Amy za rękę i zaprowadziła ją do łazienki. Napuszczając wody do umywalki, przytrzymała jednocześnie dłoń na czole Amy dostatecznie długo, aby przekonać się, że jej skóra była wyjątkowo gorąca. Lauren ze swoich doświadczeń z młodszym rodzeństwem wiedziała, że małe dzieci zapadają na zdrowiu w bardzo krótkim czasie. Miała nadzieję, że tym razem nie był to taki właśnie przypadek.

- Amy, czy dobrze się czujesz?

Dziewczynka spojrzała na Lauren, ale nie odpowiedziała.

Spróbowała jeszcze raz.

- Wiesz, że możesz mi powiedzieć, jeśli boli cię brzusek albo jeśli źle się czujesz.

Amy kiwnęła głową, ale znowu nic nie powiedziała.

Lauren wycisnęła ręcznik i przetarła chłodnym materiałem twarz Amy. Będzie musiała przyjrzeć się bliżej dziewczynce.

Wytarła twarz i ręce Amy, a potem łagodnie zaprowadziła ją z powrotem do gabinetu Johna.

- A może położysz się na chwileczkę?

- Nie chce mi się spać - powiedziała Amy z rozdrażnieniem.

Lauren uśmiechnęła się. Był to normalny protest każdego dziecka, jakie знаła, włączając w to ją samą.

- Oczywiście, że nie. Nie musisz nawet zamykać oczu. Po prostu poleż, dopóki twój tatuś rozmawia przez telefon.

Nie minęło parę minut, jak Amy zasnęła.

W piętnaście minut później John skończył swoją rozmowę z przedstawicielem firmy w Los Angeles. Odłożył słuchawkę, uporządkował plik papierów i rzucił je w kąt biurka. Spojrzał na kanapę. Amy spała głęboko, a Lauren pisała coś na jego firmówkach.

Przyglądał się jej przez kilkanaście sekund. Było w niej coś

uspokajającego i podniecającego zarazem. Wydawała się zadowolona, siedząc tak spo kojnie, nie domagając się ani odrobiny jego uwagi. Miała w sobie spokój, jakiego dotąd - dopóki nie zobaczył tego u niej - nie cenił u kobiety. Jego ciało reagowało na każdy jej gest, jego pragnienie rosło z każdą chwilą, spędzoną w jej towarzystwie. Nie rozumiał, skąd brał się ten pociąg, ale z pewnością był go świadom.

Wstał z krzesła i obszedł biurko. Amy zajęła połowę kanapy, więc nie było miejsca, żeby tam usiąść. Usiadł na jednym z pokrytych skórą, stojących obok krzeseł.

Lauren nie podniosła głowy znad swojej roboty.

- Warto było czekać na ten telefon?

- Firma Status Brothers przyjęła naszą ofertę na dostawę części do systemów elektronicznych dla swojej nowej fabryki. Fraserowi Status udało się przekonać braci, że zmechanizowanie linii montażu pozwoli na oszczędności i będzie bardziej efektywne. Problem polegał na wytrzymaniu Frasera na tyle długo, by dojrzał do rozmawiania o kontrakcie.

- Przypominam go sobie. Ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i wygląda na niejadka. Chodzi tam i z powrotem po sali konferencyjnej, jakby stapał po rozżarzonych węglach.

John zachichotał.

- Masz specyficzny sposób opisywania ludzi. Zastanawiam się, jakbyś opisała mnie.

Delikatny uśmiech pojawił się na jej ustach. - Sądzę, że jest teraz dobry moment na zmianę tematu.

- Tchórz - przeciągnął to słowo.

- Absolutny.

Położyła na stole papier, na którym pisała. Spojrzał. Pokryty był szkicami waz różnych rozmiarów, niektóre z nich zdobiły niezwykle rysunki.



Sięgnął i wziął kartkę do ręki.

- Co to takiego?

Wyrwała mu kartkę.

- Takie bazgroły.

Zmięła papier, wstała i wrzuciła go do kosza na śmieci, stojącego obok biurka.

- Naprawdę muszę już iść. Mam jeszcze sporo drogi do przejechania.

- Czy ktoś na ciebie czeka?

Sięgnęła po torebkę, ale coś w jego głosie sprawiło, że ręka jej opadła. Spojrzała na niego.

- Dlaczego pan o to pyta?

Pomyślałem sobie, że może jesteś tam z kimś umówiona.

Kiedy okazała zdziwienie dodał:

- Wiesz, nie jest niczym niezwykłym, żeby atrakcyjna kobieta spędzała weekend z jakimś mężczyzną:

- Ale ja nie spędzam - powiedziała chłodno, Zadowolona, że uważał ją za atrakcyjną, ale zakłopotana tą rozmową o życiu prywatnym.

- Dobrze - powiedział z widoczną satysfakcją. - Amy i ja nie będziemy ci stali na drodze.

Zamrugła oczami.

- Na jakiej drodze?

- Zgodziłaś się pomóc Amy, nie pamiętasz?

- Nie zrozumiałam, że ma pan na myśli cały weekend. Myślałam, że mówi pan tylko o dzisiejszym dniu.

Podniesiony głos Lauren zaniepokoił Amy. Dziecko poruszyło się przez sen. John pochylił się i ściszył głos:

- Lauren, ona mi nawet nie powie, kiedy będzie chciała siusiu. Widziałaś, jaka była zmartwiona przedtem, kiedy została ze mną sama. Jak ja mam się sam nią zajmować przez cały

weekend?

- Przyglądałam się panu i jej dziś wieczór. Pokazała panu rysunki i pozwoliła się podnieść przy umywalce. Nie sędzę, żeby tak się pana obawiała, jak to się panu wydaje.

John wstał i wziął ją za rękę. Pociągnął ją w drugi koniec pokoju, żeby nie przeszkadzać Amy spać i stając naprzeciw niej, złapał ją za ramiona.

- Była odprężona, bo ty tu byłaś. Zgadzam się, że trochę się do niej zbliżyłem, ale nadal uważam, że to dzięki twojej obecności. Wygląda na to, że przy tobie ona ma poczucie bezpieczeństwa. Daj nam ten weekend, Lauren. W poniedziałek znajdę kogoś, żeby się nią zajął w ciągu dnia, ale najbliższe dwa dni mogą zaważyć na naszych stosunkach.

Lauren odwzajemniła jego poważne spojrzenie.

Pragnienie samoobrony walczyło w niej z burzą uczuć spowodowanych jego dotkaniem i jego bliskością. Wiedziała, że zależało mu na niej tylko ze względu na córkę, a nie dlatego, że interesował się nią osobiście. Dopóki nie będzie oczekiwała niczego poza takim układem, nie poczuje się zraniona.

Wzmocnił uścisk.

- Lauren, potrzebuję cię. Daj mi dwa najbliższe dni. Proszę.

Byłoby cudownie, gdyby potrzebował rzeczywiście jej, pomyślała. Ale potrzebował tylko bufora między sobą a swoim dzieckiem. Musiałaby być kompletnie głupia, snując marzenia, powiedziała sobie w duchu.

Kiedy doszła do tego wniosku, ze zdziwieniem usłyszała własny głos:

- W porządku. Zrobię, co będę mogła, żeby pomóc wam obojgu, ale tylko w ciągu tego weekendu.

Przyciągnął ją do siebie i pochylił głowę.

- Nie będziesz tego żałować.

Jego wargi przycisnęły się do jej rozchylonych ust i czerpał z niej jak człowiek umierający z pragnienia. Oparł się o ścianę pociągając ją za sobą, jego ramiona objęły jej szczupłe ciało.

Kiedy oderwał się od jej ust, żeby popробować delikatnej skóry poniżej ucha, w jej gardle wezbrało tęskne westchnienie. Poprzez rozkoszny obłok pożądania przebiła się świadomość, że groziło jej, iż ulegnie swoim pragnieniom. Podniosła ręce do jego piersi, aby odepchnąć go, zanim straci resztki rozsądku.

Rozluźniając swój uścisk tak, żeby zobaczyć jej twarz, zapytał ochryple:

- Dlaczego?

Pomyślała sobie, że biorąc pod uwagę jej reakcję na jego pocałunek miał prawo tak zapytać. Spojrzała mu w oczy.

- Chciał pan, żeby nasza umowa była konkretna i oficjalna. To miał być interes, pamięta pan? A to nie wygląda na coś oficjalnego.

Opuścił ręce na jej talię, potem objął jej biodra, przyciskając je do swoich. Przyglądał się, jak jej oczy ciemnieją z pożądania, wywołanego naciskiem jego twardego ciała.

- Mnie też się nie wydaje, żeby to było coś oficjalnego.

Gorąca fala przepłynęła przez ciało Lauren. Wiedziała, że to nie było zamierzone z jego strony. Wydawało jej się, że nie mniej niż ona sama zaskoczony jest ich fizycznym zbliżeniem. Ale riie wiedziała, co czuł teraz, wobec tego, co zaszło między nimi.

Szybko się dowiedziała.

- Cholera! Co ja, u diabła, wyczyniam?

Chwycił ją za ramiona i zajrzał jej w twarz. Jej wargi nosiły jeszcze wilgotne ślady jego ust, jej ciało drżało w jego rękach. Delikatnie odsunął ją: Pragnąc zwiększyć dystans, podszedł do biurka i ciężko usiadł na krześle.

- To się już więcej nie powtórzy - powiedział spokojnie.

Lauren oszołomiona, uśmiechnęła się słabo, potrząsając głową.

- Co jest w tym, do cholery, takiego śmiesznego? - mruknął gniewnie.

- Właśnie sobie pomyślałam, że to wstyd stracić głowę w dwudzieste dziewiąte urodziny.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Czy to znaczy, że jednak mi pomożesz? - szepnął zdziwiony.

- Trudno mi samej w to uwierzyć - spojrzała na zegarek. - Potrzeba dwóch godzin, żeby dojechać do Kill Devil Hills, więc lepiej jedźmy. Nie muszę jechać do domu, mam torbę w samochodzie, ale pan i Amy będziecie potrzebowali jakichś ubrań. Nic wyszukanego, w domku można czuć się swobodnie.

Siedział na krześle, jego ręce spoczywały na biurku.

- Nie wykorzystam sytuacji, Lauren - powiedział poważnie. Potrzebuję twojej pomocy przy Amy. Niczego więcej od ciebie nie oczekuję.

Zrobię, co będę mogła. To wszystko, czego może pan ode mnie oczekiwać.

Zasady zostały ustalone. Pozostawało otwartą kwestią, czy oboje będą w stanie się ich trzymać.

Podnosząc Amy, Lauren stwierdziła, że dziewczynka była jeszcze bardziej rozpalona niż poprzednio. Zrobiła się do tego rozdrażniona i kapryśna, i nie wydawało się, żeby brało się to tylko z faktu, że została gwałtownie wyrwana ze snu. Podejrzenia Lauren potwierdziły się, kiedy Amy podniosła rękę i potarła piąstką lewe ucho.

Przycisnęła policzek do buzi Amy i podniosła wzrok na Johna.

- Być może w końcu nie pojedziemy do Północnej Karoliny.

- Dlaczego? - Przyglądał się, jak Lauren dotyka wierzchem dłoni policzków i czoła Amy, potem usiadł i wbił wzrok w córkę. - Coś nie tak? - Amy ma gorączkę i może mieć infekcję ucha.

- Czy to poważne? - dotknął czoła Amy.

- Nie, jeśli dostaniemy dla niej antybiotyk. Czy zna pan jakiegoś pediatrę?

- Nie, ale niedaleko ode mnie znajduje się klinika pełniąca dyżur. Czy to wystarczy?

Skinęła głową.

- To tylko na wszelki wypadek. Może to nic poważnego, ale z dziećmi lepiej wiedzieć na pewno.

Amy pojechała z Lauren, która odstawiła swój samochód pod dom, nie chcąc zostawiać go na cały weekend na parkingu, a John pojechał za nimi. Pod domem przełożył jej torbę do bagażnika swego samochodu.

Na szczęście w klinice nie było tłoku. Lauren bawiła się z Amy, trzymając ją na kolanach. John milczał, siedząc koło nich na jednym z tych niewygodnych, plastikowych krzeseł, typowych dla poczekalni. Nie zwracał uwagi ani na mrugający telewizor, ani na wyczytane czasopisma. Przyglądał się Lauren i

Amy.

Kiedy przyszła kolej Amy, John - ku zdziwieniu Lauren - wszedł razem z nimi do gabinetu lekarskiego. Stał z boku, kiedy pielęgniarka mierzyła Amy temperaturę. Potem weszła do pokoju kobieta ze słuchawkami na szyi.

Lauren miała rację. To była infekcja ucha, chociaż niegroźna.

Lekarka uznała Lauren za matkę Amy i zapytała, czy dziewczynka ma uczulenie na penicylinę. Lauren nie wiedziała. Obejrzała się na Johna, ale on też nie był w stanie odpowiedzieć. Lekarka zaaplikowała Amy antybiotyk w zastrzyku i wypisała kilka recept. Kiedy wychodzili z gabinetu, John zapytał ją, czy wyjazd do Północnej Karoliny na weekend mógłby zaszkodzić Amy. Ta nie widziała przeszkód, pod warunkiem, że dziewczynka nie zechce kąpać się w morzu, nie zapomni o zażywaniu lekarstw i będzie miała dużo spokoju.

John zapytał wtedy, czy lekarka mogłaby polecić jakiegoś pediatrę. Zapisała nazwisko na czystej recepcie i podała mu. Kiedy szli do samochodu, Lauren powiedziała:

- Nie powinnam była odprowadzać mego samochodu, nie musiałby pan teraz odwozić mnie do domu.

John położył jej rękę na ramieniu, zmuszając do zatrzymania się.

- O czym ty mówisz? Dlaczego musisz jechać do domu? Twoja torba jest w moim samochodzie.

- Mieliśmy zamiar jechać do domku, zanim dowiedzieliśmy się, że Amy jest chora.

Rozluźnił swój uścisk, ale jej nie puścił.

- i nadal mamy taki zamiar. Słyszałaś, co powiedziała lekarka. Wycieczka nie zaszkodzi Amy. - Spojrzał na córkę, która trzymała się ręki Lauren. - No i jak, Amy? Czujesz się na

siłach jechać na wycieczkę, czy wolisz wrócić do domu i iść do łóżka?

- Chcę jechać z Lorn.

- Chcemy jechać z Lom - powiedział, naśladowując wymowę Amy.

Widział, że walczy ze sobą, nie mogąc podjąć decyzji, więc zapytał:

- Czy będziesz mogła zostać z nami, jeśli pozostaniemy w mieście?

Potrząsnęła głową.

- Muszę jechać do domku. Obiecałam Danny'emu, że będę podlewać kwiatki i sprawdzać, czy wszystko w porządku.

Wysunął kolejny argument.

- A co jest lepsze dla Amy? Weekend w mieście z facetem, którego uważa za obcego czy wycieczka z kimś, komu ufa?

Lauren podjęła ostatnią słabą próbę.

- Ale to dwie godziny drogi.

- Nie mam nic przeciwko prowadzeniu samochodu w nocy.

- W porządku - poddała się. - Ale proszę nie oczekiwać za wiele.

Odczuł ogromną ulgę. Opuścił ręce wzdłuż jej ramion, aż dotknął jej dłoni. Ich palce splotły się, a intymność tego gestu zaskoczyła ich oboje. Ich oczy spotkały się na krótką, elektryzującą chwilę. Oboje świadomi byli popychającej ich ku sobie siły. Powietrze wydawało się ciężkie i naładowane jak przed burzą.

Lauren pierwsza odwróciła wzrok, kiedy zniecierpliwiona Amy zaczęła ją ciągnąć za drugą rękę. Szła w kierunku samochodu z Johnem po jednej a Amy po drugiej stronie i nie zdawała sobie sprawy, jak mocno jej palce zaciskały się wokół obu dłoni, które trzymała.

Recepty zostały zrealizowane w pobliskiej aptece. Kiedy John wrócił do samochodu, zasiadł za kierownicą, ale nie od razu włączył silnik. Obejrzał się na swoją córkę, która spała mocno na tylnym siedzeniu. Amy wzięła marynarkę, którą rzucił w tył samochodu, kiedy wyjeżdżali z kliniki, i zrobiła sobie z niej poduszkę.

- Czy myślisz, że jest jej zimno? - zapytał cicho Lauren.

- A panu? - odpowiedziała pytaniem. Napotkał jej spojrzenie.

- Dla mnie ważna jest jej wygoda, a nie moja własna - powiedział z nutą rozdrażnienia.

- Zdjął pan marynarkę, bo było panu gorąco. Jeśli zrobi się zimno, włoży ją pan z powrotem. Kiedy tak pan zrobi, trzeba będzie włożyć sweter także Amy. Jeśli pada, wkłada pan na siebie płaszcz przeciwdeszczowy. Amy też zmokłaby na deszczu, więc jej też trzeba założyć płaszcz. Jeśli pada śnieg, musi pan włożyć cieplejsze buty i płaszcz. i tak samo z Amy.

Jego usta skrzywiły się w lekkim uśmiechu.

- Wszystko wydaje się takie proste, kiedy to mówisz.

- Nigdy nie mówiłam, że będzie proste, panie Zachary.

- John - znowu się nachmurzył. Ciągnęła dalej, poprawiając się:

- Słuchaj, John, odpowiedzialność za dziecko jest jedną z najtrudniejszych rzeczy na świecie. To próbowanie i błędzenie, a błędy zdarzają się tak samo rodzicom, jak dzieciom. Będiesz popełniał błędy i ona również. Możesz tylko dokonywać wyborów, opierając się na zdrowym rozsądku i instynkcie. To się sprawdza w stosunkach z każdym człowiekiem - przechyliła głowę na bok. i już wszedłeś w to, bez względu na to, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie.

- Co masz na myśli?



- Zależy ci. Nie mogłeś nauczyć się tego z książek ani ode mnie. Albo ci zależy, albo nie. A tobie zależy.

- To, że mi zależy w niczym mi nie pomogło, kiedy lekarka mnie zapytała, czy ma uczulenie na penicylinę. To pytanie sprawiło, że zdałem sobie sprawę, jak wiele muszę się o niej jeszcze dowiedzieć. Martine, wysyłając ją do mnie, powinna była przekazać jej wyniki badań.

- Może nie sądziła, że Amy będzie z tobą tak długo, żeby okazało się to potrzebne.

- W takim razie myliła się - podał jej torbę z lekarstwami i zapalił silnik.

Lauren spojrzała na niego zastanawiając się, co miał na myśli. Była tutaj z powodu jego córki, a nie po to, żeby wyciągać z niego informacje na temat stosunków łączących go z byłą żoną, więc go nie zapytała, choć miała na to ochotę.

Milczeli w czasie drogi przez Shore Drive. W końcu zaparkował przed imponującym wejściem do dużego, białego budynku z widokiem na ocean. Ponieważ Amy nadal spała, Lauren została z nią w samochodzie, podczas gdy John poszedł do mieszkania, żeby zapakować trochę rzeczy dla siebie i córki.

Lauren wykorzystała czas, kiedy była pozostawiona sama sobie, żeby przemyśleć niezwykle wydarzenia tego dnia. Została wplątana w sprawy Johna Zachary'ego i jego dziecka ze zdumiewającą szybkością, ale nie żałowała swojej decyzji. Nie mogła zrobić nic innego. Spełnienie prośby Johna wynikało ze współczucia dla Amy. Być może Amy Wyczuwała to i dlatego tak do niej przyłgnęła. Bez względu na powód, Lauren była wmieszana w życie Johna, przynajmniej na razie.

Spojrzała w kierunku wejścia, kiedy pojawił się w drzwiach. Było na tyle jasno, żeby zauważyć, że przebrał się, a w ręku niósł torbę płócienną. Po raz pierwszy widziała go tak

swobodnie ubranego, i w miarę jak się zbliżał, poczuła szybsze uderzenia serca. Dostrzegąca coraz lepiej jego gibkość i wdzięk. Zgrabne dzinsy opinały jego szczupłe biodra, a bawełniany, kremowy pulower uwydatniał ciemne włosy i opaloną skórę.

Umieścił torbę w bagażniku i usiadł koło mej na przednim siedzeniu. Rzucił krótkie spojrzenie na śpiącą córkę, a potem popatrzył na nią.

To dziwne, pomyślała, jak bardzo atmosfera zrobiła się naelektryzowana, kiedy tylko ich oczy się spotkały. Dzielila ich bardzo niewielka odległość i trudno jej było oddychać normalnie.

Ramię Johna spoczęło na oparciu siedzenia, jego dłoń niemal dotykała jej włosów.

- ile wymyśliłaś wymówek, żeby nam me towarzyszyć?

- Z tuzin - uśmiechnęła się słabo. Jego palce muskały końce jej włosów.

- Tak mi się wydaje. Wiem, że cała sytuacja jest dziwna, ale nie będę przepraszał, że cię w nią wpakowałem. Zrobię wszystko, co okaże się konieczne, żeby Amy była. szczęśliwa.

Co obejmowało też wykorzystanie jej, przypomniała sobie samej Lauren. Odwróciła głowę, tak że musiał zdjąć rękę z jej włosów.

- Lepiej jedźmy.

John poczuł, że coś w nim drgnęło. Zastanawiał się, czy to, co słyszał w jej głosie, było rozczarowaniem. A czy on również odczuwał rozczarowanie? A czego oczekiwał, co powinna była powiedzieć? Że rozumie? Wiedział, że tak. Gdyby nie rozumiała jego kłopotliwego położenia, nie byłaby z nim tutaj.

Więc dlaczego wydawało mu się, że traci coś bardzo ważnego, zadał sobie pytanie, ruszając z miejsca. Może odkryje co to takiego w czasie ich wspólnego weekendu.

Za pomnikiem Braci Wright zapytał ją, jak dalej jechać. Zjechał z autostrady, oddalając się od oceanu, i ruszył drogą o łagodnych zakrętach. W światłach reflektorów widział małe domki z łódkami obok, wyglądały jak gniazda uwite w kępach drzew.

Widząc wymiary domków, zainteresował się tym, do którego zmierzali.

- Nie pomyślałem o tym wcześniej. Jak duży jest dom twego brata?

Wpatrywała się w drogę przed nimi.

- Dostatecznie duży, panie Zachary. Nie będzie tam panu niewygodnie. Trzeba skręcić w lewo na następnym rogu.

Jego palce zacisnęły się na kierownicy. Kusiło go, żeby zjechać na bok, ale nie było miejsca na poboczu. Jednak, jeśli jeszcze raz nazwie go panem Zacharym, zatrzyma samochód, nie patrząc gdzie.

Dojechali na miejsce. W świetle reflektorów zobaczył obszerną, dwupiętrową chatę zbudowaną z okrągłaków, obok podwójny garaż i kilka zabudowań wokół głównego domu. Światło księżyca połyskiwało na falującej powierzchni wody po drugiej stronie drewnianego budynku. Chata stała na nadbrzeżu Coling ton Harbor.

Lauren otworzyła torebkę, wyjęła niewielki prostokątny przedmiot, skierowała go w stronę chaty i nacisnęła. Jedne z drzwi garażu uniosły się, a jednocześnie zapaliło się zewnętrzne oświetlenie, pozwalając zobaczyć lepiej podjazd i okolicę.

- A to dopiero - mruknął John - nie wiedziałem, że w marynarce tak dobrze płacą.

- Dom został zbudowany przez ojca mojej szwagierki. Po śmierci matki Sheili nigdy go nie używał, ale nie miał serca go sprzedać. Podarował go Danny'emu i Sheili w prezencie

ślubnym.

- Czy to trochę nie za daleko, żeby codziennie dojeżdżać do Norfolk?

- Sheila była tu przez cały tydzień, a Danny mógł wpadać w każdy weekend. W garażu jest dużo miejsca, jeśli chcesz zaparkować tam, zamiast zostawiać samochód na dworze.

John wprowadził wóz i wyłączył silnik. W czasie kiedy wyjmował ich torby z bagażnika, Lauren weszła do domu, żeby zapalić światło. Wbiegła na schody i szybko pościeliła łóżko dla Amy w jednym z wolnych pokoi.

Usłyszała, że John ją woła.

- Jestem na górze, drugi pokój po prawej stronie.

Pół godziny później Amy leżała w łóżku, a ich bagaże umieszczone były w sypialniach. Lauren zrobiła dzbanek kawy i stała na wychodzącym na morze ganku, popijając z kubka. Przebrała się. Dziny, które miała na sobie były sprane, miękkie, prawie białe i obcisłe niczym rękawiczka. Krótka góra w białe - czerwone paski, bez rękawów, ledwo sięgała paska jej spodni.

Drzwi skrzypnęły, kiedy John wyszedł na ganek. W ręku trzymał taki sam kubek z kawą.

- Rozumiem, dlaczego lubisz tu przyjeżdżać - powiedział, stając obok niej.

Nie odrywając spojrzenia od wody, szepnęła:

- Czasami, zwłaszcza kiedy jestem zmęczona, wyrzekam na długą jazdę, ale nie żałuję, kiedy już jestem tutaj.

Jego wzrok przesunął się od widoku Currituck Sound w kierunku jej twarzy, oświetlonej światłem księżyca.

- Rozumiem dlaczego. To miejsce i ty macie wiele wspólnego.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego.

- W jakim sensie?

Wypił łyk kawy, nie odwracając od niej wzroku.

- Jest tajemnicze - powiedział opuszczając kubek. - Tak jak ty. Drzewa i krzaki otaczające dom wydają się osłaniać rzeczy, których nikt z zewnątrz nie powinien widzieć. Sądzę, że do pewnego stopnia wszyscy maskujemy się w ten czy inny sposób. Powierzchnia wody kryje głębiny. Tak jak ty.

Lekko obróciła się ku niemu, stawiając pusty kubek na poręczu ganku.

- Sądysz, że znasz mnie tak dobrze po jednym dniu?

Jej włosy były lekko potargane przez wiatr, a kilka jedwabistych kosmyków spadało na policzek. Zacisnął palce na kubku, aby nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć jej.

- Nie znam cię tak dobrze, ale cię poznam. Poczula się dziwnie zagrożona, chociaż nie wykonał żadnego ruchu w jej kierunku. Duma nie pozwoliłaby jej cofać się przed nim. Podniosła

brodę. .

- Wiele się spodziewasz po tym weekendzie. Jej twarz była teraz w cieniu. Nie widział dobrze jej wyrazu, ale usłyszał ostrożność w jej głosie. Posuwał się do przodu za szybko i wiedział o tym. Chociaż jego ciało mówiło mu, że nie posuwał się dostatecznie szybko.

Opierając się o poręcz, zapytał:

- Skoro mówimy o weekendzie, jakie są plany na jutro?

- Zakupy.

- Zakupy? Jechałem dwie godziny, żeby iść na zakupy?

- To zajmie tylko godzinę, może mniej. Amy potrzebuje szortów i przewiewnej bluzki, żeby móc się swobodnie bawić. Kiedy wypakowywałam jej ubrania, zauważyłam, że wzięłaś dla niej dwie strojne sukienki.

- To wszystko, co ma. Moja była żona kształtuje Amy na

własne podobieństwo.

Lauren wydawało się, że słyszy rozbawienie w jego głosie.

- A czy twoja była żona też się tak przejmuje czystością? Zauważyłam, że Amy ma manię na punkcie unikania brudu.

- Stała walka Martine z brudem, kurzem, nieporządkiem. Ona jest jak delikatny, ozdobny wazon: piękny, kiedy na niego patrzeć, ale nieporęczny.

- W porządku - powiedziała - w ten weekend Amy będzie zachowywać się jak zwykła trzyletnia dziewczynka. Pomogę jej, żeby tak wyglądała. Ubranie będzie na początek.

Mówiąc sobie, że wcale nie ucieka, zrobiła krok w stronę drzwi.

- Pójdę sprawdzić, co z małą. Była trochę niespokojna, kiedy położyłam ją do łóżka.

- Lauren? - jego głos zatrzymał ją. Zawahała się z ręką na wpół otwartych drzwiach.

Spojrzała na niego.

- Tak?

Ruszył wolno w jej kierunku, zatrzymując się o parę centymetrów od niej. Położył rękę na drzwiach, tuż nad jej dłonią.

- Nie podziękowałam ci za to, co zrobiłaś dla mnie i Amy.

- Dlaczego nie poczekaś z podziękowaniami do końca weekendu? Jeszcze nic nie zrobiłam. - Oddałaś nam swój weekend - uległ chęci dotknięcia jej, pogłaskał delikatnie linie jej twarzy.

- Co byś robiła, gdyby nas tutaj nie było?

Wieczorne powietrze było chłodne, ale jej zrobiło się gorąco. Jego dotyk sprawił, że pożądanie przeniknęło ją aż po koniuszki nerwów. Odchrząknęła w nadziei, że nie zdradzi jej głos.

- Nic szczególnego. Podlewanie kwiatków, wycieranie

kurzy. Umarłbyś z nudów.

Nie wystarczyło mu dotknąć jej. John opuścił rękę i cofnął się do poręczy. Odwrócił się do niej tyłem i spojrzał na wodę.

- Dobranoc, Lauren.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę a potem weszła do środka, zamykając delikatnie drzwi za sobą.

Dziwny dźwięk przebił się przez opary snu i obudził Johna. Przekręcił się na brzuch i sięgnął po zegarek na szafce nocnej. Zdziwił się, kiedy jego palce nie znalazły go na zwykłym miejscu. Oczy piekły z niewyspania, kiedy je otworzył. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był obrazek na przeciwległej ścianie. Przedstawiał klęczącą indiankę, wkładającą ziarna zboża do wzorzystego glinianego dzbana. Na podłodze pod obrazkiem znajdował się duży dzban dokładnie odpowiadający temu, stojącemu przed indianką.

Nie powinienem czuć się zaskoczony ceramiką w pokoju, pomyślał. Dlaczego miałyby to być pusty pokój? Po całym domu, nawet w łazience, porozstawiane były dzbany różnych rozmiarów. Potrącił stopą jeden, a inny prawie zrzucił ze stołu, kiedy wszedł do domu po spacerze przed snem. Widocznie szwagierka Lauren miała słabość do ceramiki.

Od drzwi dobiegł go kuszący aromat kawy, zachęcając do wyjścia z łóżka. Kiedy odrzucił prześcieradła, usłyszał łagodny szmer głosów - jeden należał do jego córki, a drugi do kobiety, która była przyczyną jego kłopotów z zaśnięciem.

Wchodząc do kuchni dziesięć minut później, John zatrzymał się gwałtownie w drzwiach. Amy, przynajmniej zdawało mu się, że była to Amy, stała na stołku przy stole, mieszając coś w dużej misce. Gdzieś zniknęły jej strojne sukienki, lakierki i warkocze. Miała na sobie tylko za duży podkoszulek z wielką, żółtą, uśmiechniętą buzią na przodzie. i tak było dobrze. Włosy były

uczesane w koński ogon.

Rozejrzał się za Lauren i zobaczył ją stojącą przy piecyku z chochlą w ręku. Miała na sobie białe szorty i krótką bluzeczkę, inną niż wczoraj, tym razem beżową w białe grochy. Jej zgrabne, obnażone nogi przykuły jego uwagę przez dłuższą chwilę. Twarz była pozbawiona makijażu, połyskliwe blond włosy opadały na policzki, kiedy pochylała głowę nad rondlem. Sięgnęła po solniczkę ponad kuchenką i wtedy dojrzał kawałek gołej skóry nad paskiem. Miał ochotę przesunąć ręką po jej ciele, obrysowując delikatne krągłości. Wstrząsnęła nim fala pożądania, odwrócił wzrok.

Potrzebował filiżanki kawy. Amy zauważyła go pierwsza.

- Cześć, tato. Robię naleśniki.

Podszedł do stołu i zajrzał do miski. Zaintrygowany tym, co zobaczył, zapytał:

- Co to jest, to niebieskie?

- Czarne jagody. Lorn mówi, że z nich są najlepsze naleśniki.

Lauren odwróciła się, napotkała jego wzrok. Wyczytała z niego wszystko. Rozpoznawała zdesperowanego faceta na pierwszy rzut oka.

- Dzbanek z kawą stoi koło zlewu.

- Jestem twoim dłużnikiem - wymamrotał, starając się, by jego głos nie zdradził złego humoru.

Zanim zdążył wypić drugą filiżankę kawy, Lauren przygotowała naleśniki, usmażyła kiełbaski, nałożyła jajecznicę i z pomocą Amy nakryła do stołu. Wcześniej wyjęła z zamrażalnika mleko w kartonie, pozostawione tam poprzedniego weekendu i teraz naląła Amy szklankę. W końcu zaprosiła gości do stołu. Zanim Amy się usadowiła, Lauren podwyższyła jej siedzenie, kładąc na krześle dwie książki telefoniczne.



John zapytał, jak czuje się Amy, i dowiedział się, że gorączka minęła. Amy przytaknęła.

- Lorn powiedziała, że mogę wyjść, ale nadal muszę brać lekarstwo.

W czasie śniadania Lauren wyłożyła swoje propozycje spędzenia dnia.

- Możemy skoczyć do miasta i kupić parę rzeczy dla Amy. Potem możemy iść na spacer do lasu albo na ryby, albo na plażę, albo nałapać krabów na obiad.

- Ty nie masz plaży - powiedziała Amy.

Lauren uśmiechnęła się do niej.

- Ale Atlantyk ma. Jest niedaleko. Możemy zdjąć buty i pochodzić po piasku, zbudować zamek z piasku i karmić mewy. Spojrzała na Johna. - Co o tym sądzisz?

- Męczące.

Zauważyła, że jest w cierpkim humorze i podjęła:

- Będziesz się musiał trzymać nas, dziewczyn, albo zostawimy cię z tyłu.

Zazwyczaj nie jadł dużo na śniadanie, więc zdziwił się stwierdziwszy, że sięga po następny naleśnik.

- Zniosę spacer po lesie i po plaży, ale nie jestem pewien punktu programu z krabami. Jadałem kraby, ale w życiu żadnego nie złapałem. A co z zakupami?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Może to nieco nadwyrężyć twoją kieszeń, ale będziesz się przy tym dobrze bawić.

Nie użyłby określenia "dobrze się bawić", na to, czego doświadczył, robiąc zakupy z córką i z Lauren. Było to na pewno interesujące i nowe. Lauren z prostego zadania wybierania i przymierzania ubrań zrobiła zabawę. Gdyby to zależało od niego, pozostawiłby do uznania sprzedawcy wybór

ubrań dla Amy. Lauren działała w inny sposób. Sprawiała, że Amy sama zainteresowała się wyborem swoich ciuszków, interweniując tylko w wypadku bardziej kontrowersyjnych wzorów czy zbyt śmiałego zestawienia kolorów.

Kiedy poprzestały na dwóch strojach, John poprosił Lauren, żeby wybrała jeszcze z tuzin. Zawahała się, a wtedy on zaczął ściągać ubrania z wieszaków i podawać je Amy. W chwili, gdy trzymał w ręku koronkową, białą szmatkę, zobaczył, że Lauren śmieje się głośno, usłyszał też chichot Amy.

Spojrzał na jedną i na drugą.

- Co w tym śmiesznego?

- To są akurat majtki. To się nosi pod sukienką, a nie zamiast.

Przytrzymał wieszak z majtkami, aby przyjrzeć się im bliżej.

- Faktycznie, majtki.

Lauren odebrała je od niego i odwiesiła z powrotem.

- Sądziłam, że zauważysz różnicę bez względu na rozmiar.

W jego oczach zabłysło rozbawienie.

- Może nie jestem tak światowym mężczyzną, jak ci się wydaje.

Musiała przyznać, że odbił piłeczkę. Tak czy inaczej, pełen był niespodzianek.

- Widocznie nie. Nie sądzisz, że ta wycieczka po zakupy może być wychowawcza?

- Uczę się czegoś nowego co chwilę - cofnął się w stronę krzesła i usiadł. - Zostawiam resztę zakupów wam, skoro jesteście ekspertkami.

Falbaniasta sukienka, którą miała na sobie Amy, została złożona i schowana do torby. Na propozycję Lauren, Amy włożyła od razu jeden ze swoich nowych strojów. John niósł liczne nagromadzone przez nie torby, chociaż Lauren

ofiarowała pomoc w transportowaniu nabytków.

- Ktoś z nas musi mieć wolną rękę, żeby móc kupić lody - powiedział John.

Amy spojrzała na niego z nadzieją.

- Lody? Możemy zjeść lody?

- Pewnie. Jakie lubisz najbardziej?

- Waniliowe i polane lukrem.

Nie brzmiało to dla niego zbyt zachęcająco, ale tego chciała Amy, więc to właśnie dostanie.

Znaleźli miejsce, gdzie można było kupić lody i usiedli przy stoliku ustawionym na dworze, skąd roztaczał się wspaniały widok na ocean. John wypił filiżankę kawy, a Lauren i Amy zabrały się do swoich deserów lodowych. Życzenie Amy zostało spełnione. Szczęśliwa ściągnęła łyżeczką kolorowe kawałeczki lukru, a potem zaczęła drążyć masę waniliową. Lauren zamówiła zestaw składający się z sorbetu cytrynowego z czekoladą, udekorowanego z wierzchu bitą śmietaną.

Dostrzegając lekko przerażony wyraz jego twarzy, kiedy śledził łyżeczkę wędrującą do jej ust, uśmiechnęła się i z przyjemnością kończyła sorbet. Była nieświadoma, jak działał na niego widok jej różowego języka, oblizującego dolną wargę. Nabrała łyżeczką ze swojej porcji i podała mu.

- Chcesz spróbować?

Tego spojrzenie nadal spoczywało na jej ustach, a jego głos był nader sugestywny, kiedy odezwał się:

- Niekoniecznie lodów.

- Nie mam nic innego do zaoferowania - powiedziała zdawkowym tonem, zdziwiona, że jej głos nie był tak kruchy jak jej obrona przed nim.

- Na pewno? - zajrzał jej w oczy.

- Tak.

To dziwne, jak ciężko było wypowiedzieć jedną proste słowo. Być może dlatego, że było to największe kłamstwo w jej życiu.

Amy śledziła rozmowę dorosłych, jej oczy wędrowały tam i z powrotem, jakby obserwowała mecz tenisowy. Przygrzewało ciepło, lipcowe słońce, lody roztopiały się w szybkim tempie. Ponieważ nie uważała na to, co robi, kapka lodów spadła jej z łyżeczki na przód nowej bluzki. Krzyknęła i spojrzała na ojca szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami.

John zauważył przerażenie w jej oczach i zastanowił się, skąd się bierze. Ochłapanie się odrobiną lodów nie wydawało mu się wielką katastrofą, jaką widocznie było dla niej.

instynkt podpowiedział mu, żeby potraktować sytuację lekko. Podał jej serwetkę.

- Masz tutaj, kotku. Wytrzymaj się i skończ lody, zanim mewy zechcą zjeść je za ciebie.

- Ja nie chciałam, to po prostu kapnęło - wzięła serwetkę i wytarła bluzeczkę drżącymi rękami .

- Wypadki zdarzają się każdemu - powiedział spokojnie. - Nie martw się tym. Twoje ubranko się wypierze.

John zauważył namysł w oczach Lauren, gdy przyglądała się Amy, gorączkowo wycierającej plamę na przodzie. A potem zrobiła coś, co kompletnie go zaskoczyło. Kiedy Amy zajęta była usuwaniem kompromitującego śladu lodów, Lauren stuknęła łyżeczką w pucharek, specjalnie pryskając na swoją bluzkę odrobiną deseru.

- Lepiej i mnie podaj serwetkę, jeśli już skończyłaś, Amy - powiedziała obojętnym tonem. - Zobacz, co narobiłam .

Oczy dziewczynki rozszerzyły się, kiedy zobaczyła plamę na bluzce Lauren. Potem spojrzała na ojca, żeby zobaczyć jego reakcję.

Swiadom skierowanej na niego uwagi córki, John podał Lauren drugą serwetkę:

- Jak tak dalej pójdzie, będę musiał zdobyć większą ilość serwetek - powiedział rozbawiony.

Lauren uśmiechnęła się do Amy.

- Jest taki zły, bo zamówił głupią kawę zamiast pysznych lodów.

- Ja skończyłem moją głupią kawę, a lody Amy zamieniają się w zupę waniliową. Lepiej pośpieszcie się, jeśli macie zamiar kończyć tę maź.

Amy wbiła w niego wzrok.

- Jesteś zły? Jestem cała zapaćkana.

- Troszkę zapaćkania nikomu nie szkodzi, kotku. Od tego jest woda i mydło.

Lauren roześmiała się.

- Po drodze będziemy musiały podejść w stronę oceanu i oczyścić się, zanim wsiądziemy do twego samochodu.

Amy okazała zdumienie połączone z zachwytem. Spojrzała na fale załamujące się na piaszczystej plaży, a potem znów na Lauren.

- Możemy podejść bliżej wody?

- Możemy nawet wejść do wody. Przynajmniej zamoczyć nogi. Zdejmij buty, pochodzimy po plaży. I może znajdziemy jakąś muszelkę.

John przyglądał się, jak Lauren i Amy zdejmują sandały, zastanawiając się jednocześnie nad wydarzeniami ostatnich minut. Z pomocą Lauren incydent z rozchłapanymi lodami został zażegnany. Później omówi z Lauren reakcję Amy, spróbuje wyjaśnić, skąd u niej taka mania czystości, i powie, że nie wie, co zrobić, żeby to zmienić.

Odwrócił się. Lauren wzięła się pod boki, stała tak przy stole

i wyglądała na zniecierpliwioną.

- Co takiego!

- Twoje buty - powiedziała wskazując na jego skórzane półbuty.

- Coś z nimi nie w porządku?

- Ciągle masz je na nogach.

Lubił, kiedy jej oczy błyszczały życiem i śmiechem.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza.

Powiedziała wolno, jakby mówiła do słupa:

- Przemokną, jeśli ich nie zdejmiesz.

- A co, zanoszą się na deszcz?

Wpatrywała się w niego przez parę sekund spod przymrużonych powiek, a potem schyliła się i szepnęła coś Amy do ucha. Podeszły z obu stron do Johna, wzięły go za ręce i zmusiły, żeby wstał.

- Porywacie mnie? Czy to w porządku?

Pociągnęły go w kierunku plaży.

- Dwie na jednego - powiedziała Lauren. - Większość decyduje.

- Więc jeden mężczyzna nie ma szans - wziął je za ręce. - Nikt nigdy nie powie, że psuję zabawę. Jeśli chcecie spaceru po plaży, będziecie go miały - zatrzymał się, żeby zdjąć buty i skarpetki i podwinąć nogawki spodni. - Lekarka powiedziała, że Amy nie wolno się kąpać.

- Nie będzie się kąpać, tylko brodzić. Jest dzisiaj ponad 25 stopni ciepła, więc nie będzie jej zimno. poza tym zażyła lekarstwo i będziemy jej bardzo pilnować.

W końcu przekonało go błaganie Amy. Kiedy uskakiwali przed falami, a potem zanurzyli w nie stopy, Amy wzięła go za rękę. Słyszał jej śmiech i podniecony głos. Zapomniała o pobrudzonym ubraniu, przynajmniej na chwilę. Przyniosła im do

obejrzenia maleńkie muszelki, pokazywała je ze swobodą jemu i Lauren.

Po raz pierwszy, odkąd odebrał ją na lotnisku, poczuł, że była nadzieja na nawiązanie bliższej więzi.

W pewnym momencie Lauren przypadkowo otarła się o niego, uskakując przed nieco większą falą. Poczuł kuszący dotyk jej krągłych bioder i jej miękką pierś na swoim ramieniu. Wystarczyła taka drobna rzecz, zwykłe dotknięcie, aby był poruszony do szpiku kości.

Postanowił bliżej poznać nie tylko własną córkę, ale i Lauren McLean.

Lauren nalegała, żeby Amy zdrzemnęła się po południu. Podała jej lekarstwo i wsadziła do łóżka. Dziecko nie miało już gorączki, ale Lauren wolała przesadzić z ostrożnością, niż zaniedbać czegokolwiek, co dotyczyło zdrowia Amy. Słońce, morskie powietrze i ruch na tyle zmęczyły Amy, że poszła spać bez nadmiernych protestów.

Kiedy Lauren była z małą na górze, John siedział w obszernym salonie, przyglądając się niezwykłemu naczyniu ceramicznemu. Przesunął palcem po chropowatej powierzchni, a jego myśli wróciły do wydarzeń tego ranka.

Nie zwykł był spacerować po plaży. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby pomagać Lauren w przygotowaniach do obiadu. Zwykle chodził do restauracji albo kupował coś na wynos. Nigdy nie podgrzewał zupy pomidorowej, a tym bardziej nie jadł zupy z grzankami z serem. Nigdy nie zmywał naczyń ani nie wycierał mleka z dziecięcej twarzy.

A teraz robił to wszystko. i podobało mu się to. Przez cały ranek Lauren wyszukiwała preteksty, żeby skłonić Amy do rozmawiania z nim, do pokazywania mu znalezionych skarbów. Zachęcała dziecko do zadawania mu pytań o różne przedmioty znajdujące się na plaży. Jej strategia - jeśli tak można było to nazwać - przynosiła skutki. Amy podchodziła do niego z większą swobodą, nawet sama brała go za rękę w czasie spaceru po plaży. Nie był na tyle naiwny, żeby sądzić, że do rozwiązania wszystkich ich problemów wystarczył jeden ranek, wiedział, że czekała go jeszcze długa droga, ale nie wydawała mu się tak odległa jak jeszcze wczoraj.

Chociaż bosa stopy Lauren nie czyniły najmniejszego szmeru na sosnowej podłodze, wiedział, że weszła do pokoju. Przeszyła go świadomość jej obecności, poczuł skurcz w



żołądka. Odstawił wazon i odwrócił się powoli.

Widywał się i bywał z kobietami piękniejszymi niż ona. Więc dlaczego jego serce biło szybciej, gdy ona była blisko? Nigdy przedtem tak na niego nie działała. Znał ją przecież od roku i nie odczuwał na jej widok żadnych specjalnych emocji, poza zwykłym uznaniem, jakie wzbudziłaby każda atrakcyjna, inteligentna kobieta. Kiedy zmieniły się jego uczucia? W którym momencie silne pragnienie fizyczne zastąpiło przypadkowe zainteresowanie? i co miał z tym zrobić?

Lauren, nieświadoma biegu jego myśli, spojrzała na wazon, który wzbudził jego zainteresowanie.

- Czy lubi pan ceramikę, panie Zachary?

- Myślałem, że umówiliśmy się, że jesteśmy na ty.

- Myślałam o tym. Nie wydaje mi się rozsądne przyzwyczajając się do nazywania cię Johnem, kiedy w poniedziałek rano staniesz się znowu panem Zacharym.

- Postaraj się - powiedział ponuro. - Ja nie zamierzam przechodzić na Mac ani w poniedziałek, ani w żaden inny dzień.

Wzruszyła ramiona mi, jakby było to jej obojętne.

- Jesteś szefem.

- Tylko w Raytech - wycedził. - Chyba mam rozwiązanie. Jeśli tylko fakt, że pracujesz dla mnie powstrzymuje cię przed zwracaniem się do mnie po imieniu, to cię zwalniam.

Lauren parsknęła śmiechem.

- W porządku, przesadzam, jestem głupia i ... - zamilkła. - Możesz w każdej chwili przerwać mi i zaprzeczyć.

- Masz rację - przesunął palcem wzdłuż jej nosa, a potem po policzku. - Możesz ustawić, ile chcesz przeszkód, ale nie zdziw się, kiedy pokonam je wszystkie.

Udało jej się uniknąć odpowiedzi, bo na ganku rozległy się ciężkie kroki, a potem usłyszeli głośne stukanie do drzwi.

Odstawiła wazon na stół.

- To pewnie Silas.

Kiedy Lauren otworzyła drzwi, John usłyszał niski męski głos, odpowiadający na jej pozdrowienia. Zaraz potem kudłaty kłęb futra wpadł do pokoju. Można było mieć wątpliwości co do rasy psa, ale nie co do jego natury. Wywijał ogonem, kiedy Lauren odruchowo klepała go po głowie, i nie zaprzestając rytmicznych wymachiwań podszedł do Johna.

Zamiast zaprosić właściciela psa do środka, Lauren wyszła na dwór.

- Co dzisiaj dla mnie masz, Silas?

Silas Trane wepchnął stwardniałe dłonie pod spód swojego kombinezonu i powiedział ochryplym głosem:

- Nieźle sztuki. Rano złapane. Świeższych panienka nie dostanie.

Lauren mogła zaoszczędzić sobie wymiany słów z sąsiadem, jako że każdej soboty, kiedy przynosił jej kraby, krewetki albo ryby, mówił dokładnie to samo. Sześć razy w tygodniu wy pływał wraz z dwoma synami łódką rybacką do Albemarle Sound. Przedtem przynosił ryby Danny'emu i Sheili, a teraz, po tym jak jej brat i szwagierka wyjechali, zaopatrywał w to, co złowił Lauren. Jego skóra wydawała się chropowata, była spalona i szorstka przez ciągłe działanie słońca i słonej wody. Na swój burkliwy sposób był bardzo uprzejmy, a jego forma zwracania się do kobiet przypominała czasy Wojny Domowej. Znał ją od ponad roku, a nadal zwracał się do niej "panienko Lauren". Pomagał

jej zawsze, ilekroć trzeba było wnieść do domu coś cięższego niż grapefruit.

Kiedy Lauren razem z Silasem podeszła do furgonetki, z szoferki wyszedł jego młodszy syn. Tony Trane miał lat

dziewiętnaście, ale jego mięśniami można by oddzielić trzech mężczyzn. Zawinięte rękawy koszuli i ucięte nogawki postrzępionych dżinsów odsłaniały mocne jak dąb nogi i ramiona.

Przywitał się w zwykły sposób, niedźwiedzim uściskiem. Był przyjacielski jak jego pies i okazywał to.

- Jak się masz, Lauren?

Z trudem łapała oddech i poczuła ulgę, kiedy wypuścił ją z objęć.

- Cześć, Tony. Wszystko świetnie. Podeszła do tyłu furgonetki.

- Mam dwójkę gości, więc spodziewam się, że przywiozłeś trochę więcej z twojego połowu. Wystarczy dla wszystkich?

Silas opuścił klapę.

- Zależy, jak bardzo są głodni.

Sięgnął do dużego plastikowego wiadra. Gruba warstwa pokruszonego lodu przykrywała coś w środku. Włożył rękę w lód i wyciągnął różową krewetkę.

- Dziękuję, Silas. Uwielbiam świeże krewetki. Silas wyciągnął z drugiego wiadra parę dodatkowych krewetek i przełożył je do tego, przeznaczonego dla Lauren. Potem kiwnął głową w stronę ganku.

- Czy to jest ten gość?

Lauren podążyła za jego spojrzeniem. John wyszedł na zewnątrz i opierał się o jeden z filarów podtrzymujących dach. Przyglądał się jej.

- Tak - przedstawiła Johna Silasowi i jego synowi. - To jest John Zachary, mój pracodawca. Spędzają u mnie z córką weekend. Panie Zachary, to jest Silas Trane i jego syn, Tony. Silas wypływa łódką rybacką, a jego dwaj synowie pomagają mu łowić.

John zszedł ze schodów. Stając koło Lauren, uścisnął ręce obu mężczyznom.

- Pan też z Norfolk? - zapytał Silas.

- Tak.

- Pierwszy raz tutaj?

- Z Lauren tak. Byłem parę razy w Nags Head w interesach.

Tony patrzył to na Lauren, to na Johna.

- Nadgodziny w czasie weekendu? - mruknął podnosząc brew. Potem uśmiechnął się. - Pewnie, że to lepsze, niż spędzać cały czas przy glinie.

- Cieszę się, że jesteś za, Tony - powiedziała sucho. Odwróciła się do wiadra z krewetkami. Lepiej wniosę to do środka, lód się rozpuszcza.

Kiedy Tony sięgnął po wiadro, John podszedł do furgonetki.

- Ja to wezmę.

Tony podał mu wiadro, jakby ważyło ciut więcej niż bochenek chleba. John chrząknął i wzmocnił uchwyt na rączce wiadra, kiedy poczuł cały jego ciężar.

Lauren podziękowała Silasowi za krewetki i dodała:

- Czy zaproszenie na pływanie z tobą w któryś z tych weekendów jest aktualne?

- W każdej chwili.

Stary człowiek zamilkł, potem spojrzał na Johna i znowu na Lauren.

- Czy w następny weekend też potrzeba będzie więcej?

Potrząsnęła głową i powiedziała "nie" w tej samej chwili, kiedy John odpowiedział "tak". Gestem posiadacza, który zaskoczył ich oboje, położył jej rękę na ramieniu.

Silas chrząknął z dziwnym wyrazem twarzy. - Nora prosiła mnie, żebym przypomniał o pieczeniu świni dziś po południu, panienko Lauren. Potrzebujemy kogoś, kto by dobrze obracał,

więc mam nadzieję, że będzie pani mogła przyjść - patrząc na Johna dodał: - Pani gość jest, oczywiście, też zaproszony.

Zupełnie o tym zapomniała.

- Postaramy się. Córeczka Johna nie jest zupełnie zdrowa. Zobaczymy, jak będzie się czuła, kiedy wstanie, teraz śpi.

Silas kiwnął głową i wsiadł do samochodu.

Tony zagwizdał głośno i pies wypadł z za rogu domu. Wskoczył na tył furgonetki, nie przestając wywijać ogonem.

Lauren stała obok Johna, dopóki Tony zawracał samochód na zwirowanym podejździe, ale jak tylko zniknął z oczu, odskoczyła od Johna.

Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała ze złością. Co zrobiłem?

- Dałeś do zrozumienia, że jesteś czymś Więcej niż moim pracodawcą.

Szedł z wiadrem w kierunku schodów.

- Bo jestem - stanął i obejrzał się na nią. Dałem do zrozumienia dokładnie to, co chciałem dać - odwrócił się do niej twarzą. - Lauren zaczął cierpliwie - nie chciałem, aby ten młody neandertalczyk cię dotykał. Jeśli chcesz, możesz to nazwać uzurpowaniem sobie praw. Ale on teraz wie, jak się rzeczy mają.

Przez kilka chwil Lauren nie mogła zebrać myśli. W końcu powiedziała:

- To wie więcej niż ja. Spojrzał na wiadro.

- Może lepiej byśmy się wzięli za obieranie krewetek? Nie wydaje mi się, żeby upływ czasu dobrze im robił.

- Za chwilę. Muszę to wyjaśnić. To ty chciałeś, żeby spędzić ten weekend w atmosferze oficjalnej, pamiętasz? Jesteś tutaj ze względu na Amy. J to jest jedyny powód.

Spojrzał jej w oczy z powagą.

- Wiem, dlaczego tu jestem, Lauren. Mało prawdopodobne, żebym zapomniał.

Specjalnie uchylał się od odpowiedzi. Westchnęła i powiedziała:

- Możemy obrać krewetki na ganku. Zajrzyj do córki, a ja tymczasem poszukam patelni.

Obieranie krewetek opóźniło się o parę minut, bo John stwierdził, że Amy już się obudziła. Od razu zapytała o Lauren, więc wyniósł dziewczynkę na ganek.

Lauren nie poprosiła Amy o pomoc. Obieranie krewetek nie jest ulubionym zajęciem dzieci, a jeszcze, biorąc pod uwagę niechęć Amy do zabrudzenia się, na pewno nie zachwyciłoby jej odcinanie śliskich, krewetkowych główek. Lauren poszła do kuchni i wróciła ze szklanką mleka i herbatnikami.

Podczas kiedy ona i John zajmowali się krewetkami, Amy usiadła na górnym stopniu w pewnej odległości od nich, popijając mleko i chrupiąc herbatniki. Zajrzała do wiadra, powiedziała "fuj" i zostawiła ich przy pracy. Wydawała się zupełnie zadowolona, kiedy tak przyglądała się temu, co się działo wokół - przepływającym czasem łódkom, ptakom przelatującym nad głową.

John zauważył, z jaką wprawą Lauren obiera krewetki - czyściła trzy w czasie, którego on potrzebował na uporanie się z jedną. Czasem woda ochlapywała jej nogi i szorty, a włosy wokół twarzy były w nieładzie.

W pewnej chwili, kiedy sięgnęła do plastikowego kubła po kolejną krewetkę, spostrzegła, że John nie pomaga jej. Spojrzała na niego. Opierał się o ścianę z rękami założonymi na piersi. Przyglądał się jej z dziwnym skupieniem.

- O co chodzi? - zapytała rozdrażniona. - Staram się poskładać cię w całość. Zanurzyła rękę w wiadrze.

- Poskładać mnie w całość? Czy przypominam krzyżówkę?

- Nie znam żadnej kobiety, która obierałaby krewetki z taką

łatwością. Jesteś kobietą złożoną z wielu części.

Jego sformułowanie rozbawiło ją. Rzucając krewetkę na patelnię, powiedziała lekkim tonem: - Mam tyle części, co każda inna kobieta. Wolał nawet nie myśleć o jej atrakcyjnych częściach.

- Zauważyłem - powiedział sucho. - Radzisz sobie z cyframi w dziale umów, z łatwością oczarowujesz trzylatki, a teraz stwierdzam, że jesteś ekspertem w odrywaniu główek skorupiakom. Zastanawiam się, co będzie następne.

- Następne jest pieczenie świni - wytarła ręce w leżący na kolanach ręcznik. - To znaczy, jeśli chcesz iść. Jeśli nie, możecie z Amy pójść na spacer do lasu. Możesz pokazać jej kwiaty, roślinki, takie rzeczy.

- Wolałbym, żebyśmy wszyscy poszli na pieczenie świni - jakby to nie wyglądało. Taki jest cel tego weekendu, prawda? Żebyśmy byli raz - m.

Podawała mu ręcznik.

- Celem tego weekendu jest dla ciebie poznanie córki. Możesz to robić przez kilka godzin beze mnie.

- Mógłbym, ale nil: chcę - zacisnął zęby, a wyraz jego oczu stwardniał. - A może wolałabyś iść bez nas? Czy o to właśnie ci chodzi?

- Nie, tego nie powiedziałam - spojrzała na Amy, a potem znów na niego. - Kiedy ten weekend się skończy, będziesz miał ją tylko dla siebie. Równie dobrze możesz pobyć z nią trochę sam na sam po południu.

Jego ciemne oczy poszukały jej wzroku. Była z nim bardzo ostrożna, bardziej, niż wynikało to z sytuacji, i chcąc nic chcąc zastanawiał się dlaczego. Męczyło go, że kiedy robił krok w jej stronę, ona oddalała się od niego o dwa. Musiała być jakaś przyczyna takiego postępowania i do niego należało odkrycie,

skąd to się brało. Ale chwila nie była po temu sposobna.

Opowiedz mi o pieczeniu świni.

- Domyślam się, że nie praktykuje się tego w New Hampshire.

- Skąd wiesz, że jestem z New Hampshire?

- Plotki z Raytech - uśmiechnęła się, kiedy otworzył szeroko oczy ze zdumienia. - Powinieneś się spodziewać, że twoi podwładni interesują się człowiekiem, który płaci im pensje.

- Nie spodziewałem się tego. Nikomu nic do mojego życia prywa tego. Co jeszcze słyszałaś o mnie?

Zamilkła na chwilę przypominając sobie, co wic. - Jesteś jedynakiem. Twoja matka mieszka na Florydzie. Twój ojciec umarł, kiedy byłeś w szkole średniej. Grywasz w tenisa w każdy wtorek i czwartek. Płacisz na cele dobroczynne, ale nie wspomagasz polityków. Plotka rze wiedzieli, że jesteś rozwiedziony, ale nieznany był im fakt posiadania przez ciebie dziecka. Zwrócił się do ciebie duży koncern, zainteresowany wykupieniem twojej firmy, ale odmówiłeś. To byłoby wszystko.

Spojrzał zupełnie oszołomiony, ale nie zły. - Jaki jest numer moich butów?

Uśmiechnęła się.

- Przykro mi, ta informacja była nie do zdobycia.

- To z przyczyny plotkarstwa nie podobało ci się, jak ludzie nam się przyglądali, kiedy wychodziliśmy wczoraj z biura?

Jej uśmiech zniknął.

- Ludzie, którzy nas widzieli, nie będą wiedzieli, że wyszliśmy razem w tak niewinnych celach, jak to jest w istocie. Będą sobie wyobrażać sytuacje, które nie mają miejsca.

Biorąc pod uwagę, że jego myśli w tym czasie wcale nie były tak niewinne, John nie mógł winić personelu za myślenie, ani mu tego zabronić. Pojął, w jakiej sytuacji postawił Lauren,



nie zdając sobie z tego sprawy. Gdyby ktokolwiek z personelu dowiedział się, że spędzają razem weekend, jej reputacja byłaby zniszczona. Gdyby nawet nie doszło między nimi do zbliżenia, to i tak większość ludzi wyobrażałaby to sobie inaczej, dla wszystkich byłoby jasne, że on i Lauren mają romans. istniały specjalne określenia dla kobiet, które sypiały ze swoimi szefami, i żadne z nich nie było miłe.

- Powiesz mi, gdyby ktoś cię uraził?

- Nie sędzę - zobaczyła, że zmarszczył brwi. - Widziano nas razem w holu. Nic więcej. Nie ma o czym mówić, więc nie przejmuj się tym.

Nie ciągnął tematu.

- Miałaś opowiedzieć mi o pieczeniu świni.

- Pieczenie świni polega na jedzeniu pieczonej świni i fury innych potraw, a poza tym wszyscy bawią się przy tym jak w starych, dobrych czasach. Wnosi się małą opłatę za tę konkretną pieczoną świnię, a to po to, żeby zebrać pieniądze na utrzymanie cmentarza położonego po drugiej stronie ulicy, przy którym odędzie się pieczenie świni.

- To może być dobra zabawa. O której wyruszamy?

- Za jakieś dwie godziny. Co chciałbyś robić do tego czasu?

- A co ty byś robiła, gdyby nic było nas tutaj?

Już wcześniej podlałaś kwiatki i wytarłaś kurze.

Jej uśmiech był nieco tajemniczy.

- Nie sędzę, żeby cię zainteresowało to, co zwykle robię.

- A może mnie wypróbujesz? Jestem gotów nawet łapać kraby.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

- Zwykle pracuję.

- Pracujesz? - tego się najmniej spodziewał. Co to za praca? Jeśli tylko Simpson nie przydzielił ci jakiegóś dodatkowej pracy, o

której nie wiem, nie masz nic do roboty dla Raytech.

- To nie ten rodzaj pracy.

- Lauren, teraz mnie zaintrygowałaś.

Zastanawiała się, czy pokazać mu, jak spędza weekendy. W końcu zdecydowała się, przywołała Amy.

- idziemy na mały spacer. Chcesz iść z nami? Zamiast udać się w kierunku wody na połów krabów czy ryb albo do lasu na spacer, Lauren poprowadziła ich w stronę jednego z małych zabudowań, mieszczących się za domem. Zanim otworzyła drzwi, poprosiła Amy, żeby nie dotykała niczego bez pytania.

Amy obiecała jej to i wtedy Lauren otworzyła drzwi. Pośrodku pokoju stało koło garncarskie. Przy dwóch ścianach znajdowały się półki pełne glinianych garnków, kubków, pucharów, kufli i wazonów różnych rozmiarów i kształtów. Jeden z kątów zajmował ustawiony na ceglach ogniotrwałych mały piec do wypalania, a na niskim kwadratowym stoliku obok koła garncarskiego ułożone były w porządku, gotowe do użycia, narzędzia do modelowania. Na wieszaku za drzwiami wisiały dwa kitle.

John przyglądał się temu wszystkiemu.

- To tym zajmujesz się w każdy weekend? Ta cała ceramika w domu i biurze jest twoim dziełem?

Potrząsnęła głową.

- Większość zrobiła Sheila. Ja się tylko uczę. Powiedziała, że mogę używać jej narzędzi w czasie jej nieobecności, i tak robię.

Podszedł do jednego z regałów zastawionego dużą ilością wykończonych już kubków.

- Pełna jesteś niespodzianek.

- Dlatego, że uczę się garncarstwa?

- To też.

- A poza tym? - nie wiedząc dlaczego, poczuła się w jakiś sposób zepchnięta do defensywy.

Odwrócił się od półki i spojrzał na nią.

- Ten dom, ta ceramika, ten weekend. W tym wszystkim jest samotność. Skłonny byłbym przypuszczać, że raczej spędzasz czas z przyjaciółmi.

- Chcesz powiedzieć, że przypuszczałeś, że będę z mężczyzną?

- Nie jest to takie niezwykle. Kobietom to się często zdarza.

- Mężczyznom też - spojrzała na Amy, która daremnie starała się wprawić w ruch koło garncarskie. Chyba zdajesz sobie sprawę, że sporo zmieni się w twoim życiu teraz, kiedy musisz poświęcać więcej czasu dziecku.

Wiedział, co miała na myśli. Fakt, że jego życie towarzyskie przestało istnieć, odkąd pojawiła się Amy. Powędrował wzrokiem w kierunku córki, potem z powrotem do Lauren. Wpadające przez okno słońce lśniło na jej włosach i oświetlało jej smukłą figurę. Nie żałował, że sprawy tak się potoczyły.

- Posiadanie córki ma też swoje dobre strony. To dzięki Amy zostałem zaproszony do spędzenia weekendu z piękną kobietą. Jak dotąd nie zgłaszam skarg.

- Weekend się jeszcze nie skończył. Będę przyjmować skargi w niedzielę wieczorem - wzięła Amy za rękę i poprowadziła ją w stronę drzwi. - Zwiedzanie fabryki ceramiki zakończone. A może byśmy poszli do lasu? Poszukamy tam leśnych kwiatów, żeby ozdobić dom. A potem przeberzemy się przed piknikiem. Co o tym sądzisz?

John nie wyszedł razem z nimi. Znowu robi to samo, pomyślał. Każdą próbę zbliżenia traktuje jak niechciany podarunek. Rozejrzał się po pomieszczeniu, jeszcze raz ogarnął wzrokiem wyposażenie i ukończone prace. A więc tu spędzała

swój wolny czas. Formując glinę, zamiast kształtować życie jakiegoś człowieka. Zastanawiał się, czy uda mu się odkryć podczas tego weekendu, dlaczego ukrywa się w Połnocnej Karolinie. Dlaczego go odpycha?

Amy podeszła do drzwi.

- Tatusiu? Nie idziesz z nami?

Prawie godzinę spacerowali po lesie, a potem wrócili do domu z naręczami kwiatów, które ustawili w ceramicznych wazonach. i już wypadało zacząć się przygotowywać do świętowania. Dla Johna była to tylko kwestia zmiany koszuli, rzecz niezbędna po ich włóczędztwie po lesie, Lauren potrzebowała paru minut, żeby zmienić bluzkę i szorty. Tym razem wystąpiła na biało – różowo, stroju dopełniał skórzany pasek ściągnięty w talii. O ile Lauren podjęcie decyzji co do stroju nie zajęło zbyt wiele czasu, o tyle Amy nie było łatwo wybrać któreś z nowych ubrań.

Ze schodów Lauren przywołała Johna na górę. Pojawił się w drzwiach pokoju Amy z zapytaniem: - Na co się mogę przydać?

Lauren miała na końcu języka odpowiedź, ale się powstrzymała. Pragnęła go bardziej niż powietrza do oddychania. Jednak pragnąć a mieć to były dwie zupełnie różne rzeczy.

- Twoja córka potrzebuje rady. Wygląda na to, że trudno jej się zdecydować, co na siebie włożyć.

Przyjrzał się rzeczom rozłożonym na łóżku. Wyglądało na to, że Amy wyciągnęła wszystkie ranne nabytki. Napotkał rozbawione spojrzenie Lauren.

- i to ja mam pomóc jej wybrać? A pamiętasz, jak pomyliłem majtki z sukienką?

Lauren obejrzała się na Amy, która trzymała bluzkę w niebieskie prążki i szorty w pomarańczowe kropki.

- Chyba już nic gorszego nie zrobisz.

- Może masz rację.

Podeszła do drzwi.

- Zostawiam was, zastanawiajcie się.

Dziesięć minut później John wyszedł z pokoju Amy. W końcu wspólnie wybrali strój, choć nie obyło się bez interesującej wymiany zdań. Odebrał właśnie kolejną lekcję ojcostwa.

Kiedy przechodził koło pokoju Lauren, zauważył, że klęczy na czworakach i zagląda pod łóżko. Tym razem nie miał trudności w rozpoznaniu jej od tyłu.

Zajrzał do środka, opierając się o framugę.

- Zgubiłaś coś?

Podniosła się. Spojrzała na niego i mruknęła:

- Tak, bransoletkę. Byłam pewna, że przywiozłam ją tutaj w poprzedni weekend, a teraz nie mogę jej znaleźć.

Podszedł do toaletki, na której stało owalne naczynie ceramiczne z biżuterią. Przetrzęsął błyskotki i znalazł złote kółko.

- Czy to ta?

Podeszła do niego.

- Dzięki. Nie uwierzysz, ale rozgrzebałam to wszystko i nie zauważyłam jej.

- W tej chwili jestem gotów uwierzyć we wszystko - zwrócił uwagę na sposób, w jaki dotknęła bransoletki po włożeniu jej na rękę. - Wydaje się, że ma dla ciebie specjalną wartość.

Puściła bransoletkę.

- Powtarzam sobie, żeby nie przywiązywać się do rzeczy. Zostawiłam ją tutaj celowo, żeby udowodnić sobie, że świetnie się bez niej czuję. Czy Amy jest gotowa? Powinniśmy zaraz wychodzić.

Poinformowała mnie, że potrafi ubrać się sama - chciał nawiązać do wcześniejszej uwagi Lauren. - Dlaczego myślisz, że powinnaś obywać się bez tej bransoletki. Widać, że ją bardzo lubisz.

Właśnie dlatego.

- Gubię się w tym, nic nie rozumiem.

- Nie warto przywiązywać się do niczego, bo jest ci ciężko, kiedy to tracisz.

Oczy Johna zwięzły się, kiedy obserwował, jak podchodziła do szafy. Poczul się, jakby otrzymał cios w żołądek. Uzupełnił jej słowa o to, co nie zostało głośno powiedziane. Mówiła nie tylko o rzeczach. Nie chciała przywiązywać się ani do ludzi, ani do przedmiotów, bo obawiała się, że zaboli ją ich strata.

Jego wewnętrzny instykt podszeptał mu, że odkrył przyczynę, dla której odrzucała go za każdym razem, gdy już wydawało mu się, że udaje mu się do niej zbliżyć. Nie chciała się angażować, bo nie spodziewała się, by to, co między nimi mogło zaistnieć, miało szansę na przetrwanie. Z opisu jej życia rodzinnego wynikało, że wszystkie związki emocjonalne, jakie przeżywała w okresie dojrzewania, nie były trwałe. Broniła się więc w jedyny znany sobie sposób.

Przyglądał się, jak wdzięcznym ruchem wsunęła sandały na stopy i zapinała rzemyki. Ona o tym nie wiedziała, ale on już postanowił, że nie dopuści do jej utraty. Nie pozwoli jej odejść.

- Nie słyszę żadnych odgłosów walki z pokoju Amy - powiedziała, stając naprzeciw niego. Czy miałeś jakieś kłopoty, pomagając jej w wyborze stroju?

- Nie zdawałem sobie sprawy, jakimi dyplomatami muszą być rodzice. Była tak podekscytowana strojami, że chciała włożyć kilka naraz. - A jak wyperswadowałeś jej ten pomysł?

- Powiedziałem jej, że jeśli będzie nosić tylko jeden

dziennie, to starczy jej na dłużej.

Lauren odwzajemniła jego uśmiech.

- Bardzo dobrze. Szybko się uczysz.

- Mam dobrą nauczycielkę - podszedł do łóżka i usiadł. Chciała, żebym uczesał jej włosy, ale powiedziałem, że ty jej pomożesz, jak będziesz ubrana.

Lauren ściągnęła usta, żeby powstrzymać się od śmiechu.

- W twoich ustach brzmi to tak, jakby prosiła cię o coś strasznego. Wiesz, trzeba ją codziennie czesać. Mógłbyś zacząć się przyzwyczajać. Jest za mała, żeby mogła to robić sama.

- Ale ja nic nie wiem na temat czesania dziewczęcych włosów.

- Przecież codziennie sam się czeszesz. To jest to samo.

- To nie jest to samo. Ona ma długie i delikatne włosy, mógłbym ją za mocno pociągnąć.

Podeszła do toaletki i wzięła do ręki komplet składający się ze szczotki i grzebienia z kości słoniowej, prezent Danny'ego na szesnaste urodziny. Zbliżyła się do Johna i pokazała mu je:

- To nie są narzędzia tortur. Nie sprawisz jej bólu.

Spojrzał na szczotkę, potem na nią. Uśmiechnął się lekko i zapytał:

- Czy są do tego załączone instrukcje?

- Najpierw poćwicz. To naprawdę nietrudne.

Przez chwilę po prostu przyglądał się szczotce i grzebieniowi. Potem wstał, wziął je do ręki.

- To dobry pomysł.

Posadził ją na łóżku. Zdziwiona zapytała:

- Co robisz?

Materac ugiął się pod jego ciężarem.

- Powiedziałaś, żeby poćwiczyć. To właśnie zamierzam zrobić.

- Radziłam, żebyś ćwiczył na sobie, a nie na mnie - zaczęła podnosić się z łóżka, ale przytrzymał ją za ramię. - Jeśli mam ćwiczyć trudną sztukę czesania włosów, masz siedzieć spokojnie.

Uklęknął tuż za nią. Poczuła, jak szczotka zsuwa się miękko z tyłu głowy. Jego ręka podążała za każdym ruchem szczotki, jego dotknięcie było delikatne jak powiew wiatru. Zamiast używać grzebienia, palcami rozczesywał pasma jej jedwabistych włosów.

Cudowne wrażenia, jakich doświadczała przy każdym dotknięciu jego palców, złagodziły jej opór, rozluźniła mięśnie pleców i cieszyła się jego bliskością. Jej oczy zamykały się w miarę, jak jego palce pieściły napięte mięśnie jej karku.

Łóżko poruszyło się delikatnie, kiedy przesunął się tak, że znalazła się między jego kolanami. Położył jej rękę na ramieniu i wyczuł jej napięcie.

- Odpręż się - szepnął.

Czuła jego ciepły oddech na swoim karku, zdawał się wlewać gorąco w jej żyły. W chaosie zwariowanych myśli zastanawiała się, jak miała się odprężyć, kiedy jej ciało każdym najdrobniejszym nerwem reagowało na jego dotyk. Otworzyła oczy i zobaczyła ich odbicie w lustrze toaletki.

- Myślę, że już potrafisz John.

Jego ręka zacisnęła się na jej karku, kiedy próbowała odsunąć się od niego.

- W końcu nie było to takie trudne.

- Mówiłam ci, że nie jest.

- Nie było ci trudno wymówić moje imię.

Nacisk jego palców uspokoił ją, rozluźniła mięśnie pleców, w końcu oparła się o jego klatkę piersiową. Szczotka upadła na posłanie, kiedy jego ramię objęły jej talię. Poczuł jej drzenie,



usłyszał, jak głośno nabrała powietrza. Ulegając nieodpartej chęci, by objąć ją mocniej, wyciągnął rękę, sięgając od tyłu do jej biustu. Jego palce posuwały się coraz dalej, w końcu z rozkoszą zamknął dłoń na jej piersi. Jej głowa opadła na jego ramię.

- John - powiedziała bez tchu - nie.

- Lauren, tak - pochylił głowę i ukrył twarz na jej szyi. Przesunął się na bok i popchnął ją ramieniem. Łagodnym ruchem osunęła się na plecy, spoczywając częściowo pod nim.

Spojrzał na nią, oczekując protestu. Zamiast tego ujrzał wpatrzone w niego, pełne podniecenia oczy. Przeniknęło go dziwne uczucie triumfu. Zrozumiał, że ją również ogarnęło pożądanie.

Jego usta w nagłym nienasyceń przywarły do jej ust. Przytrzymując jej głowę, wdarł się między jej wargi, smakując ich ciepłe i wilgotne wnętrza. Jego ręka przesunęła się w dół, wzdłuż krągłości jej ramienia, rozkoszując się tym dotykiem. Pragnienie stało się żarem, który rozlewał się po ciele, palił jego zmysły.

Podniósł głowę tak, żeby zobaczyć jej twarz. Od tego, co zabaczył, zabrakło mu tchu. Gdyby nawet nie miał doświadczenia z kobietami, z łatwością mógłby rozpoznać, jakim pożądaniem świeciły jej brązowe oczy. Pragnął przygwoździć jej delikatne ciało do materaca, przeniknąć do głębi jej płomiennego żaru.

Na moment zaspokoilo jego pragnienie głaskanie jej bioder, potem jej ud. Kolanem rozwarł jej nogi. Jego palce natrafiły na obrąbek jej szortów i torowały sobie drogę dalej. Znowu przycisnął usta do jej warg, spijając cichy jęk rozkoszy i oddania, kiedy jego palce sforsowały barierę jedwabnej bielizny i dotarły do najskrytszego ciała.

Wyszeptała jego imię i wygięła biodra w łuk.

Rzucając głową po poduszce usiłowała oprzeć się ogarniającym ją niewiarygodnym doznaniom.

Jej imię spłynęło z jego ust jak pieszczota. Taka gorąca, taka kobieca, taka piękna.

Lauren czuła, że wpada w wir namiętności. Tonęła w morzu wrażeń, jakich nigdy przedtem nie doznała. Gdzieś w głębi tłukła się myśl, że nie są w domu sami.

Musiała przerwać czary, jakim się poddała, dopóki była w stanie. Wsunęła rękę, usiłując rozdzielić ich ciała, chwyciła go za nadgarstek. Nie miała tyle siły co on, ale powiedziała to jedno jedyne słowo, które mogło go powstrzymać, słowo potężniejsze niż "nie".

- Amy.

Johna zmroziło. Jego napięcie osłabło, chociaż ciągle czuł we krwi ciężkie i gorące pożądanie. Leżał z twarzą przytuloną do jej szyi, a jego oddech powoli wracał do zwykłego rytmu. Nawet wdychając zapach jej skóry, walczył o odzyskanie kontroli nad sobą.

Po paru sekundach zsunął się z niej. Ku jego zdziwieniu Lauren nie od razu zeskoczyła z łóżka, ale pozostała obok niego. Jego palce przesunęły się nieco na bok, odnalazły jej rękę. Niski, ochryply śmiech wypełnił ciszę zanim szepnął:

- Myślę, że potrzebuję jeszcze paru lekcji.

- Chyba żartujesz - Lauren parsknęła.

Podparł się na łokciu, po jego ustach błąkał się uśmiezek.

- Jako ojciec, oczywiście.

Chciała obrysować palcem jego usta, ale nie zrobiła tego.

- O jakich lekcjach mówisz? Zaliczyłeś czesanie.

Jego uśmiech przygasł.

Lauren, zupełnie o niej zapomniałem. Wszystko, czego

chciałem, to czuć cię obok siebie. Ani jednej myśli nie poświęciłem Amy. Jaki ze mnie ojciec?

- Jak każdy - zacisnęła palce wokół jego ręki. Pomyślała, że najwyższy czas ustawić we właściwej perspektywie wydarzenia ostatnich kilku minut. Będzie musiała go jakoś przekonać, że to była tylko chwila. Nie chciała, żeby wziął jej reakcję na poważnie.

- John, ja ...

Oboje usłyszeli odgłos sandałków na sosnowej podłodze korytarza. Lauren usiadła i spojrzała na Johna.

- Oglądanie nas razem w łóżku nie jest lekcje!, jakiej Amy najbardziej teraz potrzebuje.

- Ale jest lekcją, której najbardziej potrzebuję teraz ja - powiedział ochrypłym głosem, jedna k wstał z łóżka. Pomógł wstać Lauren i szybko ją pocałował. - Wrócimy do tego później. Myślę, że musimy najpierw zająć się pieczeniem świni.

- Ale ...

- Nie ma żadnych "ale" - pociągnął ją za rękę. - idziemy. Nie mogę się doczekać pichcenia świni, czy jak się tam zwie to, co mamy robić.

Godzinę później Lauren pomyślała, że biorąc pod uwagę ilość ludzi uczestniczących w pieczeniu świni, fundusz na rzecz porządkowania cmentarza będzie całkiem pokaźny. Dzień był piękny. Jasnoblękitne niebo i zdrowe apetyty zachęciły wielu ludzi do wzięcia udziału w imprezie na cele społeczne. Stoły z jedzeniem ustawione były po jednej stronie, a w bezpiecznej od nich odległości rozgrywano różne gry. Kilka atletycznie zbudowanych młodych mężczyzn celowało rzutkami, rozgrywało piłkę, rzucało podkowami i przerzucało przez siatkę badmintonowe lotki.

Lauren uczestniczyła przedtem w podobnych zgromadzeniach, więc nie dziwiło ją nic z tego, co widziała. Za to Amy przyjmowała wszystko jak pewna dziewczynka imieniem Alicja, która znalazła się nagle w Krainie Czarów. Sądząc z jej reakcji, była zarazem zafascynowana i nieco przestraszona hałasem, śmiechem i całym tym zgiełkiem.

Kiedy podeszli do stolika, gdzie sprzedawano wypieki domowej roboty, Nora Trane przywitała się z Lauren. Żona Silasa była pięćdziesięcioletnią kobietą, towarzyską z natury, a przed jej szczerymi oczami niewiele mogło się ukryć. Z wyglądu i charakteru zupełnie nie przypominała swego lakonicznego męża. Lubiła żywe kolory, i teraz miała na sobie koszulę koloru fuksji, którą nosiła do białych spodni. Plastikowe kolczyki w kształcie owoców pasowały do naszyjnika, który podzwaniał przy każdym jej ruchu, kiedy krzątała się za ladą kiosku.

Dla Nory świat i wszyscy jego mieszkańcy istnieli po to, żeby mogła przygarnąć ich do swej macierzyńskiej piersi, więc ponownie uściskała Lauren. Po ceremonii prezentacji Nora natychmiast pochyliła się, żeby wycałować Amy, wykrzykując jednocześnie, jakie z niej śliczne stworzenie. Następnie wzięła w

objęcia Johna, a potem przyjrzała mu się uważnie.

- Silas wspominał, że masz towarzystwo na ten weekend, Lauren. Przyznaję, że byłam zaintrygowana. Nigdy przedtem nie miałas gości. Tak naprawdę, to zdarza się po raz pierwszy, żeby mężczyzna ...

Lauren szybko jej przerwała.

- Chciałabym kupić twój słynny placek z batatów, Noro. Jestem pewna, że ani John ani Amy nigdy czegoś takiego nie próbowali.

Nic nie mogło bardziej ucieszyć Nory. Umieściła dwa placki w pudełku kartonowym i podała je Johnowi. Przyjęła pieniądze za jeden, upierając się, żeby drugi przyjęli jako prezent. Uśmiechając się do Lauren, powiedziała:

- Znasz to stare powiedzenie, że droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek. A mój placek pozwoli pójść na skróty.

- To dopiero musi być placek - John wsunął pudełko pod pachę.

Nora poklepała go po policzku.

- Nie wydaje mi się, żeby Lauren potrzebowała skrótów, żeby trafić do twego serca.

Usiłując przerwać prowokacyjne uwagi Nory, Lauren powiedziała:

- Zobaczymy się potem, Noro. Powinniśmy trochę się tu rozejrzeć. Chciałabym, żeby Amy zobaczyła parę rzeczy.

- Oczywiście, złotko - Nora przymrużyła oko. - Doskonale cię rozumiem. Nie zapomnijcie o konkursie stołu piknikowego. Może John zechce się przyłączyć.

- Myślę, że tylko popatrzymy. Tak będzie bezpieczniej.

- Bezpieczniej? - zapytał nic nie rozumiejąc John. - A co może być niebezpiecznego w piknikowym stole?

Kiedy młodsza kobieta za ladą kiosku odwołała Norę, ta

powiedziała:

- Muszę już iść, Marty mnie potrzebuje. Lauren, ty wyjaśnisz konkurs. i uśmiechając się szeroko do Johna dodała:

- Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy, John. Może będziesz chciał kiedyś wypłynąć łódką z Silasem. Lauren była na takiej wycieczce i podobało jej się. Amy mogłaby zostać w domu ze mną.

Zanim Lauren zdążyła się odezwać, John odpowiedział:

- Bylibyśmy zachwyceni, pani Trane.

- Proszę, mów do mnie Nora - przechyliła głowę. - Odnoszę wrażenie, że będziemy się często widywać, Johnie Zachary. Mam rację?

John rzucił Lauren krótkie spojrzenie, potem znów spojrzał na Norę.

- Tak, o ile będzie to ode mnie zależało. Lauren ruszyła z miejsca, trzymając mocno za rękę Amy. To zaczynało wymykać się spod kontroli. Próby powstrzymania Nory przed kojarzeniem ich w parę przypominały zagradzanie słoniowi drogi przy pomocy kartki papieru. Nora uznała za pewne, że John był kimś więcej niż gościem na ten weekend i jej pracodawcą. Starsza pani, jak Noe, sądziła, że wszyscy na świecie muszą żyć w parach.

Kiedy John dogonił je, zapytał:

- Co to takiego ten konkurs na stół piknikowy?

- Jak najwięcej ludzi stara się wdrapać na drewniany stół piknikowy, dopóki się nie zawali. Rekord wynosi, jak mi się wydaje, trzydzieści siedem osób - spojrzała na niego. - Jeśli chcesz spróbować, to jest to najlepszy sposób poznawania ludzi.

- Poddaję się, wielkie dzięki - pogłaskał ją po ramieniu.

Tylko obserwowali konkurs. Stary stół piknikowy został ogrodzony sznurem. Tłum widzów stał na zewnątrz,

pozostawiając odgrodzonym ludziom dużo miejsca. Mężczyzna z tubą, pełniący rolę arbitra, ogłaszał aktualną ilość osób za każdym razem, kiedy ktoś nowy gramolił się na stół, często tratując pozostałych. Dużo było śmiechu, upadków, ponownego wdrapywania się, a także - ku ucieście obecnych - łomotu, kiedy wszyscy uczestnicy lądowali na ziemi. Dawny rekord - trzydziestu siedmiu osób na stole - został pobity o dwie, przy czym obeszło się bez groźniejszych wypadków, jeśli nie liczyć paru wbitych drzazg i potłuczonych pup.

John wziął Amy na ręce, żeby mogła widzieć lepiej. Kiedy stół się zawalił, przykryła ręką usta, wydając okrzyk przestachu. Jednak kiedy zobaczyła, że nikomu nic się nie stało, śmiała się i klaskała, przyglądając się, jak uczestnicy stopniowo wyplątywali się z kłębowiska ciał.

- Myślę, że obejrzałem już, co najważniejsze. - John zachichotał.

- Jeśli ci się podobało - powiedziała Lauren - może chcesz zobaczyć jeszcze bicie w balony.

- Żartujesz.

Zaśmiała się.

- Na serio. Balony są wypełnione wodą i ludzie starają się je rozerwać, rzucając w nie woreczkami z fasolą. To nie jest takie proste, jak się wydaje.

Amy na jego rękach z podniecenia zaczęła się kręcić.

- Możemy? Tatusiu, możemy?

Smiejąc się z podniecenia malującego się na twarzy córki, powiedział:

- Dlaczego nie. Wydaje się, że to weekend nowych doświadczeń, więc możemy spróbować wszystkiego.

Kiedy postawił Amy na ziemi, złapała go za rękę, jakby to było coś najnaturalniejszego w świecie. Objął ją i poszukał

wzrokiem Lauren.

Kiedy ich spojrzenia się zetknęły, serce zabiło mu na widok wyrazu niezwyklej łagodności w jej oczach. Jakie szalone zmiany przyniosły te dwa dni: w zachowaniu jego córki i w jego stosunku do Lauren. Palce Johna zacisnęły się na rączce Amy, drugą rękę wyciągnął do Lauren. Przez chwilę wyglądała na zmieszaną, potem podała mu rękę.

Czuł w piersi coś dziwnego, jego myśli i uczucia wypełniła ogromna czułość. Nie wiedział, jak nazwać stan, w jakim się znajdował, bo nigdy przedtem nie doświadczył niczego podobnego. Co by to nie było, czuł się z tym dobrze.

Nagle Amy pociągnęła go za rękę. Musiała zrobić to parę razy, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

- Tatusiu, ja muszę pójść.

Spojrzał na nią.

- Za chwileczkę wyjdziemy, Amy. Myślałem, że chcesz porzucać w balony.

- Tatusiu - powiedziała żałośnie - naprawdę muszę pójść.

Zaczęło mu świtać, co miała na myśli jego córka. Spojrzał na Lauren, która uśmiechała się rozbawiona.

- Czy ona chce powiedzieć to, co mi się zdaje, że chce powiedzieć?

Przytaknęła.

- Czyż to nie wspaniałe?

Jego spojrzenie było puste.

- Tym razem sama ci powiedziała. Przecież tego chciałeś?

- To prawda, ale co mam teraz zrobić, szepnął, czując się trochę głupio. - Masz może jakiś pomysł, dokąd mógłbym ją zabrać?

- Tędy - po drodze odezwała się: - Lekcja sto czwarta. Zawsze kiedy jesteś w nowym miejscu, upewnij się, gdzie



znajduje się toaleta. Nigdy nie możesz przewidzieć, kiedy będzie musiała z niej skorzystać.

- Upewniłaś się, kiedy tu przyszliśmy?

- Z przyzwyczajenia. Musiałam się sporo zajmować młodszym bratem przyrodnim. Dla ciebie to się szczęśliwie składa.

John zgodził się z tym. Bycie ojcem wymagało doświadczenia, o jakim nigdy mu się nie śniło. Teraz będzie musiał wiecznie wypatrywać ubikacji.

W kilka godzin później zjedli już wszystko, co było do zjedzenia i obejrzeni wszystko, co było do obejrzenia. Amy pociągała nóżkami ze zmęczenia, kiedy szli do samochodu. John wziął ją na ręce i czuł się zabawnie uszczęśliwiony, czując jej ramionka wokół swojej szyi.

Kiedy dojechali do domu, zaniósł Amy do jej pokoju i pomógł Lauren ułożyć ją do snu. Ledwie przebrali ją w piżamę, położyli do łóżka i podali lekarstwo., zwinęła się w kłębek, podkładając sobie rękę pod policzek. Zamknęła oczy niemal natychmiast.

John siedział nadal przy jej łóżku.

- Jest taka malutka, taka bezbronna - szepnął.

- Rzeczywiście, ale jest też mocniejsza, niż ci się wydaje - dotknęła jego ramienia. - Pozwólmy jej spać, miała dzień pełen wrażeń.

- Chyba wszyscy mieliśmy - mruknął. Kiedy podążał za Lauren schodami w dół, podziwiał płynne ruchy jej ciała. Na dole schodów zatrzymała się i zerknęła na niego.

- Wiem, na co masz ochotę - powiedziała lekkim tonem.

Kąciki jego ust drgnęły.

- Też wiem, ale nie sądzę, żebyśmy mieli to samo na myśli.

W jej oczach ulotnie błysnęło zrozumienie sensu jego słów,

ale poza tym nie dała nic po sobie poznać.

- A może byś przeszedł do salonu i odpoczął? Zrobię kawę.

Przechodząc do kuchni, usłyszała, jak mamrocze:

- Wiedziałem, że nie chodziło nam o to samo.

Nim minęło dziesięć minut dołączyła do niego. John siedział na kanapie, nogi miał wyprostowane i skrzyżowane w kostkach. Ustawiła przyniesioną

tacę na niskim stoliku do kawy. Wzięła kubek i usiadła w kącie kanapy na podwiniętych nogach.

Czekając, aż kawa ostygnie, rozprawiali o wydarzeniach dnia, poczynając od zakupów, a kończąc na pieczeniu świni. Później John z pewnym zdziwieniem stwierdził, że rozmawiali tak długo i z taką wielką łatwością. Nie przypominał sobie, żeby wcześniej sprawiało mu przyjemność samo przebywanie w towarzystwie kobiety. Erotyka cały czas była obecna w jego świadomości, ale wystarczyło mu rozmawiać z nią, przebywać obok niej i dzielić się wrażeniami ze spędzonego razem dnia.

- Odłożyłaś placek z batatów Nory na jutro? - zapytał, kiedy uniosła kubek ze stolika.

- Zapomniałam o placku. Zostawiłam pudło na tylnym siedzeniu twego samochodu. Pójdę je przynieść.

Wyciągnął rękę, żeby zatrzymać ją, kiedy zaczęła rozprostowywać nogi.

- Siedź. Tak naprawdę, to nie potrzebuję go właśnie w tej chwili. Przyniosę go z samochodu później.

Podniósł kubek i pociągnął porządny łyk. Nagle zakrztusił się i zaczął gwałtownie łapać oddech. W kubku było coś więcej niż kawa. Odchrząknął. - Nie spodziewałem się kawy z niespodzianką.

- Dodałam kropelkę whisky. Pomyślałam, że zwykła kawa nie pozwoli ci zasnąć.

- Mogę mieć kłopoty z zaśnięciem, ale to nie z powodu kawy - powiedział sucho.

- Za dużo wrażeń?

- Będę miał kłopoty ze spaniem z tego samego powodu, co poprzedniej nocy - zauważył, że nie zrozumiała tego, co chciał powiedzieć. - Nie, to nie z powodu niewygodnego łóżka ani nowego otoczenia.

- Cierpisz na bezsenność?

- Nie, to z powodu ciebie.

Przyglądała mu się przez chwilę, wyglądała poważnie i jakoś smutnie.

- John, nie chcę o tym rozmawiać.

Przysunął się, aż znalazł się naprzeciwko niej.

- Nawet, jeśli to prawda?

- To nie jest prawda. Nie łączy nas nic poza wspólną chęcią dopomożenia Amy w przystosowaniu się do nowych warunków.

Odstawił kubek na stół.

- Sama w to nie wierzysz.

- Pracowałam dla ciebie ponad rok i nie sędzę, żebyś w tym czasie miał przeze mnie choć jedną nie przespaną noc. Trudno, żebym uwierzyła, że teraz myśl o mnie nie pozwala ci zasnąć.

- Przedtem cię nie pocałowałem.

Niepewność walczyła w niej z pragnieniem. Jej serce niebezpiecznie przyśpieszyło bicie. W końcu napotkała jego wzrok. Niepewność zwyciężyła.

- Pierwszy powiedziałeś, że umowa dotyczy konkretnej sprawy. Potem pocałowałeś mnie, żeby udowodnić, że możemy się zaangażować, jeśli do tego dopuścisz, ale powiedziałeś też, że nie dopuścisz. A teraz mówisz mi, że nie możesz przeze mnie spać.

- Nie dziwię się, że czujesz się w tym zagubiona. Mnie też

jest trudno uporządkować to wszystko - coś zmieniło się w jego oczach, kiedy przypatrywał się jej. - Dam ci przykład. Zawsze myślałem, że ci na mnie nie zależy.

Obawiając się, że się zdradzi, powiedziała obronnym tonem:

- Nawet cię nie znałam. Nadal cię nie znam.
- Nie poznasz mnie, jeśli będziesz mnie odpychała.

Nie mogła zaprzeczyć, że tak właśnie robiła.

- Czego ode mnie oczekujesz, John?
- Żebyś uwierzyła w moją stałość.
- Stałość? O czym ty mówisz?
- Teraz to nieważne. Sądzę, że jesteś kobietą, którą trzeba przekonywać. To przyjdzie z czasem.

Postawiła kubek na stole i wstała.

- Mamy jeszcze jeden dzień. To jest cały czas, jakim dysponujesz.

John szedł za nią. Zrobiła tylko parę kroków, kiedy wyciągnął rękę, aby ją zatrzymać. Dotknął jej ramienia, obrócił twarzą do siebie, przytulił do swego mocnego ciała. Pochylając głowę szepnął:

- Więc lepiej nie marnować ani minuty.

Jego usta przywarły do niej, jego ramiona mocniej przygarnęły ją do siebie. Jego pragnienie rozbudziło jej zmysły. Podczas gdy jego ręce głaskały jej plecy, język wtargnął w głąb jej ust. W odpowiedzi przebiegł ją dreszcz rozkoszy, pocałunek stał się głębszy, pełniejszy, i opanowała ją pierwotna namiętność. Na chwilę oderwał się od jej ust.

- Dotknij mnie, Lauren. Chcę czuć na sobie twoje ręce.

Niczym kukielka poruszana sznurkami, które on pociągał, podniosła ręce, objęła nimi jego szyję. Potem zsunęła je niżej i zaczęła głaskać twarde mięśnie jego pleców. Kiedy nie pocałował jej od razu, podniosła znów ręce i przytrzymała z tyłu

jego głowę, oczekując dotknięcia jego ust.

John miał poczucie triumfu. Jej reakcja zachwyciła go, dała mu ogromne zadowolenie. Nie odpychała go, ale razem z nim odczuwała rosnącą napiętność.

Objął jej biodra, przycisnął je do swego spragnionego ciała. Poczul przebiegający ją dreszcz. Staral się kierowac rozwojem sytuacji. Przyciagajac ja, przesuwal sie powoli z powrotem w strone kanapy, nie odrywajac od niej ust.

Lekki odglos zdziwienia wydobył sie z jej gardla, kiedy nogami dotknela krawedzi kanapy. Lagodnym ruchem opadla na poduszki. Poczula na sobie jego cięzar, zabraklo jej tchu, odczula podniecenie, jakiego wczesniej nawet nie byla w stanie sobie wyobrazic. Mogla poradzić sobie z brakiem powietrza w plucach, ale nie z tymi czarami, z ta goraca intensywnoscia.

Kiedy oderwal wargi od jej ust, poszukal delikatnej, pachnacej miękkości szyi. Wsunal kolano między jej nogi, rozchylił je. Czul, jak drzy pod nim, odkrywajac twardosc zdradzajaca jego pozadanie.

Doświadczenie powiedzialo mu, ze pragnela go tak samo goraco jak on jej. Nie, poprawil sie natychmiast. Prawie tak samo. Nie mogla dorownac mu w pozadaniu tętniacemu w jego krwi. Podniosl glowe i opuscil na nia wzrok. Pragnienie plonelo w jej oczach, goraco bilo z jej rozpalonej skory, wzmagajac jego ządze przeniknienia jej.

Nigdy nie przezywal tego tak intensywnie, odczuwajac zarazem przyjemnosc i bol. To bylo cos wiecej niz zwykla napiętność. Dotad nie byl sobie nawet w stanie wyobrazic, ze mozna az tak laknac kobiety.

Tej kobiety. Tylko jej.

Ujal jej twarz w obie dlonie. Opierajac sie na lokciach, aby zmniejszyc nieco cięzar swego ciała, wyszeptal:

- Można by pomyśleć, że to przytrafia się często mężczyźnie i kobiecie, ale mnie nie zda rzyło się nigdy tak szybko, tak nagle.

- John - szepnęła jakby z bólem - to niemądre.

Obwiodł kciukiem zarys jej podbródka.

- Może niemądre, ale nie mam dość siły, żeby się z tego wycofać.

- Potrzebujesz kobiety, a ja jestem pod ręką.

Jeśli spodziewała się, że go rozzłości, doznała rozczarowania. Dojrzał niepewność w głębi wpatrzonych w niego oczu. ploczuł wzruszenie, Jej ostrożność wyzwoliła w nim czułość. Chociaż w jego ciele nadal było napięcie i pulsowało w nim pożądanie, wiedział, że nie posunie się dalej.

Zsunął się z niej i usiadł pociągając ją za sobą.

Odgarnął jej z twarzy rozsypane włosy, palcem wskazującym przejechał po wilgotnej dolnej wardze.

- Pewnego dnia zrozumiesz, że pragnę ciebie, i że nie chodzi o jakąkolwiek kobietę. Poczekam do tego czasu - jego uśmiech nieco przygasł. - ,Tylko nie każ mi czekać zbyt długo.

Podniósł się i pomógł jej wstać. Położył jej ręce na ramionach i zajrzał w twarz.

- A teraz może byś poszła się położyć, zanim zapomnę o swoich dobrych intencjach?

- John - powiedziała, z trudem łapiąc oddech - powinniśmy o tym porozmawiać.

Objął ją w talii i przygarnął do siebie. Słyszac jej westchnienie i czytając jej z oczu, że peczuła jak był pobudzony, szepnął:

- idź, dopóki jestem w stanie ci na to pozwolić, Lauren. Jeśli potrzynam cię w objęciach jeszcze chwilę, nie będę mógł powstrzymać się, będę musiał się z tobą kochać. Staram się

postąpić właściwie. Wiem, że nie jesteś pewna tego, co jest między nami. Daję ci czas, jakiego potrzebujesz, żeby się upewnić.

Wytrzymała jego spojrzenie, walczyło w niej niezdecydowanie i zdrowy rozsądek. Pragnienie przenikało całą jej istotę. Trudno jej było odejść od jedynej mężczyzny, przy którym czuła się tak pełna życia i godna pożądania.

Oswobodzając się z jego ramion, zastanawiała się, dlaczego jest jej źle, jeśli postępuje słusznie. Powinna być wdzięczna, że uwolnił ją od pożądania popychającego ich ku sobie. Ale w głębi czuła pustkę, która boleśnie domagała się wypełnienia. W tej chwili nie była w stanie docenić jego wspaniałomyślności. Może uda się jej to później.

Kroczyła w stronę schodów.

- Lauren?

Nie odwróciła się, ale przystanęła, napięła mięśnie, jakby szykując się do obrony.

- Mam nadzieję, że nie chodzisz we śnie. Wykorzystałem mój limit dobrych uczynków na dziś. Nie mogę obiecać, że zostawię cię w spokoju, jeśli nagle zobaczę cię spacerującą po nocy.

Przytaknęła spokojnie i weszła na schody. Kilka razy musiała mocno przytrzymać się poręczy, żeby nie spaść w dół, w jego ramiona. Nie oglądając się za siebie, wśliznęła się do sypialni i spokojnie zamknęła za sobą drzwi.

Światło słoneczne wlewało się przez okno, padając z ukosa na łóżko i poduszkę Johna. Otworzył oczy i trąc je rękami odwrócił głowę. Mały zegarek na szafce nocnej wskazywał, że minęła ósma.

Wziął prysznic, ubrał się, a kiedy otworzył drzwi, zdał sobie sprawę, że na dole panuje cisza. Kuchnia rzeczywiście była

pusta, więc zaczął zastanawiać się, dokąd mogły pójść Lauren i Amy. Dzbanek z kawą czekał na niego na blacie koło zlewu. Z boku stał talerz przykryty folią. Uniósł folię i zobaczył paszteciki domowej roboty. Wziął ze sobą jeden z nich i z kubkiem kawy w ręce wyszedł z kuchni. Nie było śladu Lauren ani Amy.

- Cholera - mruknął - gdzie one, u diabła, się podziewają?

Ogarnął go nagły strach. Może powinien był wysłuchać, co Lauren miała mu wczoraj do powiedzenia. Nie wiedział, jakie były jej odczucia po tym, co się między nimi zdarzyło, bo nie pozwolił jej mówić. Myślał wtedy tylko o swoim niepoohamowanym pragnieniu i odgonił wszystkie inne myśli. Popchnął drzwi i wyszedł na ganek. Pogryzał paszteciki, popijał kawę, dusząc w sobie chęć sprawdzenia, czy jego samochód nadal znajduje się w garażu. Nie mogłaby po prostu wyjechać z Amy, nic mu nie mówiąc. To prawda, że nie znał jej dobrze ani od dawna, ale tyle o niej wiedział.

Usiadł i nasłuchiwał, kończąc jednocześnie swoją kawę i paszteciki. Nie mógł zrobić nic, tylko czekać, aż wrócą stamtąd, dokąd poszły. Tylko czekać ..

Wytrzymał cztery minuty i dwadzieścia dwie sekundy. Na szczęście kubek był mocny i zniósł bez szwanku energiczne odstawienie na drewniany stół. Zrobił to z całą siłą człowieka, będącego u kresu cierpliwości. John przemierzył kilka razy ganek, usiłując odgadnąć, w jakim kierunku powinien się udać, żeby odnaleźć obie zaginione kobiety.

Kiedy po raz kolejny przeszedł obok stołu, jego wzrok zatrzymał się na kubku. Przystanął, gwałtownie odwrócił się w stronę schodów i zszedł przeskakując co drugi stopień. Obszedł dom i skierował się w stronę budynku, który Lauren pokazała mu poprzedniego dnia. Zbliżając się do niego dostrzegł otwarte



drzwi i usłyszał swoją córkę żywo o czymś rozprawiającą.

Kiedy stanął w drzwiach, ujrzał je obie, ale one go nie zauważyły. Lauren siedziała przy kole garncarskim, a Amy przy małym stoliku, na którym leżał przed nią kawałek gliny. Lauren miała na sobie workowatą koszulę z troczkami zawiązanymi wokół pasa i podwiniętymi do łokci rękawami, i drelichowe szorty o obciętych nogawkach. Amy czuła się wygodnie w jednym z nowych, przewiewnych strojów. Włosy miała zebrane w koński ogon. Palcami próbowała ugniatać glinę, rozmawiając jednocześnie z Lauren.

Sama Lauren miała ręce zanurzone w glinie po przeguby, formowała bowiem na kole podstawę dzbanka.

- Czasami z czegoś lepkiego i paprzącego mogą powstać piękne rzeczy, Amy. Widzisz te wszystkie wazy i kubki na półkach? Wszystkie zaczęły się od takiej gliny, jaką masz przed sobą. A pamiętasz ciasto na naleśniki? Też było lepkie i paprzące, ale potem zjadłaś naleśnik, który był z niego zrobiony.

- Mamusia mówi, że niedobrze się wybrudzić - powiedziała Amy spokojnie. - Dziewczynki zawsze powinny być porządne i schludne, bo inaczej nikt ich nie będzie lubił.

John zacisnął szczęki, słysząc jak jego córka powtarza po matce. Chciał wejść do szopy, chociaż nie wiedział, co mógłby powiedzieć Amy. Wtedy usłyszał, jak przemówiła Lauren.

- Nie mówię, że twoja mama nie ma racji, Amy. Są ludzie, którzy nie lubią się brudzić, i to jest w porządku. Nie ma nic złego w tym, że ludzie chcą być czysti - Lauren zatrzymała koło i wyciągnęła ociekające gliną ręce. - Ale w tym też nie ma nic złego. Jeśli jestem troszeczkę nieporządna, robiąc coś ważnego dla mnie, nie przejmuję się tym. Kiedy skończę, umyję się i będę się mogła pokazać, kiedy będzie trzeba.

Amy klepnęła znów w glinę.

- Mamusia mówiła, że tatusiowi nie będzie się podobać, jak się ubrudzę.

Lauren zaczęła się zastanawiać, jak jej odpowiedzieć. Nie miała prawa wtrącać się do sposobu, w jaki matka Amy wychowywała córkę. John poprosił ją o pomoc przy Amy, ale to nie dawało jej prawa do lekceważącego traktowania poglądów jego byłej żony. Jednak dziecko nie powinno przejmować się czystością aż do tego stopnia. - Twój tatuś nie był zły, kiedy chlapnęłaś wczoraj lodami na bluzeczkę. Wiedział, że to było niechcący, tak samo jak wtedy, kiedy ja poplamiałam koszulę.

- Tatuś się nie brudzi.

Jako że nigdy przed tym weekendem nie zdarzyło się Lauren widzieć Johna inaczej niż ubranego w nieposzlakowane garnitury, musiała zgodzić się z Amy.

- Może teraz, kiedy jest dorosły, nie brudzi się. Jest człowiekiem interesu, pracuje głową, a nie rękami. Ale ciekawe, czy nigdy się nie utyłł, kiedy był mały. Mali chłopcy przeważnie grają w baseball, wspinają się na drzewa i grzebią w brudnych rzeczach przez cały czas.

Znowu wprawiła w ruch koło garncarskie i zanurzyła ręce w naczyniu z wodą stojącym obok niej. Nadając glinie kształt dzbanka, opowiadała jednocześnie Amy o przygodach, jakie przeżywali razem z bratem, kiedy byli mali.

Zajęła uwagę Amy historią o myciu ubłoconego owczarka angielskiego.

- Ten pies tak nie cierpiał się kąpać, a my musieliśmy wsadzić go do wanny - chichocząc Lauren dodała: - Pies w końcu był czysty, ale ja i Danny cali byliśmy w błocie, mydle i wodzie.

- Gniewali się na was?

Lauren roześmiała się. - Wykąpaliśmy się. John zawrócił w

stronę ganku. Rozmyślał nad tym wszystkim, co powiedziała Lauren, i zastanawiał się, co zrobić, żeby Amy zobaczyła go w innym świetle. Widziały go jednowymiarowo, jako człowieka w garniturze, człowieka interesu. Takie postrzeganie go było równie niesłuszne jak jego wcześniejsza wizja Lauren. W końcu pokazała mu nie dostrzegane przez niego wcześniej strony swojej osobowości. Teraz kolej na niego. Musiał się zastanowić, w jaki sposób pokazać siebie w innym świetle.

Wchodząc po stopniach ganku, zauważył kilka źdźbeł trawy, które przyczepiły się do nogawki dżinsów, gdy przechodził przez trawnik. Stał na trzecim stopniu, zgarnął źdźbła i rzucił je na ziemię. Nagle rozejrzał się po terenie otaczającym dom i roześmiał się. Znalazł sposób.

Do szopy wdarł się niezwykle hałas, zagłuszając odgłos poruszającego się koła garncarskiego. Lauren zatrzymała koło i zaczęła nasłuchiwać. Zmarszczyła brwi i z ręcznikiem w dłoniach, wycierając ręce, podeszła do drzwi.

- Co to za hałas - zapytała Amy. Lauren wyjrzała.

- Twój tata kosi trawnik. - W jej głosie brzmiało lekkie zdziwienie.

Wyszła z szopy, szybko przemierzyła trawnik i stanęła na drodze kosiarki. Kilka metrów od niej John wyłączył maszynę. Uśmiechnął się lekko, kiedy dostrzegł oznaki irytacji w jej oczach i zaciśniętych ustach. Jej spojrzenie ześlizgnęło się na jego odsłoniętą klatkę piersiową - kuszulę miał rozpiętą - i wyraz jej twarzy zmienił się. Zauważył to, z jej oczu wyzierało pożądanie. A więc pociągał ją, choć nie chciała się do tego przyznać. Poczł reakcję, jaką w jego ciele wywołało to odkrycie.

- i co ty wyrabiasz? - wzięła się pod boki. Ponieważ widać było, czym się zajmuje, wiedział, że nie chodzi jej o to, co robi,

ale dlaczego. - Zarabiam na swoje utrzymanie.

- Nie musisz pracować przy domu. Nie umawialiśmy się tak na ten weekend.

- Wiem, że nie muszę, ale chcę - uśmiechnął się - Podoba mi się to. Ale możesz poprosić Amy, żeby przyniosła mi coś zimnego do picia, zgrzałem się przy tej pracy.

Jeśli chodzi o Johna, rozmowa była skończona. Włączona kosiarka zawarczała, tylko czekał, żeby Lauren ustąpiła mu z drogi.

Nie była to jedyna praca, jakiej podjął się John tego ranka. Zagrabił potem skoszoną trawę, a także opadłe gałązki i inne śmieci. Nawet kiedy Lauren i Amy wróciły do domu, dalej pracował na dworze. Słońce stało coraz wyżej i robiło się coraz goręcej, więc John zdjął koszulę i przewiesił ją przez poręcz ganku.

Lauren widziała go z okna nad kuchennym zlewem, kiedy napełniała wodą salaterkę. Jego wilgotna skóra błyszczała w słońcu, a mięśnie pleców i ramion napinały się, kiedy przycinał krzewy. Woda zaczęła przelewać się z naczynia, więc skupiła się na tym, co robi. Zakręciła kran i pozwoliła sobie na jeszcze jedno spojrzenie w stronę mężczyzny na dworze. To było nie w porządku z jego strony, pomyślała. Widok jego obnażonego torsu sprawił, że poczuła w ciele żar i jakąś słabość. Jej ręce boleśnie pragnęły dotknąć jego gładkiej skóry i ....

- Cholera - mruknęła pod nosem - zupełnie oszalałam na jego punkcie.

Smieszna rzecz, częścią swej istoty łaknęła tych upajających wrażeń, jak głodny łaknie jedzenia. Umysł mógł ostrzegać ją do woli, ale ciało zapominało o tym, kiedy tylko on jej dotykał, a nawet, kiedy jej nie dotykał. Wystarczyło widzieć go czy przebywać z nim w tym samym pokoju, żeby zmysły dawały o

sobie znać.

Wzdychając ciężko, postawiła garnek na kuchence i włączyła piecyk. Pociąg, jaki w niej budził wcześniej, był tylko bladym odbiciem obecnej intensywności jej uczuć. Wiedziała, że go odpycha. On też to wiedział, ale - w przeciwieństwie do niej - nie znał przyczyny takiej postawy.

Jeśli była przesadnie ostrożna, czuła, że ma po temu powody. Nie interesował jej przelotny romans, za wiele było krótkotrwałych więzi w jej życiu. Nie będzie dobrowolnie dążyć do następnej takiej sytuacji.

Nie była na tyle głupia, żeby oczekiwać, że zwiąże się z Johnem na stałe. Nie była nawet pewna, czy tego by chciała. Widziała w swym życiu niewiele małżeństw, które dawałyby większe poczucie stabilności niż czasowy związek. Widziała ból po zerwaniu i konsekwencje rozwodu dla rodziny, także jej własnej rodziny. Amy była najlepszym przykładem, jak przy rozpadzie związku cierpią z powodu niestałości i niepewności niewinne ofiary.

Nie dopuści do tego, żeby się zaangażować.

Jeśli zasługuje przez to na miano tchórze, to trudno. Jest samotnym tchórzem. Musi tylko stawić opór magnetycznej sile jego przyciągania, jego fizycznej atrakcyjności. Tylko tyle.

Wyrwało jej się mało eleganckie słowo. Tylko tyle. Śmiać się chce. Utrzymanie dystansu, zarówno fizycznego, jak i emocjonalnego, będzie najtrudniejszą rzeczą w jej życiu.

Okazało się, że dwie następne godziny były łatwiejsze, niż przypuszczała. Amy zaniósła ojcu szklanekę mrożonej herbaty, poruszając się powolutku i ostrożnie, żeby nie uрониć ani kropli. Kiedy wypił, usiadł z córką na stopniach ganku. Lauren specjalnie pozostała w domu, zostawiając ich samych.

Kiedy zobaczyła, jak John wyciąga rękę, żeby pokazać córce

pobrudzoną dłoń, zrozumiała, dlaczego postanowił pracować na podwórku. Tłumaczył Amy, że to nic nie szkodzi, że się wybrudził. Okazał się bardziej spostrzegawczy i wrażliwy, niż się tego po nim spodziewała.

John i Amy siedzieli długo na schodkach.

Lauren nie miała pojęcia, o czym mówili, ale najważniejsze, że rozmawiali, a przynajmniej John mówił, a Amy słuchała. Kiedy w pewnej chwili Lauren wyjrzała sprawdzić, czy jeszcze tam siedzą, zobaczyła, że Amy chodzi z ojcem po podwórku, zbierając patyki, żeby położyć je na kupce wcześniej zebranych śmieci.

Wyglądało na to, że jednak weekend był udany. John i Amy musieli się umyć po pracy na podwórku. John wybrał prysznic, a Amy pluskała się w wannie, dopóki Lauren nie zawołała jej na lunch. Lauren ugotowała krewetki, w które zaopatrzył ją Silas, a na deser pokroiła placek z batatów.

Pokazali Amy, jak obierać krewetki, i dziewczynka szybko nabrała wprawy. Maczała każdą w sosie, dzieląc się jednocześnie z Lauren wrażeniami, jak pomagała tatusiowi sprzątać podwórko.

Lauren uśmiechała się, słuchając ożywionej paplaniny dziewczynki, i trochę żałowała, że weekend już dobiega końca. Ale trzeba było wracać do Norfolk. Kiedy zaczęła sprzątać ze stołu, powiedziała Johnowi, że będą musieli wkrótce jechać. Spojrzał na zegarek.

- Lauren, jest dopiero druga. Po co ten pośpiech?

Stojąc przy zlewie plecami do niego, sypnęła tyle proszku do rondla, że starczyłoby na wymycie wszystkich naczyń z kredensu.

- Mam parę rzeczy do zrobienia w mieszkaniu.

John wstał i podszedł do krzesła Amy. Pochylił się,

przemówił do niej łagodnie. Dziewczynka zeskoczyła z krzesła i przeszła do salonu. John zebrał ich talerze i zaniósł do zlewu.

- Amy jest w drugim pokoju, więc możesz mi powiedzieć, jaki jest prawdziwy powód twego pośpiechu.

6

Lauren odpowiedziała pytaniem:

- Co powiedziałaś Amy, że wyszła z pokoju?

- Powiedziałem, żeby powycierała kurze w salonie. Nie zmieniaj tematu.

- John, ona pomagała mi wycierać kurze wczoraj. Czy meble bardzo się mogą zakurzyć w ciągu jednego dnia?

- Przyglądałem się jej wczoraj, lubi odkurzać. Odpowiedz na moje pytanie.

- Zapomniałam, o co pytałeś.

Zdesperowany, podniósł ręce. Odszedł kilka kroków, potem odwrócił się do niej.

- Dlaczego chcesz jechać do Norfolk teraz? Lauren w milczeniu płukała talerze i szklanki w gorącej wodzie, wkładając w to zajęcie więcej energii niż należało. Mydliny szybko wypełniały zlew. Lauren wydała okrzyk przestrochu, kiedy piana zachlapała jej cały przód koszuli.

Uśmiechając się na wpół świadomie, mruknęła: - Z jedyne go powodu, potrzebne mi suche ubranie.

- Lauren - powiedział z wyraźną niecierpliwością - pytam poważnie. Dlaczego chcesz wyjechać wcześniej?

Pomyślała, że nie zamierza ustąpić. Wzięła ręcznik i odsunęła się od niego. Woląca zachować dystans. Kiedy wycierała koszulę, spróbowała odpowiedzieć lekkim tonem:

- A co za różnica, czy wyjedziemy za godzinę, czy o północy?

- Właśnie o to cię pytam - naciskał.

Złość na niego, na siebie, na całą tę sytuację sprawiła, że zaatakowała.

- Celem tego weekendu dla ciebie i Amy było, żebyście się lepiej poznali. i zostało to osiągnięte. Czuje się z tobą



swobodniej, rozmawia, bierze cię za rękę, mówi ci, kiedy chce iść do łazienki, pokazywała ci muszelki nad morzem.

Zamknęła usta po ostatniej uwadze. Zdała sobie sprawę, że zaczyna to brzmieć zbyt głupio. Wiedziała, że jej argumenty były słabe, ale nie mogła po prostu powiedzieć mu, że jej uczucia dla niego coraz bardziej zmieniały się w obsesję. Im szybciej będzie miała ten weekend za sobą, tym lepiej dla jej równowagi emocjonalnej.

- Ciągłe nie wyjaśniasz, dlaczego chcesz wyjechać wcześniej? - powiedział. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

Wiedziała, że uchodził za nieustępliwego i twardego w interesach. Oczywiście był taki sam w życiu osobistym. Myślała o prawdziwej przyczynie, a ponieważ nie potrafiła wymyślić nic innego, odpowiedziała:

- Mam parę rzeczy do zrobienia w Norfolk. Ty na pewno też.

Oparł się o blat.

- Mam coś do zrobienia? - zapytał łagodnie. - Co mam do zrobienia w Norfolk, czego nie mógłbym zrobić tutaj? Sama powiedziałaś, że głównym celem weekendu było dla mnie spędzenie czasu z córką. i to właśnie robię.

- Pani Hamish wyjechała. Musisz znaleźć inną opiekunkę, pamiętasz o tym?

- Zamierzałem prosić cię o radę w sprawie opiekunki dla Amy później, ale ponieważ mam mało czasu, lepiej zapytam teraz.

Nie dbała o jego sarkastyczny ton. Czując się w defensywie, podeszła do stołu, żeby zebrać resztę naczyń.

- Myślę, że powinieneś poszukać dla niej przedszkola. Mógłbyś odwozić ją po drodze do pracy i odbierać po drodze do domu. W ciągu dnia przebywałaby z rówieśnikami. Dobrze by

jej to zrobiło.

Johna zmroziło. Przyglądał się jej długo twardym wzrokiem, w końcu powiedział powoli:

- Jak zwykle masz gotową odpowiedź - nagle podszedł do niej, przerwał jej ustawianie naczytel. Wziął ją za rękę, odwrócił twarzą do siebie. Tylko nie na pytanie, które zadałem wcześniej. Chcę usłyszeć prawdę. Dlaczego chcesz, żeby ten weekend szybciej się skończył?

Usiłując okazać obojętność, jakiej wcale nie czuła, powiedziała:

- W takim razie, jeśli robisz z tego takie wielkie rzeczy, zostaniemy. Myślałam, że możemy wyruszyć do Nortolk wcześniej. Byłam tylko śmiesznie praktyczna. Mam parę rzeczy do zrobienia i ty tak samo. Głupio sobie pomyślałam, że łatwiej je będzie zrobić dziś wieczór niż jutro rano - wyrwała mu się, zrobiła odprawiający gest - Zapomnij, że wspomniałam o tym. Wymaż to ze swojej pamięci. Ja.,.

Przerwał jej tyradę, zamykając usta pocałunkiem. Sprawił, że rzeczywiście zamilkła. Oparł się o blat, przyciągając ją do siebie. Do ogarniającej go frustracji doszło pożądanie, od którego napięło się jego ciało. Zdając sobie sprawę ze swego rosnącego gniewu, rozluźnił uścisk. Przebiegający między nimi prąd pożądania zmienił kierunek, kiedy pocałował ją łagodnie, penetrując językiem ciepłe wnętrze jej wilgotnych ust.

Lauren miała wrażenie jazdy na karuzeli z wyżyn namiętności spadająca w łagodniejszą dolinę zmysłowości. Podniosła rękę, powoli przesuwając dłoń, aż objęła go w pasie. Odczuwała przyjemność, dotykając napiętych mięśni pod cienkim materiałem jego koszuli.

Wydawało jej się, że jest zamknięta w klatce jego ramion i ciała, ale zarazem cieszyła się wolnością, swobodą od wszelkich

zakazów. Ograniczenia, które sobie narzuciła, zostały zapomniane, i poddała się rozkoszy, jaką dawało trwanie w jego ramionach. Przytuliła się do niego, chcąc być bliżej jego ciepła, jego siły.

Powoli podniósł głowę, a jego pierś unosiła się i opadała w rytm jego miarowego oddechu. Kiedy spojrzał na nią, jego ciemne oczy wyrażały ogrom pulsującego w nim pragnienia.

- To nie to - powiedział niskim, ochrypłym głosem.

Z trudnością skoncentrowała na nim wzrok.

- Co?

- To nie jest powód, dla którego chcesz wyjechać. Pomyślałem sobie, że chcesz się mnie już pozbyć - jego ręce przesunęły się po jej plecach w stronę bioder, przygarnął ją mocniej do siebie.

Ale pragniesz mnie. Czuję w tobie pragnienie tak samo, jak ty czujesz moje.

Odchyliła ramiona do tyłu, mocniej przyciskając do niego biodra. Wcześniej nie uważała się za osobę zmysłową. Ale John pobudzał ją tak, że przy nim cała była ogniem i żarem. Skorupka z lodu, którą dla bezpieczeństwa zbudowała wokół siebie, topiła się w jego obecności.

Powoli, niechętnym ruchem, zdjęła ręce z jego pleców i oparła je na jego biodrach, przyglądając mu się uważnie.

Trwało dłuższą chwilę, zanim, nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia, opuściła głowę, opierając czoło o jego pierś. Jej głos był stłumiony, ale słyszalny.

- Pragnąć nie znaczy mlec.

- W tym przypadku może znaczyć.

Potrząsnęła głową. Z zamkniętymi oczami wdychała męski zapach i rozkoszowała się bliskością jego mocnego ciała. Nagle odsunęła się od niego gwałtownym ruchem. Założyła ręce na

piersiach, jakby chciała zatrzymać jego ciepło, i szepnęła:

- John, umówiliśmy się na ten weekend dla dobra Amy. Po co komplikować sprawy? Jutro ty będziesz panem Zacharym, a ja będę Mac. Wszystko wróci do normy.

Nie podszedł do niej, choć pragnął, by z powrotem znalazła się tam, gdzie powinna być, w jego ramionach.

- Bransoletka pozostała w miejscu, na które ją odłożyłaś, Lauren. Ja nie zostanę.

Zdziwiona, rozchyliła usta.

- O czym ty mówisz?

- Odłożyłaś bransoletkę, bo za mocno się do niej przywiązałaś. Teraz chcesz też odstawić mnie i to co jest między nami, dlatego że jestem dla ciebie coraz ważniejszy - jego ciemne oczy wytrzymały jej spojrzenie. - Tak nie będzie. Nie pozwolę, żeby tak było. To, co razem przeżyliśmy, nie może zostać schowane do szuflady tylko dlatego, że boisz się to stracić.

Jego przenikliwość poraziła ją, jednak nie chciała przyznać mu racji. Ruszyła do wyjścia.

- Nie wiesz, o czym mówisz.

Tym razem poszedł za nią. Jego palce zacisnęły się wokół jej ramienia, zatrzymał ją i obrócił do siebie. Ujmując w dłonie jej twarz, powiedział spokojnie:

- Ja też jestem w to zaangażowany. Czy skończymy z tym teraz, czy będziemy to kontynuować - decyzja należy do nas obojga, nie tylko do ciebie. Nie wiem, co jest między nami, ale nie chcę tego spokojnie odłożyć i zapomnieć.

Mimo żaru jego rąk, przebiegł ją dreszcz.

- Nie odczuwam niczego poza spokojem powiedziała ochryple. - i wątpię, żebym mogła zapomnieć, ale ...

- Nie ma żadnego "ale". Proszę tylko, żebyś dała nam

szansę lepszego poznania się.

Wyrwało jej się coś w rodzaju śmiechu.

- Tylko tyle? Nie prosisz o wiele, nieprawdaż?

Rozgarnął jej włosy palcami, przytrzymał ją pochylił głowę.

- Chcę wszystkiego.

Ona też chciała. Boże, pomóż, przebiegła jej szalona myśl, kiedy poczuła jego pieszczące usta, jego język. Ona też chciała wszystkiego.

Podnosząc się na palcach, wyszła mu naprzeciw z równą siłą. Jej ramiona splotły się na jego szyi. Gdyby przyszło jej później żałować, będzie miała przynajmniej wspomnienia na pociechę.

Kiedy znowu wtulił się w nią, musiał przywołać całą swą zdolność samokontroli, aby nie zapomnieć, że jego córka znajdowała się obok w salonie.

Pocieszał się tylko myślą, że wiele będzie jeszcze dni, wiele okazji, by być razem z Lauren.

Kiedy usłyszał delikatny głosik Amy dochodzący z salonu, niechętnie odsunął się od Lauren.

- Obowiązki ojcowskie.

Odszedł kilka kroków, kiedy przemówiła:

- John, jednak chciałabym wyjechać na godzinę. Naprawdę mam parę rzeczy do zrobienia - z uśmiechem dodała: - i do przemyślenia.

Nie odpowiedział od razu. Tykanie starego zegara w jadalni wydawało się donośne w ciszy, w jakiej jej się przyglądał. Nic nie zostało postanowione, ale instynkt podpowiedział mu, że nie powinien teraz naciskać. W końcu powiedział:

- W porządku.

Lauren była zdumiona jego ustępliwością. Jej spojrzenie pobiegło za nim, kiedy wychodził z kuchni. Podniosła rękę, żeby

założyć za ucho kosmyk włosów, i zamknęła oczy. Jego zapach był na jej rękach, na jej skórze, w jej duszy.

Było za późno. Nie mogła już otrząsnąć się ze swoich uczuć. To, co parę dni temu nazywała zakochaniem, okazało się rzeczą znacznie poważniejszą.

Otworzyła oczy, podeszła do zlewu i zapatrzyła się w okno. Po raz pierwszy jej ochronny pancerz nie pomógł. Kogo chciała oszukać? Musiała przyznać sama przed sobą - była zakochana w Johnie Zacharym.

Myślała, że taka jest zręczna, taka sprytna. Lepiej się nie angażować, nie dopuścić, by na kimkolwiek jej zależało. Nauczyło ją życie, że kiedy zależy jej na kimś, nieuchronnie przychodzi rozstanie, a to boli. i nieważne, czy to ona odchodzi, czy oni. Przerzucanie jej między ojcem a matką pozostawiło niezatarte ślady. Przyzwyczajała się do różnych domów, nowych ojczymów i nowych macoch, nowych przyrodnych braci i sióstr, nawet do przyrodnych dziadków, do nowych miast i tymczasowych domów.

Jeszcze trzy dni temu nie myślała, że mogłoby dojść do sytuacji, do której nie potrafiłaby się dostosować, albo że mogłaby pojawić się osoba, bez której nie potrafiłaby się obejść. Co dowodziło, że nie jest tak sprytna, jak jej się wydawało.

Lauren musiała poszukać torby na nowe ubrania Amy, a także pudła na muszelki i gałazki wyrzucone przez fale. Glina, którą Amy dostała od Lauren, też musiała się zmieścić, więc należało poszukać jeszcze jednego opakowania. No i był jeszcze kubek, na którym Lauren wypisała imię Amy. W tych okolicznościach zapakowanie wszystkiego do samochodu Johna zajęło nieco więcej czasu.

John obszedł wraz z nią dom, żeby upewnić się, czy wszystkie drzwi i okna są pozamykane, i w końcu wyruszyli po

trzeciej.

Droga powrotna do Norfolk przebiegała bez zakłóceń. Zazwyczaj o tej porze ruch był ożywiony, wielu ludzi wracało z weekendu w Outer Banks, i ta niedziela nie należała do wyjątków. John wykazywał za kierownicą cierpliwość, nie tak jak wielu kierowców naciskających klaksony albo wymijających inne samochody z piskiem opon. Lauren uczyła Amy paru dziecięcych piosenek, co sprawiło, że czas w drodze mijał szybciej.

Dojeżdżali już do granicy Norfolk, kiedy John, stając na światłach, odwrócił się do Lauren.

- Chcesz jechać prosto do domu, czy zjesz z nami obiad?
- Chcę jechać do domu.

Czerwone światło zmieniło się na zielone. John z powrotem skupił uwagę na jezdni.

- Nie mógłbym cię skusić soczystym stekiem albo olbrzymią sałatką?

- Nie, nie mógłbyś.

W milczeniu przejechali kilka przecznic.

- Co mam ci powiedzieć, żebyś zmieniła zamiar?

Spojrzała na Amy i zobaczyła, że ta zajęta jest wyglądaniem przez okno.

- Już mnie nie potrzebujesz, John, świetnie sobie poradzisz z Amy. - Po krótkiej ciszy dodała łagodnie: - Musisz być z nią sam na sam, wiesz o tym. Może zaczniesz dziś wieczorem.

John milczał, dopóki nie dojechali do następnych światel. Wtedy zerkając na nią, powiedział: - To co mówisz, brzmi tak, jakbym się jej obawiał.

Lauren nie odezwała się. Rzeczywiście tak uważała i nie mogła go zresztą za to winić. Odpowiedzialność za małe dziecko była olbrzymia, zwłaszcza że John nie miał doświadczenia z

dziećmi.

Milczenie Lauren było tak głośne i wyraźne, jakby przemówiła, i John w roztargnieniu bębnił po kierownicy. Może miała rację. Nie czuł się pewnie, będąc sam na sam z córką. Mógł równie dobrze przyznać się do tego przed sobą. Lauren miała też rację, że czasem powinien być sam na sam z Amy. Myliła się tylko sądząc, że jej nie potrzebował. Owszem, potrzebował, i to nie z powodu, o jakim myślała. Potrzebował jej dla siebie, nie dla swej córki.

Kiedy zaparkował przed jej domem, Lauren zaczęła delikatnie żegnać się z Amy. Dziewczynka spoglądała to na ojca to na Lauren i grymas zastąpił uśmiech. Wyprostowała się na swoim siedzeniu i położyła rączki na oparciu Lauren.

- Dlaczego nie możesz iść z nami?
- Bo mieszkam tutaj.
- Chcę, żebyś poszła ze mną do domu.

Lauren potrząsnęła głową.

- Nie mogę tego zrobić, Amy. - Zanim Amy zdążyła wysunąć kolejny argument, dodała: Coś ci powiem. Kiedy już będziesz po kąpieli i gotowa iść spać, możesz do mnie zadzwonić. Dam tatusiowi mój numer telefonu i on pomoże ci go wykręcić.

- Dobrze - lekko ułagodzona, Amy zgodziła się.

Lauren odwróciła się do Johna i podała mu swój telefon. Sięgając po torebkę, powiedziała:

- Może ci lepiej zapiszę.
- Zapamiętam.

John i Lauren wysiedli z samochodu. John otworzył Amy tylne drzwi i przesadził ją na przednie siedzenie, które przedtem zajmowała Lauren. Zapiął pasy, potem potarł jej nosek.

- Amy, podziękuj Lauren za to, że z nami wytrzymała przez



ten weekend.

Amy usłuchała, nieco zniekształcając zdanie:

- Dziękuję, że nas utrzymałaś.

Smiejąc się, Lauren powtórzyła:

- Jesteś zawsze mile widzianym gościem, Amy.

John wyciągnął jej torbę z bagażnika. Odebrała ją od niego.

- Nie kłopotz się odprowadzaniem mnie do drzwi. Amy nie powinna zostać sama.

Stojąc blisko niej, przesunął palcem po jej policzku.

- Nie jestem pewien, czy ty powinnaś zostawać sama.

Trudno przewidzieć, z jakimi wymówkami wyjedziesz.

- Wymówkami? Od czego?

- Dlaczego nie powinnaś mnie więcej widywać.

Uśmiechnęła się niezbyt wesoło.

- Będę jutro w pracy. Obiecuję, że nie schowam się, kiedy zobaczę cię na korytarzu.

Ujął palcami jej podbródek i pochylił się. Z ustami na jej ustach szepnął:

- To dobrze. Nie będę musiał chodzić i cię szukać.

Pocałunek był krótki, ale intesywny. Gest jego ręki, która spoczęła lekko na jej talii, wydał się dziwnie intymny. Kiedy podniósł głowę, jego ciemne oczy wytrzymały jej spojrzenie. Potem zostawił ją i wszedł do samochodu, a ona odprowadzała go wzrokiem. Automatycznie podniosła rękę, widząc, że Amy macha do niej na pożegnanie.

Chwytając mocniej torbę, weszła do budynku.

Miała uczucie zawodu. Czowała niemiły ciężar w okolicach serca, ale wiedziała, że za to poczucie osamotnienia może winić tylko siebie.

Starła się przekonać samą siebie, że postąpiła słusznie, odrzucając zaproszenie Johna. Potrzebowała побыć trochę sama,

żeby pomyśleć, ustawić ten weekend w odpowiedniej perspektywie. Problem polegał na tym, że nie miała najmniejszego pojęcia, od czego zacząć.

Stała z kluczami przy drzwiach swego mieszkania, kiedy drzwi po drugiej stronie korytarza otworzyły się i zawołała ją Holly Steinmetz.

- Mam dla ciebie przesyłkę i listy. Nadeszły w sobotę.
- Zaraz po nie przyjdę, tylko wsadzę torbę do środka.
- Sama ci je przyniosę.

Holly szybko poczłapała z powrotem do swojego mieszkania i pojawiła się ponownie z płaskim pakietem i paroma kopertami w ręku.

Do tego czasu Lauren zdążyła otworzyć drzwi i - zostawiwszy je uchylone dla sąsiadki - wejść do środka. Holly wśliznęła się, rzuciła pocztę na stolik do kawy i usadowiła się na kanapie wśród szelestu spódnicy i pobrząkiwania bransoletek.

Stroje sąsiadki Lauren zawsze były przeładowane. Na dzisiaj wybrała czerwoną, suto marszczoną spódnicę, pomarańczową bluzkę bez ramion i turkusowy pas z frędzlami na końcach. Jej włosy - masę czarnych loków - utrzymywała w jakim takim porządku opasująca czoło wstążka. Holly była dwanaście lat starsza, dziesięć centymetrów niższa i dziesięć kilogramów cięższa niż Lauren. Aktualnie samotna, zarządzała małym bistro w pobliżu budynku Raytech. Była szczerą i otwartą, może nieco prostacką.

Tak jak w tej chwili. Na jej twarzy malowało się najwyższe zaciekawienie, kiedy odezwała się: - Chcę znać wszystkie świństwa. Wszystkie pikantne szczegóły.

Lauren osunęła się zmęczona na bujany fotel, stojący w pewnym oddaleniu od kanapy. Absolutnie nie była w nastroju do przesłuchania, ale doświadczenie nauczyło ją, że próba

odwrócenia uwagi Holly od sprawy ją interesującej, jest stratą czasu.

- Wszystkie pikantne szczegóły czego?

- Twego weekendu z tym seksownym facetem, który wysadził cię pod drzwiami. Przypadkiem wyglądałam przez okno. Przysięgam, że moje okna zaparowały, kiedy cię pocałował. Jej bransoletki zadzwoniły. Wychyliła się do przodu i oparła ręce na kolanach.

- Opowiedz wszystko, niczego nie opuszczaj. Wiedząc, że Holly potrafi być uparta jak agent ubezpieczeniowy podsuwający polisę, Lauren przedstawiła jej skróconą wersję weekendu, wspominając częściej Amy niż Johna.

- Jak widzisz - zakończyła - to był rodzaj sytuacji wyjątkowej, bo opiekunka Johna musiała nagle wyjechać.

Rozczarowanie zachmurzyło wyrazistą twarz Holly. Lauren stłumiła uśmiech. Jediną rzeczą, za którą naprawdę przepadała Holly Steinmetz, były romanse. Z tego zresztą powodu posiadała czterech eks - mężów. Uwielbiała być zakochana, za to nie przepadała szczególnie za stanem małżeńskim.

W nadziei zmiany tematu Lauren spojrzała na pakiet, który Holly położyła na stoliku.

- To pewnie od matki.

- Tak mi się wydawało. Zauważyłam hawajski znaczek.

Lauren odwinęła brązowy papier, potem ozdobne opakowanie i podała pudełko Holly.

- Świetnie to zrobi na moje biodra. Trzy kilo orzeszków w czekoladzie.

Holly poczęstowała się hawajskimi słodyczami.

- Dla dobra twoich bioder pomogę ci to zjeść. A teraz przestań bujać i opowiedz mi o tym towarze, z którym pojechałeś na weekend. Nie uwierzę, że spędziłeś z tym gościem

cały weekend i nie było żadnego bara bara.

- Przykro mi. Nie było żadnego bara bara. Pojechał ze mną do domku, bo potrzebował mojej pomocy przy córce. To wszystko.

Holly pogryzała czekoladki.

- I przypuszczam, że tylko z wdzięczności złożył pocałunek na twoich ustach. Przestałam wierzyć w bajki trzydzieści lat temu, słoneczko. Będiesz musiała wymyślić coś lepszego.

Lauren wyciągnęła nogi na plecionym chodniku. Wzdychając ciężko, przyznała się:

- Myślę, że robię z siebie kolosalną idiotkę, jeśli chodzi o Johna Zachary'ego.

- Z mężczyznami wszystko możliwe - powiedziała Holly lekkim tonem. - W jaki sposób robisz z siebie idiotkę?

- Chcąc więcej, niż mogę mieć.

Holly sięgnęła po następną czekoladkę.

- Dlaczego nie możesz go mieć? Z tego, co widziałam z okna, specjalnie się nie wykręcał.

- Jest wielka różnica między pocałowaniem kobiety a zajmowaniem się kobietą. Nie szukam przygody, Holly. Nigdy nie zależało mi, żeby być na drugim czy trzecim miejscu w czyimś życiu. Byłam na takim miejscu i nie chcę się tam nigdy więcej znaleźć.

Holly była jedną z niewielu osób, które wiedziały o dzieciństwie Lauren. Mieszkając w pobliżu przez ponad rok i będąc z natury wścibską, Holly wyciągnęła z Lauren niejedno o jej przeszłości. Wiedziała też, że w życiu młodej kobiety nie ma żadnego mężczyzny.

- Może gdybyś dała mu szansę, mógłby ci pokazać, że interesuje się tobą na poważnie, nie chodzi mu tylko o romans.

Lauren potrząsnęła głową. Jej uśmiech miał w sobie cień

smutku.

- Może nawet o romans mu nie chodzi. O ile wiem, nie jest związany z nikim w Raytech. Trudno przypuszczać, żeby chciał zaczynać akurat teraz.

- A jeśli zacznie?

- Powiedziałam ci. Przygody mnie nie interesują.

Bransoletki Holly zadzwoniły ciszej, kiedy znowu sięgnęła do pudełka ze słodyczami.

- Jak mi się zdaje, mówiłaś kiedyś, że nie chcesz nigdy wyjść za mąż.

Zaniepokojona nagle Lauren wstała i podeszła do wielkiej paproci stojącej przed oknem. Obrywając kilka suchych pędów, odpowiedziała na py - tanie Holly:

- Nie zamierzam wychodzić za mąż.

Holly o mało nie zgubiła paska, kiedy gwałtownie poderwała się z kanapy.

Muszę skończyć z tymi słodyczami. To mi szkodzi na słuch. Przysięgłabym, że powiedziałaś, że nie chcesz przygody, a teraz mówisz, że nie chcesz małżeństwa. Nie pozostaje ci wiele innych możliwości do wyboru.

- Wiem - Lauren podeszła do biurka i wrzuciła suche pędy do śmietniczki. - Teraz widzisz, na czym polega problem. Jestem w nim zakochana, ale nie chcę ani romansu, ani małżeństwa. Jak słusznie mówisz, niewiele mam do wyboru, ale pozostaje jedna rzecz.

- Co takiego?

- Odejdę.

Holly nie przejęła się trzecią możliwością wymyśloną przez Lauren.

- Dla mnie to nie brzmi zabawnie.

- Dla mnie też nie. Ale brzmi sensownie.

- Ależ to nie ma nic wspólnego z sensem, słoneczko - Holly podeszła do drzwi. Kiedy je otworzyła, odwróciła się z uśmiechem do Lauren.

- Gdyby taka decyzja miała sens, nie miałabym czterech eks - mężów. Powiadom mnie, co się będzie dalej działo.

Lauren nie poruszyła się w ciągu kilku minut po tym, jak drzwi zamknęły się za sąsiadką. Holly mogło wydawać się zabawne, że wychodziła za męża tyle razy, ale Lauren nie. Starsza kobieta stanowiła jeszcze jeden przykład uzasadniający niechęć Lauren do małżeństwa. Więzy małżeńskie zbyt często prowadziły do sytuacji bez wyjścia. Lauren nie chciała, żeby jej życie dzieliło się na okresy według byłych mężczyzn i dzieci rozsianych po kraju.

Zabrała się za robienie rzeczy, które, jak powiedziała Johnowi, chciała załatwić. Brudne ubrania zostały uprane, meble odkurzone, lista zakupów wypisana, a kilka sukienek odłożonych do pralni. Te przyziemne prace nie wymagały, niestety, żadnego skupienia, więc myśli Lauren powędrowały do weekendu spędzonego z Johnem.

Kilk.a godzin później, kiedy brała prysznic, zadzwonił telefon. Szybko zakręciła kran i, porywając ręcznik, pobiegła do telefonu. Zdyszana podniosła słuchawkę:

- Dyszysz jakbyś brała udział w wyścigu w głosie Johna brzmiało rozbawienie. - Brałam prysznic.

Chwila ciszy, a potem jego głos:

- Nie mów mi, że masz na sobie tylko ręcznik.

Uśmiechnęła się.

- Zgoda, nie powiem.

- A więc masz tylko ręcznik?

- Powiedziałeś, żeby ci nie mówić.

- Tak powiedziałem - jego głos wydawał się roztargniony. -

Słuchaj, Amy chce ci powiedzieć dobranoc. A może chcesz coś włożyć na siebie, zanim oddam jej słuchawkę?

- Nie, wszystko w porządku. Podłoga już i tak jest mokra, a tutaj jest ciepło. Ręcznik mi wystarczy.

- To twoja opinia - mruknął.

Amy musiała stać tuż przy nim. Dziewczynka zaczęła opowiadać Lauren, że zjadła kolację i wykapała się. Szczebotała przez kilka minut, aż zakończyła mówiąc:

- Tatuś chce z tobą mówić.

W chwilę później odezwał się John:

- Jak widzisz, przeżyliśmy.

Nie wydaje się, żeby wasz pierwszy wspólny wieczór okazał się nieudany.

Usłyszała na linii jego śmieшек, od którego przebiegł jej po skórze zmysłowy dreszcz.

- Mam jeszcze jedną ojcowską powinność do spełnienia, zanim zaśnie. Wybrała książkę o kocie i płocie. Mam jej poczytać w łóżku. To może być przebój tego wieczoru.

Lauren roześmiała się z czułością.

- Twoja córka otwiera przed tobą nowe horyzonty. Niebawem będziesz ekspertem od doktora Seussa.

- Między innymi - nastąpiła chwila ciszy. - Małpison ściska książkę w rękach i stoi dokładnie naprzeciw mnie. Chyba wypada zrozumieć aluzję i zabrać się do czytania. Porozmawiamy później.

Lauren wzięła to za dobrą monetę.

- W porządku. Dobranoc - już miała się rozłączyć, kiedy usłyszała, jak wymiawia jej imię. Tak?

- Czy możesz wyświadczyć mi jeszcze jedną przysługę?

- Jeśli potrafię. A co takiego?

- Czy mogłabyś narzucić coś na ten ręcznik? W tej chwili

moja wyobraźnia ma nadgodziny.

Dziwne, jak nagle zmienił się nastrój rozmowy. Lauren zacisnęła rękę na słuchawce.

- Na oparciu kanapy leży kilim afgański. Jeśli chcesz, mogę się owinać.

Musiał widocznie dosłyszeć rozbawienie w jej głosie.

- Płaszcz byłby jeszcze lepszy - mruknął wstrzymując oddech. A potem ciągnął: - Muszę iść. Amy się niecierpliwi. Jutro porozmawiamy.

Połączenie zostało przerwane, Lauren wolno odłożyła słuchawkę. Naprawdę myślała tak, jak mu powiedziała. Była zadowolona, że radzi sobie z córką sam. Tak właściwie powinno być - dla dobra Amy i dla jego dobra. Mogli się teraz oboje obejść bez niej.

To cudownie, pomyślała z goryczą, starając się odnaleźć w sobie entuzjazm, jaki powinna odczuwać. Przytrzymując zsuwający się ręcznik wróciła do łazienki.

To naprawdę wspaniale.



Następnego ranka Lauren wyszła do pracy godzinę wcześniej, żeby odrobić czas, jaki winna była firmie. Nie było w Raytech zegara do odbijania godzin, a Simpson zwykle nie pojawiał się przed dziewiątą, więc nie mógł wiedzieć, że dotrzymuje słowa. Ale dotrzymała. i to było najważniejsze.

Tak czy inaczej, wątpliwe, żeby jej pilność mogła zmienić opinię zwierzchnika o niej. Nie istniało nic, co mogłoby to sprawić. Pewne było jedynie - i na to mogła liczyć każdego ranka, że znajdzie na swoim biurku stos papierów. Odkąd tylko

. zaczęła pracować w Raytech, zwierzchnik zarzucał robotą jej biurko tak, że przerobienie tego przekraczało możliwości normalnej osoby. Mógłby tego dokonać chyba tylko komputer. Ale ona nie była komputerem. Po tym, jak dowiedziała się, dlaczego Simpson dręczył ją bardziej niż innych podwładnych, zrozumiała, że nie mogła powiedzieć nic, co osłabiłoby jego niechęć. Pozostawało jej tylko brnąć przez ogrom pracy, jaką jej wyznaczał.

W czasie lunchu z kolegami z pracy Lauren dowiedziała się, że John nie pojawił się w biurze tego ranka, i nie spodziewano się go w ciągu dnia. Kobiety wymyślały przyczyny, które mogły sprawić, że pan Zachary był nieobecny, ale żadna z nich nie odgadła prawdy. Lauren mogłaby zaspokoić biurowych plotkarzy opowieścią, że ich pracodawca bez wątpienia dokonuje rozpoznania przedszkoli, ale zachowała milczenie. Po pierwsze, nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, że znane jej było życie osobiste Johna, a po drugie, kobiety tak dobrze się bawiły, wymyślając powody nieobecności szefa.

Kiedy nie miała wiadomości od Johna przez . resztę popołudnia, powiedziała sobie, że tak jest lepiej. Niestety, sama w to nie wierzyła.

Tego wieczoru wzięła pracę do domu. Nie chciała dać Simpsonowi satysfakcji stwierdzenia, że nie daje sobie rady, a poza tym praca pomogła jej spędzić puste wieczorne godziny.

Telefon zadzwonił o ósmej. John powiedział krótko, jakby urywanym głosem:

- Amy chce ci powiedzieć dobranoc.

Parę sekund później Amy zaczęła bezładnie opowiadać, jak spędziła dzień. Nowe zabawki przemieszane były z opisem torby na książki, którą kupił jej tatuś, bo miała iść do szkoły.

Amy wydawała się ożywiona i podekscytowana.

- Tatuś mówi, że będzie bardzo fajnie. Tylko muszę iść jutro rano na "przeгляд", zanim pójdę do szkoły. Chcę pojechać dużym, żółtym autobusem, ale tatuś mówi, że muszę poczekać, aż pójdę do dużej szkoły.

Zastanawiając się, dlaczego John wydawał się niespokojny, Lauren zapytała:

- A co teraz tatuś robi?

- Zbiera bąbelki.

Myśląc, że nie dosłyszała, powiedziała bezmyślnie:

- Nie całkiem cię zrozumiałam, Amy., Co tatuś robi?

- Tatuś kupił mi butelkę płynu do kąpieli i wylałam ją całą do wanny. Dużo mydlin poleciało na podłogę. Tatuś wziął moje plażowe wiaderko i łopatkę, i stara się włożyć mydliny z powrotem do wanny.

Lauren parsknęła śmiechem. Nic dziwnego, że . John wydawał się zgnębiony.

Amy widocznie uznała sprawę zbierania bąbelków za skończoną i opowiadała dalej Lauren o swoich nowych "upačkaniach", aż skończyła, mówiąc:

- Tatuś powiedział, że niedługo będę się mogła z tobą zobaczyć.

- Zobaczymy się, Amy. Zdaje się, że jesteś teraz bardzo zajęta.

Amy nie dała się zbyć. Tatuś powiedział jej, że zobaczy się z Lauren, i dziewczynka trzymała się tego tematu jeszcze przez parę minut, zanim w końcu powiedziała "dobranoc".

Następny dzień wyglądał dokładnie tak samo. Przynajmniej w biurze. Johna znowu nie było. Papierów nie ubywało. O piątej Lauren dołączyła do innych, zbiorowo opuszczających budynek. Niezdolna znieść myśli o powrocie do pustego mieszkania, zatrzymała się przy eleganckiej, francuskiej restauracji i zafundowała sobie posiłek, odpowiadający jej tygodniowej porcji jedzenia.

Wróciła do domu tak późno, że minęła już pora, kiedy Amy kładła się spać, więc nie była zdziwiona ani rozczarowana brakiem telefonu. Tak przynajmniej sobie powtarzała. Pora, kiedy John kładł się spać jeszcze nie minęła, chyba że od przybycia córki przesunął sobie godziny snu na wcześniejsze.

Następnego dnia, kiedy poszła do pokoju dla personelu po filiżankę kawy, usłyszała, że szef jest już z powrotem. Ponieważ nie prosił ją o pomoc w ciągu ostatnich dni, sądziła, że opanował sytuację. Powtarzanie sobie, że zadowolona jest z faktu, że jej nie potrzebuje, nie miało sensu. Nie była zadowolona. Nie dlatego, że nie potrzebował jej pomocy przy córce, ale dlatego, że jego pocałunki sprawiły, iż zaczęła myśleć, że może troszeczkę potrzebował jej dla siebie.

Koło południa zadzwonił telefon. Nie chcąc pogubić się w umowie, położyła palec na kolumnie cyfr i odebrała.

- Lauren McLean.

- Czekam na ciebie w holu za pięć minut.

- John?

- Oczywiście - powiedział z rozbawieniem. - Czy

oczekiwałaś, że ktoś ipny zaprosi cię na lunch.

- Nie, ale ...

- Mam rozmowę na drugiej linii. Hol. Za pięć minut.

Połączenie przerwało się, została ze słuchawką w ręku. Kiedy ją odkładała, przyszła jej do głowy straszna myśl. A może Amy jest znów chora? Poczucie winy zmagало się w niej z troską. Nie powinna była pozwolić Amy brodzić w wodzie. Skłęła się za złą ocenę sytuacji. Powinna była upierać się, by Amy siedziała w domu, choćby dziecko miało się okropnie nudzić. Okazała się nietęgim ekspertem od dzieci.

Odłożyła umowę i odsunęła krzesło. Stojąc, zastanowiła się nad swoim wyglądem. Na szczęście jej sukienka w granatowe prążki z szerokim paskiem wyglądała prawie tak samo świeżo jak o szóstej rano, kiedy ją wkładała. Wyciągnęła torebkę z dolnej szuflady biurka, przejechała szczotką po włosach i wyszła z pokoju. Miała pecha wpaść prosto na zwierzchnika, który szedł korytarzem.

Simpson zrobił swój zwykły gest, spoglądając na zegarek.

- Wychodzimy na lunch, nawet jeśli mamy jeszcze pracę do zrobienia?

Lauren знаła jego irytujący zwyczaj używania królewskiego "my", zawsze kiedy się do niej zwracał. Za każdym razem zgrzytała zębami i gryzła się w język, żeby nie odpowiedzieć ostro. Teraz postanowiła sama użyć tej formuły.

- Tak, wychodzimy.

- A czy nadrobiliśmy czas, jaki mieliśmy nadrobić?

- Przychodziliśmy wcześniej rano przez dwa dni.

Simpsonowi to się nie spodobało. Lauren wiedziała, że wolałby znaleźć jakieś niedociągnięcie, ale tym razem po prostu nie mógł jej przeszkodzić. Poddał się i zszedł jej z drogi.

Odchodząc czuła niesmak, jak zwykle po spotkaniu ze

zwierzchnikiem. Nie należy do przyjemności spotykać się z otwartą niechęcią, nawet tak nadętego głupca jak Simpson.

Wcisnęła się do windy razem z innymi pracownikami wybierającymi się na lunch. Ponieważ weszła ostatnia, wyszła jako pierwsza. Prawie natychmiast zauważyła Johna. Stał z boku głównego wejścia, rozmawiając ze strażnikiem.

Jego widok sprawił, że serce nieznośnie podskoczyło. Miał na sobie stonowany, szary garnitur w kratkę, białą koszulę i czerwony krawat. Wyglądał elegancko i oficjalnie - i nieodparcie pociągająco. Kiedy podeszła, przerwał swoją rozmowę ze strażnikiem i zwrócił się do niej. Nie dostrzegał żadnych ludzi wokół. Jego uwaga skierowana była wyłącznie na nią:

Uśmiechając się do niej, powiedział:

- Jesteś punktualna.

Lauren musiała wiedzieć. Nie myśląc o tym, że koledzy z pracy przyglądają im się z zainteresowaniem, złapała go za ramię:

- Co się stało Amy?

Zamrugał.

- Nic. Ma się dobrze. Odwiozłem ją rano do przedszkola poleconego mi przez przyjaciela, który ma dwoje małych dzieci. Dowiadywałem się o nią, zanim zadzwoniłem do ciebie. Kobieta, z którą rozmawiałem, powiedziała mi, że Amy była spokojna i na początku trzymała się na boku, ale teraz zaprzyjaźniła się z jednym z dzieci. Kobieta powiedziała, że kiedy zadzwoniłem, Amy i jej nowa przyjaciółka słuchały, jak jedna z opiekunek czytała bajkę.

Zalała ją fala ulgi. Nagle zdała sobie sprawę, z jaką siłą trzymała jego ramię, zwolniła uścisk, opuściła rękę.

Oczy Johna zwięzły się, kiedy przyglądał się jej twarzy, dostrzegł bladość policzków.

- A więc naprawdę martwiłaś się o nią?

- Dzieci tak łatwo łapią choroby.

Wziął ją za ramię i pociągnął w kierunku drzwi.

- Wczoraj została dokładnie zbadana. Jest w doskonałym zdrowiu.

Idąc szybko, żeby dotrzymać mu kroku, zapytała:

- Jeśli Amy ma się dobrze, to dlaczego sprawiałeś wrażenie, że tak pilnie chcesz mnie zobaczyć?

- Nie widziałem cię przez dwa i pół długich dni.

Kiedy spojrzała na niego, napotkała wzrok rozbawiony zdziwieniem malującym się w jej oczach.

- Wiesz, jeżeli nadal będziesz się pytać o rzeczy oczywiste, zacznę się zastanawiać, czy opinie o tobie jako o inteligentnej kobiecie nie są przesadzone.

To było oczywiste, pomyślała ze zdziwieniem. Dla kogo? Zmieniając temat, zapytała:

Dokąd idziemy?

- Zjeść lunch. Zaraz za rogiem jest restauracja, gdzie dają dobrze zjeść i nie mają szafy grającej.

Nie lubisz muzyki?

Nie, kiedy trąbi mi w uszy, a ja usiłuję coś zjeść.

Bistro, które prowadziła Holly, też było zaraz za rogiem, i Lauren miała paraliżujące przeczucie, że tam właśnie zmierzają. Nie pomyliła się. Kiedy doszli do restauracji Holly, John otworzył drzwi przed Lauren. Ku swej głębokiej uldze, Lauren nie dostrzegła Holly przy kasie. Oszczędzone zostało jej znoszenie Holly, osaczającej Johna tysiącem osobistych pytań. Przynajmniej na razie. Spotkanie z Holly będzie nieuchronne przy wyjściu, ale wtedy nie będzie miała za dużo czasu na rozmowę. Taką żywiła nadzieję.

Kiedy John chciał wybrać stolik z przodu sali,

zapropowała, żeby usiedli z tyłu, z dala od hałaśliwego baru. W godzinach lunchu ruch w bistro był największy. Sprawna obsługa i dobre jedzenie przyciągały ludzi z okolicznych firm.

Wyprzedziła Johna i zajęła odgrodzony wysokimi oparciami kącik przy ścianie, unikając stolików pośrodku restauracji. Wśliznęła się na wyściełane siedzenie, pozostawiając Johnowi miejsce twarzą do frontu sali. On jednak nie zamierzał siadać naprzeciwko, tylko szybkim ruchem wsunął się na siedzenie obok niej. Kiedy taki ciepły i silny usiadł koło niej, kącik zrobił się nagle mały i przytulny.

Kelnerka zjawiała się niemal natychmiast. Wręczyła im kartę, a potem odeszła, dając im czas do namysłu.

John zlekceważył kartę i zwrócił się do Lauren:

- Pragnąłbym wierzyć, że rzeczywiście chcesz być ze mną sam na sam, ale to pewnie tylko pobożne życzenia.

Zwróciła się w jego stronę.

- Dlaczego ciągle dajesz do zrozumienia, że coś nas łączy?

- Dlaczego ciągle upierasz się, że tak nie jest? Nie wiedząc, co zrobić z rękami, zaczęła bawić się łyżką.

- Bo tak nie jest.

Pod stołem przełożył rękę ze swego uda na Jej i w tym momencie usłyszał hałas upuszczonej łyżeczki. Pod dłonią poczuł jej napięte mięśnie.

- Na pewno tak nie jest? - zapytał łagodnie.

Konieczność udzielenia odpowiedzi została jej oszczędzona dzięki pojawieniu się kelnerki z bloczkiem w ręce. Usiłowała strącić rękę Johna ze swego uda, ale on po prostu obrócił dłoń i splótł jej palce ze swoimi.

Odezwał się do niej lekkim tonem:

- Na co masz ochotę? - ale w jego oczach była czułość.

Potrzebowała kilku sekund, żeby zdać sobie sprawę, że

chodziło mu o lunch. Nie zaglądając do karty, zwróciła się do kelnerki:

- Poproszę sałatkę firmową i mrożoną herbatę.
- Dla mnie to samo.

Kiedy kelnerka odeszła, John siadł bokiem, zwracając się ku niej. Przełożył ich splecione dłonie z jej uda na swoje i zapytał:

- Miałaś zły dzień?
- Niespecjalnie. Dlaczego pytasz?
- Jesteś nachmurzona.
- Trzymasz mnie za rękę.
- To dlatego jesteś nachmurzona?

- Wiesz, że nie musisz zabierać mnie na lunch tylko dlatego, że pomogłam ci z Amy. Nic mi nie jesteś winien.

- To dobrze, bo nie dlatego chciałem się z tobą widzieć - kciukiem przycisnął jej przegub. Co myślisz o tym, żeby kupić Amy pieska?

Tak nagle zmienił temat, że zamurowało ją na chwilę. Odwołując się do zdrowego rozsądku, aby stłumić rozczarowanie, zapytała:

- A ona chce?

- Zapytała mnie dziś rano, czy może mieć pieska. Powiedziała, że prosiła Świętego Mikołaja, żeby go jej przyniósł na Gwiazdkę w zeszłym roku, ale przyniósł jej lalkę.

- A co ty o tym sądzisz? Zgodzisz się na szczeniaka w domu? Żywe zwierzę to nie zabawka, oznacza więcej bałaganu. Nawet gdybyś kupił już podchowanego, będziesz musiał wyprowadzać go kilka razy dziennie.

Zawahała się zanim dodała:

- Jest jeszcze coś, co powinieneś wziąć pod uwagę.
- Co takiego?

- Jeśli nie zamierzasz zatrzymać Amy przy sobie, byłoby nie



w porządku wobec niej i wobec szczeniaka, gdybyś odesłał ją do matki, a zatrzymał psa. Twoja była żona widocznie nie życzy sobie, żeby Amy miała psa, w przeciwnym razie dostałaby go na Gwiazdkę. Amy przywiąże się do psiaka, a potem, kiedy wróci do matki, będzie się musiała z nim rozstać. Nie będzie w stanie zrozumieć, dlaczego nie może zatrzymać psa. Będzie zdruzgotana.

Dostrzegł cię w jej oczach.

- Tobie się to zdarzyło?

- Byłam starsza od Amy - odpowiedziała krótko.

Kciuk Johna ponownie przycinał przegub jej ręki. Postanowił nie zmuszać Lauren do zwierzeń.

- Rozmawiałem z moim adwokatem o przejęciu opieki nad Amy. Odłożę decyzję o wzięciu szczeniaka do czasu, aż będę wiedział na pewno, czy zostanie ze mną.

- Czy Amy chce tego?

- Nie wiem. Odkąd jest u mnie, ani razu nie powiedziała, że chce do mamy. Martine nie zadzwoniła, żeby zapytać, jak się czuje, ani żeby z nią porozmawiać. Z tego, co mogę się dowiedzieć od Amy, spędzała większość czasu z gosposią. Nie wygląda na to, żeby tęskniła za matką. Jeśli przejmę nad nią opiekę, nie będę mógł być z nią w ciągu dnia, ale będę spędzał z nią wieczory i weekendy. Wygląda na to, że to więcej czasu, niż poświęcała jej Martine.

Lauren nie była zdziwiona jego decyzją. Sama widziała, jak dbał o córkę, i chciał dla niej jak najlepiej. Mimo wszystko czuła się zmuszona ostrzec go o odpowiedzialności, jaką zamierzał na siebie wziąć.

- Masz Amy od niedawna. Jesteś pewien, że chcesz ją na dłużej? Już zmieniła twoje życie, a zmieni jeszcze bardziej.

Podniósł ich splecione dłonie do ust, ucałował jej palce.

- Damy sobie radę ze wszystkim.

- My? - powtórzyła z powątpiewaniem. - Ty ja?

Opuścił ich ręce z powrotem na swoje kolana.

- Chcesz, żebym powiedział to wyraźnie, prawda?

- Chyba tak. Nigdy nie byłam dobra w zgadywankach i w czytaniu w myślach.

- To proste. Chcę cię nadal widywać. Nie tylko ze względu na Amy, ale ze względu na siebie. Chcę cię widzieć w czasie lunchu, w czasie kolacji i po kolacji - coś zamigotało w jego oczach. Na pewno w czasie śniadania. i w czasie wszystkich godzin ciemności między jednym a drugim.

Lauren zabrakło nagle tchu. Oddychanie nie było zajęciem trudnym, w końcu robiła to przez całe życie, ale jego słowa jakby pozbawiły jej płuca powietrza. Czy naprawdę aż tak ją to dziwiło? zapytała samą siebie. Była świadoma istniejącego między nimi pociągu, kiedy całował ją, dotykał i patrzył na nią. Łatwo jej było to zauważyć, bo dokładnie takie same odczucia były jej udziałem.

- Nie interesuje mnie przygoda, John - głos jej dziwnie drżał.

- Wolisz coś bardziej stałego?

Zauważyła chłód w jego głosie, chociaż w jego oczach nie było widać gotowości do wycofania.

- Nie ma czegoś takiego.

- Powiedz teraz: dlaczego nie interesuje cię małżeństwo?

- Nie podobają mi się rozwody i ich skutki dla ludzi.

- Rozmawiamy o małżeństwie, nie o rozwodzie. ..

- Jedno prowadzi do drugiego.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Powinien odczuć ulgę, że nie interesuje jej małżeństwo. W końcu nie to jej proponował. A więc dlaczego nie podobał mu się jej cyniczny

ton?

Zepchnięty został do pozycji obrońcy małżeństwa.

- Nie wszystkie małżeństwa kończą się rozwodem, Lauren. Niektóre pary żyją razem raczej szczęśliwie przez całe życie. Wychowują dzieci, spłacają pożyczki, a potem gazety publikują ich zdjęcia w dniu złotych godów.

- Być może. Ale ja widziałam tylko skutki postępowania rozwodowego, kiedy pary spierają się o dzieci, domy, samochody i wszystkie doczesne dobra, które potem są dzielone. Dwoje ludzi, zaczynających małżeństwo z uśmiechami i marzeniami, kończy je ze łzami i gniewnymi słowami. Nie chcę w czymś takim uczestniczyć, piękne dzięki. Nie będę brać udziału w rujnowaniu dzieciom fundamentów ich życia.

- A co z miłością? W nią także nie wierzysz? Uciekła wzrokiem, nie czuła się zdolna wytrzymać jego intensywnego spojrzenia.

- Sądzę, że istnieją różne rodzaje miłości. Nie przejął się jej odpowiedzią.

Powiedziałaś mi, czego nie chcesz, ale nie wspomniałaś, czego chcesz. Czy wiesz, co to jest?

Uśmiechnęła się blado.

- Śmieszne, ale o tym samym rozmawiałam niedzielę z moją sąsiadką. Nie podobała jej się moja odpowiedź.

- Jak brzmi?

Trudniej było to powiedzieć Johnowi niż Holly. Jednak wzięła głęboki oddech i wydusiła to z siebie.

- Powiedziałam, że odeszłabym przy pierwszej oznace poważniejszego zainteresowania kimś.

Nie dał nic po sobie poznać, więc trudno było Lauren ocenić, jak przyjął jej oświadczenie. Przez minutę tylko się jej przyglądał, a potem powoli wysunął swoją rękę z jej dłoni. Nie

poruszył się, ale wydawało się, że bardzo się od niej oddalił.

Lauren zaczęła drzeć. Miała wrażenie, że za chwilę rozpadnie się na kawałki. Spodziewała się bólu w wypadku zerwania, ale nie wiedziała, że będzie on tak wielki. Nie miało znaczenia powtarzanie sobie, że postępuje słusznie. Jakaś część jej istoty ciągle usiłowała sięgnąć po błyszczące jabłko na wierzchołku drzewa. Problem polegał na tym, że nie była pewna, czy tym razem przeżyje upadek.

Kelnerka podeszła do stolika i podała im sałatkę, a także szklanki z mrożoną herbatą, koszyk z pieczywem, buteleczki oliwy i octu. John potrząsnął głową, kiedy kelnerka zapytała, czy mają jeszcze jakieś życzenia. Kiedy odeszła, wziął widelec i zaczął jeść.

Lauren nawet nie próbowała jeść, nie byłaby w stanie przełknąć ani kęsa. Mieszała tylko jedzenie w swej salaterce, każdym nerwem wyczuwając obecność mężczyzny, który siedział tak blisko, a wydawał się tak odległy. John, zgnębiony w myślach, nawet nie próbował podtrzymywać rozmowy.

Kiedy kelnerka podeszła raz jeszcze, żeby dolać mrożonej herbaty, poprosił o rachunek. Przyniosła go błyskawicznie. Zostawił napiwek i opuszczając miejsce, podał Lauren rękę.

- Wracajmy lepiej do biura.

Wzięła go za rękę, myśląc, że pewnie dotyka jej po raz ostatni. Rwały ból przewiercał jej żołądek i dusił w piersi. Było po wszystkim. Zanim się jeszcze zaczęło, było już po wszystkim.

Kiedy stanęła obok niego, usłyszała znajomy głos, wymawiający jej imię. Odwróciła się i zobaczyła w kasie Holly. Jej sąsiadka w pracy nosiła się nieco spokojniej niż u siebie w domu. Prosta, niebieską sukienkę zdobiła jasna szarfa, zawiązana wokół szyi. Nie brakowało zwykłego kompletu

bransoletek.

Ramiona Lauren opadły z rezygnacją. A więc sól zostanie wtarta w jej rany. Widząc ją w towarzystwie Johna, Holly bez wątpienia będzie mogła uznać dzień za udany.

Nie było żadnych szans, żeby przejść obok Holly tak, by ta nie zauważyła Johna. Kiedy zbliżyli się do kasy, Lauren powiedziała:

- Cześć, Holly.

- Cześć, słoneczko. Nie wiedziałam, że przyszedł dzisiaj na lunch.

- To był pomysł chwili.

John, który siedł za Lauren, stanął teraz z tyłu. Holly uśmiechnęła się.

- Czy ty też jesteś pomysłem chwili?

John spojrział na nią pustym wzrokiem.

- Słucham?

Żeby przerwać grę Holly w dwadzieścia pytań, Lauren pośpiesznie przedstawiła ich sobie.

- To jest John Zachary, Holly. John, to jest moja sąsiadka, Holly Steinmetz.

Jeśli nawet John zauważył, że Lauren nie określiła, kim jest dla niej, nic nie dał po sobie poznać. Skinął głową:

- Jak się pani miewa, pani Steinmetz?

Holly uśmiechnęła się szeroko.

- Świetnie, panie Zachary. i proszę mówić do mnie Holly.

Przyjęła pieniądze i rachunek, które jej podał, automatycznie naciskając klawisze kasy. Wręczając mu resztę, przechyliła głowę i dokładnie mu się przyjrzała.

- A więc to pan jest przyczyną bezsennych nocy mojej młodej przyjaciółki.

Lauren jęknęła, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Holly nie marnowała czasu.

John dzielnie stawiał czoła gadatliwej kobiecie.

- To chyba sprawiedliwie, Holly - powiedział.

- Ona tak samo działa na mnie.

Holly roześmiała się. Zwracając się do Lauren, powiedziała:

- Widzę, na czym polega twój problem.

Lauren uśmiechnęła się blado.

inna para wstała od stolika i czekała, żeby zapłacić rachunek. John objął Lauren.

- Mamy coś wspólnego, Holly.

- My? - zapytała starsza kobieta, widocznie me rozumiejąc.

- Mnie też nie podobają się jej odpowiedzi pociągnął Lauren w stronę drzwi.

Holly została z otwartymi ustami, patrząc za nimi. John łagodnym ruchem wyprowadził Lauren na zewnątrz.

Kiedy weszli do budynku Raytech, Lauren natychmiast zauważyła zainteresowanie, jakie ona i John budzili wśród pracowników. Ukradkowe spojrzenia i uporczywe przypatrywanie się towarzyszyło im w drodze do windy.

Jeden z asystentów Johna podszedł i zaczął rozmawiać o sprawach administracyjnych. Lauren wykorzystała moment, że John zajęty był asystentem, i zmieszła się z tłumem wchodzących do windy.

Kiedy znalazła się z powrotem w swoim pokoju, starała się skoncentrować na pracy, ale okazało się to trudne, bo ciągle jej przerywano. Niektóre preteksty odwiedzających ją osób mogły wydawać się śmieszne, gdyby było jej do śmiechu. Jane z działu archiwum chciała się dowiedzieć, gdzie Lauren kupiła swoją sukienkę, Theda z działu płac potrzebowała dokumentów dla swego zwierzchnika, akurat przebywającego w szpitalu. Dostała

trzy zaproszenia na kolację, a jeden z kolegów zaproponował jej podwiezienie do domu. Każda z osób kończyła rozmowę jasną, acz niby przypadkową aluzją do Johna Zachary'ego, oczekując jej reakcji. Wychodzili rozczarowani.

Wymawiając się nawąłem pracy, Lauren hamowała ich ciekawość i nie dolewała oliwy do ognia plotek.

Za pięć piąta uporządkowała biurko i, macając stopami, zaczęła szukać pod nim swoich butów. Kiedy je zlokalizowała, wykopała je spod biurka i schyliła się, żeby je podnieść. Zdażyła włożyć jeden, kiedy drzwi do pokoju otwarły się.

Spodziewając się kolejnego, subtelnego podpytywania, była o krok od ciśnięcia butem, kiedy dostrzegła, kto stał w drzwiach.

- Amy! Cześć.

Dziewczynka podbiegła do niej. Obejmując ją, Lauren zauważyła, że Amy była podekscytowana. Z radością stwierdziła, że dziecko zachowuje się normalnie.

- Dzisiaj byłam w szkole, Lauren. Bawiłam się z Kristen i jadłam masło fistaszkowe, kanapki z galaretką, i budowałam domki z klocków, i ...

- Poczekaj trochę, Amy. Opowiesz to wszystko Lauren później. Będziemy mieć mnóstwo czasu.

Lauren spojrzała na Johna. Opierał się o framugę, marynarkę miał przewieszoną przez ramię. Jego spojrzenie spoczęło na pantonu, który trzymała w ręku, potem powędrowało do jej twarzy.

- Jesteś gotowa do wyjścia? - zapytał lekkim tonem.

Czując się głupio, włożyła drugi but.

- Prawie gotowa.

Otworzyła swoją teczkę i włożyła do niej plik papierów. Zanim zdołała ją zapiąć, John powstrzymał ją:

- Co robisz?

- Zbieram się do domu.

Wziął część papierów i przejrzał je.

- Z tym? Dlaczego bierzesz pracę do domu?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, otworzył rejestr leżący z boku na biurku. Przenikliwym spojrzeniem ogarnął ilość odnotowanych spraw, ilość przytłaczającą jak na jedną osobę. Zamknął rejestr.

- Będę musiał porozmawiać z Simpsonem powiedział krótko.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił. To tylko pogorszy sprawę.

- Lauren, on cię przeciąża pracą - położył dłoń na rejestrze. - Tutaj jest pracy dla trzech ludzi. Są inni, którzy mogą się tym zająć. To śmieszne, jeżeli Simpson spodziewa się, że ty sama zrobisz to wszystko.

Amy pociągnęła ojca za rękaw.

- Tatusiu, powiedziałeś, że idziemy do domu.

- idziemy, Amy. Lauren, porozmawiamy o tym później.

- Tatusiu, chcę iść do domu i pokazać Lauren moje nowe zabawki.

Jakby nie padło żadne słowo na temat Simpsona, uśmiechnął się do Amy. Potem uśmiechnął się do Lauren.

Mamy rozkaz wymarszu.

- Chwileczkę. Nie idę z wami. idę do domu.

- Ale Lorn - zaczęła Amy. - Ty i ja będziemy gotować obiad.

Lauren spojrzała na Amy, jakby dziewczynka przemówiła nagle w obcym języku. Odwróciła się do Johna.

- O czym ona mówi?

Zauważył w jej oczach zmieszanie i pragnienie zarazem.



Prawdopodobnie nie była nawet świadoma sposobu, w jaki na niego patrzyła, odkrywając swoje uczucia. Podniecenie przeszło jego ciało. Pragnął jej przez kilka ostatnich dni, ale nie było to tak silne jak w tej chwili. Mogła nadal walczyć z pociągiem zbliżającym ich do siebie, tak jak robiła to w czasie lunchu, ale w końcu jej namiętna natura przekona ją, żeby się poddała.

- Mieliliśmy nadzieję, że pojedziesz z nami do domu i pomożesz nam przygotować obiad.

Lauren nie wiedziała, czy ma śmiać się, czy płakać. Nie zrobiła ani jednego, ani drugiego.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł, John.

Podniósł rękę i pogłaskał ją po policzku.

- Wiem, że ci się nie wydaje - powiedział łagodnie. i będę ci musiał pokazać, że to jest ważniejsze niż wszystko inne.

- Proszę, Lorn. Chcę ci pokazać, co zrobiłam w szkole - Amy złapała ją za rękę.

Lauren nie mogła oprzeć się podwójnemu naciskowi: błaganu Amy i dotknięciu Johna. Podnosząc wzrok na Johna, powiedziała:

- Obiecuj mi, że nic nie powiesz Simpsonowi - zauważyła, że zaciska zęby i położyła mu rękę na ramieniu. Jeśli zgodzę się widywać cię poza biurem, musisz zgodzić się traktować biuro jako oddzielną sprawę. Bóg wie, jak bardzo już się nami interesują.

Opuszczając rękę, John przyjrzał się jej. W jej słowach coś się kryło, ale nie było czasu, żeby odkryć, co to takiego.

- Nie będę rozmawiał z Simpsonem. Na razie - dodał cicho.

- Możemy teraz iść?

Lauren nie od razu pojechała do Johna i Amy. John nie tak to planował, ale przypomniała mu, że będzie potrzebowała

samochodu, żeby wrócić do domu po obiedzie. Nie będzie przecież mógł zostawić córki, żeby ją odwiedzić.

W domu szybko wzięła prysznic i przebrała się, zmieniając sukienkę na parę białych, lnianych spodni i granatową, jedwabną koszulę. Kiedy nakładała tusz na rzęsy, nagle przypomniało jej się, jak John trzymał jej rękę pod stołem, a także delikatne dotknięcie jego ust na jej palcach. Ręka jej drgnęła, tusz zostawił czarny ślad na powiece. Starła plamkę i poczuła się jak idiotka. Cholera, zaklęła po cichu, wystarczy, że pomyśli o ty - m facecie, żeby ręce jej drżały.

Do czego to podobne, żeby spędzać z nim czas w jego mieszkaniu? Może zadzwonić i powiedzieć mu, że zmieniła zamiar. Wystarczy wykreślić jego numer i zawiadomić go, że nie przyjdzie. Może też pójść. I jeszcze raz sięgnąć po jabłko wymykające się z rąk.

Pół godziny później zadzwoniła do drzwi mieszkania Johna. Drzwi otworzyły się, zanim przebrzmiał głos dzwonka.

John wciągnął ją do środka. On również wykorzystał czas, żeby się przebrać. Miał na sobie dżinsy i zieloną koszulę w kratkę z zawiniętymi rękawami.

- Zastanawiałem się już, czy przyjedziesz.

- Rzeczywiście, miałam wątpliwości.

John przyjrzał się jej z uwagą. Znał jej ostrożność, jej obawy, jej potrzebę bezpieczeństwa, którą, jak myślała, mogła odnaleźć tylko w sobie samej. Świadomość, że przewyciężyła to wszystko i przyszła, dała mu poczucie triumfu, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył.

Pochylił się i lekko ją pocałował.

- Cieszę się, że zmieniłaś zamiar.

Nie mogąc oprzeć się chęci przedłużenia pocałunku, przycisnął mocniej usta. Ale i to nie wystarczyło. W tak krótkim czasie stała się dla niego ważniejsza, niż mógłby przypuszczać, czy nawet tego pragnąć. Chcąc lepiej czuć jej smukłe ciało, przygarnął ją do siebie, objął jej biodra. Dostrzegł, jak zmieniły się i pociemniały jej oczy, kiedy poczuła jego podniecenie.

Jej zapach owionął go, wzmacniając i tak intensywną reakcję. Objął ją mocniej, głaszcząc jednocześnie.

- Mój Boże, smakujesz wspaniale - jego język przesunął się po jej dolnej wardze. - Myślałem, że pamiętam jak to jest, kiedy mam cię przy sobie. Ale nie pamiętam tego nawet w przybliżeniu.

Przez kilka chwil czuli się tak, jakby świat wirował wokół nich. On przywarł mocniej do jej ust. Pchał ich do siebie pierwotny popęd.

John niechętnie oderwał się od mej.

- Tak bardzo zależy mi na córce, ale w tej chwili chciałbym, żeby była gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Lauren dosłyszała szorstką niecierpliwość w jego głosie, odpowiadającą jej własnym odczuciom. - Gdzie ona jest?

Powoli rozluźnił objęcia, nie spuszczać z niej wzroku. Nadzieja i uniesienie ogarnęły go, kiedy dostrzegł, jak bardzo była podniecona. Wziął ją za rękę i pociągnął w głąb mieszkania.

- Jest w kuchni. Powiedziałem jej, że może ozdobić lodówkę rysunkami, które namalowała dziś w przedszkolu. Lepiej chodźmy tam, zanim zaklei drzwi lodówki tak, że nie będzie ich można otworzyć.

Weszli na czas, żeby oswobodzić Amy od taśmy klejącej, która jakoś zawinęła się wokół jej palców. Lauren podziwiała rysunki, zadowolona, kiedy Amy wyjaśniała jej, co miał przedstawiać każdy z kolorowych bazgrołów. Na kilku kartkach widniały zestawy liter i cyfr w różnych kolorach.

Lauren pochyliła się z uśmiechem nad Amy.

- Wielę się nauczyłaś w ciągu jednego dnia, Amy.

- Tych parę ostatnich dni było kształcących również dla mnie - powiedział John.

Widząc iskierki rozbawienia w jego oczach, zapytała:

- W jakim sensie?

Uśmiechnął się.

- Dowiedziałem się, dlaczego w sklepach półki ze słodyczami stoją obok kasy. To po to, żeby doprowadzić rodziców do obłądu. Kiedy ja opróżniałem koszyk z jednej strony, Amy dokładała łakocie z drugiej. Stwierdziłem, że takie dziewczynki, niewielkiego wzrostu, mogą osiągnąć zadziwiającej ilości zabawek w sklepie. Poza tym trzylatki

zadają najbardziej niewiarygodne pytania. Myślałem, że jestem stosunkowo inteligentny, ale tylko do chwili, kiedy zapytała mnie, dlaczego winda jeździ do góry i na dół, a nie na boki.

Lauren zaśmiała się:

- Jak na tak krótki kurs ojcostwa, robisz szybkie postępy.

Dalszy ciąg wieczoru Lauren zapamiętała tylko w migawkach.

- Uczciwie mogę powiedzieć, że nigdy nie jadłem takiego obiadu jak dzisiaj - powiedział John przy zmywaniu naczyń. - Kolba kukurydziana, spaghetti, płatki kukurydziane i pudding czekoladowy stanowią ciekawą kombinację.

John podał wytarty talerz Amy stojącej na krześle przy szafce kuchennej.

- To są wszystko ulubione potrawy Amy.

- Jedzenie - powiedziała oględnie Lauren było zdecydowanie urozmaicone.

- John, czy nie wydaje ci się, że starczy już tych zabawek w wannie? Nie mogę wśród nich znaleźć Amy.

- Lubi mieć parę rzeczy do zabawy w czasie kąpieli.

Lauren wyciągnęła wypchanego tygrysa, całego rozmokłego.

- Może na drugi raz pomożesz jej wybrać. Najlepiej rzeczy, które pływają w wodzie.

- Dobry pomysł.

- Czy to był twój pomysł, czy jej, żeby kupić jej zegarek?

- Przecież nie miała zegarka.

- John, przecież ona jeszcze nie zna się na zegarku. Nie potrzebuje drogiego zegarka w tym wieku.

- Hm, kiedy się nauczy, będzie miała jak znalazł.

Kiedy w końcu zapakowali Amy do łóżka, John opadł na kanapę. Poderwał się natychmiast i wyjął spod siebie pudełko kredek, na którym usiadł. Położył je na stoliku do kawy, tuż

obok kolorowej książki, trzech mebelków z domku dla lalek i lalki Barbie.

Lauren trzymała całe naręcze wypchanych zwierzaków i innych zabawek.

- Gdzie mam to położyć?

- Gdziekolwiek - mruknął, kiedy usiadł na dobre.

Rozejrzała się po pokoju. Poza ewidentnymi oznakami obecności dziecka, mieszkanie Johna przypominało wystawę drogiego sklepu meblowego. Dywan był jasnoszary, tak samo jak zasłony przysłaniające duże okno balkonowe wychodzące na ocean. Kanapa i krzesła miały obicie z ciemnozielonej tkaniny, ożywionej szaro - turkusowymi pasmami. Stoliki były ze szkła i mosiądzu, lampy ze wschodniej porcelany.

Tego mieszkania nie urządzono z myślą o dziecku. Złożyła zabawki podniesione wcześniej z podłogi na wyściełanym krześle.

- Jak następnym razem będziesz w sklepie z zabawkami, kup pudło na zabawki. Duże pudło na zabawki, a jeszcze lepiej dwa pudła.

Gdy zabrała się do zbierania pozostałych zabawek, powiedział:

- Zostaw to. Siądź i dotrzyмай mi towarzystwa. Dałbym ci coś do picia, ale mam tylko sok żurawinowy z kartonu i mleko.

Usiadła w kącie kanapy z podwiniętymi nogami.

- Małe dziewczynki w domu powodują zmianę zwyczajów, nieprawdaż?

- Można tak powiedzieć.

Położył głowę na oparciu kanapy.

- Zmęczony? - zapytała.

- Uhm. Zanim przyjechała Amy, wydawało mi się, że jestem w dobrej kondycji fizycznej. Ale trening przed olimpiadą

nie jest tak wyczerpujący jak przebywanie z małą trzylatką.

- Może lepiej pójdę. Będziesz się mógł położyć. Kiedy podnosiła się z kanapy, pociągnął ją za rękę i posadził sobie na kolanach.

- Zostań. Zbyt długo musiałem się obywać bez ciebie.

Czuła pod sobą jego twarde i ciepłe uda. Silne były obejmujące ją i przyciskające do piersi ramiona.

Niedbałym i umiarkowanie zainteresowanym tonem powiedział:

- Dzwoniłem wczoraj do ciebie koło siódmej, ale nie było cię w domu.

- Po pracy poszłam na obiad do restauracji.

- Sama?

- Tak, sama. Zafundowałam sobie drogi obiad, zamiast zjeść byle co przed telewizorem, a prawie nic nie miałam w domu.

- Ale nie pracowałaś do późna? - podniósł rękę, żeby powstrzymać jej ewentualne uwagi. Wiem, chcesz oddzielić pracę od życia osobistego, ale nie możemy tak do końca zapomnieć o fakcie, że pracujesz dla mnie, Lauren. Jestem odpowiedzialny za wszystko, co dzieje się w Raytech. Jeśli Simpson nie prowadzi swego działu w należyty sposób, mam prawo wiedzieć o tym. Jeśli niesprawiedliwie rozdziela pracę, też powinienem o tym wiedzieć.

- Jeśli pójdziesz do Simpsona i zaczniesz go wypytywać o mnie, pomyśli, że jestem na specjalnych prawach. Kilka razy widziano nas razem i plotki mają się czym dziś karmić.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Przeszkadza ci, że ludzie o nas mówią?

- Nie ma żadnego znaczenia, czy mi się to podoba czy nie. Plotkarski młyn będzie mełł na nasz temat przez kilka dni, dopóki nie znajdzie się coś nowego do przeżucia.

Wracając do sprawy przełożonego, powiedziała:

- Wolałabym sama załatwić to z Simpsonem.

Nigdy nie lubiłam ludzi, którzy szukali poparcia, żeby wypłynąć. Na pewno nie chcę, żeby myślano o mnie, że sypiam z szefem, żeby utrzymać pracę.

- Ale my nie sypiamy ze sobą - powiedział spokojnie. - Jeszcze nie.

Uśmiechnęła się smutno.

- Wątpię, żeby inni widzieli to w ten sposób. Plotkarze wiedzą, że jak dotąd nie byłeś związany z żadną kobietą w Raytech. Fakt, że parę razy widziano nas razem, wystarczy do pobudzenia ciekawości i plotek.

- Nie chcę, żebyś miała jakieś kłopoty z mojego powodu. Jeśli Simpson ...

- Pozwól mi wykonywać moją pracę, John. W końcu za to mi płacisz.

Westchnął ciężko, zniecierpliwiony i zniechęcony zarazem.

- W porządku. Ale jeśli zobaczę albo usłyszę, że traktuje - cię inaczej niż pozostałych w wydziale, wkroczę w to.

Nie mogła oczekiwać większego kompromisu.

Poczuła jak pod jej dłonią jego pierś unosi się w głębokim oddechu. Zamknął oczy, jego głowa ponownie opadła na oparcie kanapy.

- Może powinienem zacząć brać witaminy.

- Ciężkie były te ostatnie dni, co?

- Nie powinny takie być - powiedział niezadowolony sam z siebie. - Właściwie nie robiłem takich trudnych rzeczy. W poniedziałek zabrałem Amy do sklepu i zajęło nam to dwie godziny. Obracaliśmy dwanaście razy, żeby przewieźć wszystko do mieszkania. Znowu godzina, żeby wszystko poukładać. Potem objechaliśmy dwanaście przedszkoli, dopóki mój



przyjaciel nie podał mi adresu tego, do którego Amy poszła dzisiaj. Wczoraj była wizyta u pediatry, bardzo kształcąca. Jasno pojąłem różnicę między chłopcem a dziewczynką, kiedy pielęgniarka wręczyła mi plastikowy pojemnik i powiedziała, że potrzebuje od Amy moczu do analizy.

- Byłeś zabiegany - Lauren zacisnęła usta powstrzymując śmiech.

- Nie zdajesz sobie sprawy nawet z połowy tego wszystkiego. Niektóre zabawki wybrane przez Amy w sklepie okazały się składane, a złożenie ich wymaga co najmniej stopnia magistra inżyniera.

- Ależ John, jesteś magistrem inżynierem dzielnie walczyła ze śmiechem. - inżynierem od elektryczności, anie od zabawek. Uwierz mi, że mój tytuł w niczym mi nie pomógł, kiedy musiałem złożyć dom dla lalek, w którym część A nie pasuje do otworu B, tak jak ma pasować. instrukcja do akwarium była po japońsku. Do diabła, wstawienie baterii, które kupiłem, do wszystkiego, co ich potrzebowało, zajęło ponad godzinę. To dla mnie zagadka, jak dziewczynka, sama ważąca niespełna dwadzieścia kilo, może potrzebować tylu rzeczy.

Zdziwił się, czując, że ciało Lauren drży w jego ramionach. Czoło miała oparte o jego pierś tak, że nie widział jej twarzy. Ujął palcami jej podbródek, odchylił głowę do tyłu. Zobaczył, że oczy błyszczały rozbawieniem, zagryzała dolną wargę powstrzymując się od głośnego śmiechu.

- Co w tym takiego śmiesznego?

Jego obrażony ton znowu ją rozśmieszył. Kiedy w końcu złapała oddech, powiedziała:

- Przepraszam. ile razy myślałam o tobie, nigdy nie wyobrażałam sobie ciebie wśród zabawek.

Złapał ją gwałtownie i odsunął, żeby lepiej ją widzieć.

- Myślałaś o mnie? - w jego głosie słychać było zdumienie i niedowierzanie. - Od jak dawna?

Lauren nie miała już ochoty do śmiechu. Mogła skłamać albo wyjaśnić swoją uwagę.

- A od jak dawna pracuję w Raytech? - i odpowiadając na własne pytanie, a pośrednio i na jego, powiedziała: - Nieco ponad rok.

Przyglądał się jej uważnie:

- Tak długo? Nigdy nic nie zauważyłem. Zawsze miałem wrażenie, że traktujesz mnie obojętnie.

- Nieprzyjemnie jest być w błędzie, prawda?

Palcami lekko poklepał ją po policzku, znajdując w tym dotknięciu zmysłową przyjemność.

- W tym jednym przypadku jestem zadowolony, że się myliłem.

Pożądanie jego wzrosło, kiedy wziął jej usta w sposób, o jakim marzył - jak mu się teraz wydawało - od zawsze. Przyciskając swe wargi do jej, szukał miodowej słodyczy, o której wiedział, że tam była. Ten smak nęcił go, budząc w nim pierwotny głód, pragnienie, aby popróbować jej całej.

Skończył się czas słów. Zmysły, gorące i niepowstrzymane, opanowały go, kiedy jego usta i ręce pociągnęły ich oboje w krainę namiętności. Czułość mieszała się z pożądaniem. Ręce wabiły, ciało płonęło, w żyłach tętniło.

Lauren miała wrażenie, że spada. Poczwała, że jego ciało nakrywa ją, przyciska do kanapy. Czwała jak palce wsuwają się jej za bluzkę, wyciągają ją zza paska spodni. Jej skóra wibrowała pod niecierpliwym dotknięciem jego rąk.

W końcu bluzka, a potem stanik, opadły. Westchnęła, kiedy otoczył jej piersi dłońmi, drażniąc sutki kciukami, aż naprężyły się, twarde i wrażliwe.

Rozpięła jego koszulę, poczuła pod dłońmi jego nagą i rozpaloną pierś.

- John - powiedziała z westchnieniem. Pragnęła wymówić jego imię, nie zdając sobie sprawy z bolesnego pragnienia w swoim głosie.

- Wiem - jego oddech owionął jej skórę, kiedy zbliżył wargi, aby objąć nimi jej pulsującą pierś.

Zamknęła oczy oddając się burzliwym doznaniom, zapominając o oporze i czując tylko żar we krwi. Jej biodra pod nim poruszały się, instynktownie szukając ulgi w napięciu, jakie w nich wezbrało. Ich nogi splotły się.

John wyszeptał jej imię ustami wtulonymi w jej skórę. Nie mógł spodziewać się po niej, ani nawet pragnąć, wspanialszego odzewu. Jej reakcja sprawiła, że niemal pragnął przekroczyć granicę. Poziom jego namiętności zbliżał się do punktu, od którego nie będzie odwrotu, wyteżył całą wolę, aby zachować kontrolę.

Kiedy poczuł jej palce na pasku swoich dżinsów, mięśnie jego brzucha napięły się i wysunął biodra z jej uścisku. Potrzebował rozdzielającego ich materiału. Bez niego nie zdołałby się powstrzymać od wzięcia jej. Odrywając usta od jej piersi, ukrył twarz na jej szyi.

- Nie - jęknął ochryple.

Lauren zmroziło. Oszołomiona, potrzebowała dobrej chwili, zanim zrozumiała, co oznaczało to słowo. Z dreszczem szepnęła:

- Dlaczego? .

Dźwigając swoje długie ciało do pozycji siedzącej, westchnął głęboko, oparł ramiona na kolanach.

- Amy.

Lauren, przerażona, zdała sobie sprawę, że kompletnie zapomniała iż jego córka spała w pobliżu. John o tym pamiętał.

Siedzieli w milczeniu przez kilka długich chwil, podczas których stygła im krew. John odwrócił się w jej stronę i dostrzegł kuszące ciało, częściowo odsłonięte przez rozpiętą bluzkę. Mruknął, czując, że brzmi to szorstko:

- Zapnij bluzkę, Lauren. Tak jak jest, doprowadza mnie do szaleństwa.

Usłuchała, drżącymi rękami zapięła bluzkę. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, dostrzegł, że czuje się dotknięta.

Klnąc samego siebie pod nosem, powstał z kanapy jak wyrzucony sprężyną. Odszedł kilka kroków, potarł ręką kark.

- Sam nie mogę uwierzyć w moje zachowanie.

Jego głos oddawał cierpienie, jakie odczuwał. Lauren czuła się odrzucona, a ból był większy, bardziej nieznośny, niż mogła to sobie kiedykolwiek wyobrazić. Czuła się tak, jakby ofiarowano jej bezcenny dar, a potem, kiedy już po niego sięgała, zabrano go jej sprzed nosa.

- Masz rację - powiedziała spokojnie. Amy mogła się zbudzić i szukać ciebie tutaj. Ja ... ja rozumiem.

- Cieszę się, że rozumiesz. Bo ja nie - powiedział zawiedzionym głosem. Przejechał ręką po włosach. - Wiem, że mówiłaś, że nie interesuje cię ani romans, ani małżeństwo, ale będziesz musiała wybrać między nimi. Tak jak dotąd, dalej być nie może.

Lauren przyglądała mu się w osłupieniu. Przełykając z trudnością, zdołała powiedzieć:

- Jest jeszcze jedna możliwość.

- Nie! Odejść ode mnie, od tego, co nas łączy, nie możesz. Gdybyś to tylko ty była zaangażowana, mogłabyś uciec i skryć się przede mną, ale ja też w tym siedzę. Lauren, wiem, że obawiasz się, że ktoś cię zrani. Ja też nie jestem z żelaza, i też się tego obawiam, ale nie będę na tyle tchórzem, żeby udawać, że

nic między nami nie było.

Chłonęła jego słowa, a zarazem miała wrażenie, że niczym bicz chłoszczą jej skórę.

John dostrzegł niepewność w jej oczach. Postawił jej ultimatum, a teraz mógł tylko czekać na jej decyzję. Podeszedł do oszklonych drzwi balkonowych i otworzył je. Silny wiatr wiejący od strony oceanu wydał jego koszulę, kiedy wyszedł na balkon.

Lauren pozostała na kanapie. Widziała, jak opiera się o poręcz balkonu, wychylając się w stronę oceanu. Nadal bolało ją jego przyznanie, że mogła go zranić. Tak była zajęta osłanianiem samej siebie, że nie poświęciła żadnej myśli jego uczuciom. Przygniotło ją poczucie winy. Okazała się nie tylko tchórzem - jak on ją nazwał, ale również egoistką. Trudno jej przyszło przyznać się do tego, ale w końcu to uczyniła.

Spojrzała na swoje białe stopy. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że zrzuciła pantofle. Włożyła je z powrotem, ale nie kłopotowała się wsuwaniem bluzki w spodnie. Rozejrzała się za swoją torebką, przycisnęła ją do siebie.

Mimo podmuchów wiatru i szumu fal załamujących się na piaszczystej plaży, John usłyszał dźwięk zatraskujących się drzwi wejściowych. Zamknął oczy i zwiesił głowę. Nie mógł nawet pójść za nią. Nie mógł zostawić Amy samej.

- Cholera - mruknął pod nosem. Każdym włóknem ciała boleśnie pragnął Lauren, a ona odeszła. Zacisnął palce na poręczy. Będzie musiał znaleźć jakiś sposób, żeby być ojcem, a zarazem mieć osobiste życie. Lauren była zbyt ważna, żeby ją stracić.

Ból wstrząsnął jego ramionami, kiedy jeden z drążków poręczy wbił mu się w ciało. Otwierając oczy, spojrzał na swoje dłonie i zaskoczył go widok innej dłoni. Drobniejsza,

delikatniejsza, dobrze znana dłoń Lauren spoczywała obok jego ręki. Poderwał głowę:

- Myślałem, że poszłaś.

Wiatr rozwiał jej włosy wokół twarzy.

- Poszłam. Ale wróciłam.

Wyciągnął do niej ramiona, porwał w objęcia.

Trzymał ją tak, jakby do niego należała, przyciskał do swego mocnego ciała. W tej chwili wystarczyło mu trzymać ją, czuć przy sobie tak pełną życia. Ogarnęła go dzika radość i ulga, czyniąc go słabym, a jednak silniejszym niż kiedykolwiek.

Jej ręce objęły go w pasie, a jej głowa spoczęła na jego nagiej piersi.

- Ja tak naprawdę myślę, John. Naprawdę rozumiem. Twoja córka jest dla ciebie ważna. i tak właśnie powinno być.

Odsunął ją od siebie na tyle, żeby móc zajrzeć Jej w oczy.

- Ty też jesteś dla mnie ważna, Lauren - delikatnie pieścił jej twarz. - Musimy pomyśleć, jak z tego wyjść.

- Czy wybieramy się dokądś, John?

- O, tak - powiedział przeczesując palcami jej potargane na wietrze włosy. Ruszamy w długą drogę. Jest tylko problem dotarcia do niej.

Ucałował jej usta ostrożnie, z czułością, pod którą kryła się zmysłowość. Pocałunek trwał, pogłębiając się w miarę, jak pożądanie coraz mocniej pulsowało w ich żyłach. Odgłos grzmotu w oddali, a potem zygzak błyskawicy nad oceanem sprawiły, że powietrze wokół nich zdawało się trzeszczeć od naelektryzowania. Namiętność, jaka ich łączyła, była żywiołem naturalnym jak burza, która miała się rozpętać.

Spadło kilka kropel deszczu, znacząc poręcz i ich ubrania. John oderwał się od jej ust i podniósł głowę. Wiatr szarpał jej włosy, kiedy podniosła twarz ku niebu, jak gdyby rzucając

wyzwanie naturze. Potem przeniosła wzrok na niego i jej oczy rozbłysły podnieceniem.

Pożądanie przeszło go do głębi. Zdumiewała go intensywność uczuć, jakie ona w nim wyzwaliała.

- Lód topnieje - powiedział ochryple.

- Co takiego? - zapytała, nie rozumiejąc jego zaszyfrowanej uwagi.

Nie mogąc się powstrzymać od dotykania jej, chwycił ją za ramiona.

- Jesteś dziwną mieszaniną ognia i lodu. Ogień jest w środku, schowany pod pancerzem lodu, który osłania twój żar i namiętność. Przesunął ręce w dół, ku jej kuszącym piersiom. Uśmiechnął się, dostrzegając, jak w jej oczach pojawia się wyraz pożądania.

- Lód topnieje - powtórzył.

Głupotą byłoby choćby próbować zaprzeczać, kiedy czuła się tak, jakby jej ciało rzeczywiście topiło się pod jego dotknięciem.

Po pierwszych kroplach deszczu niebo otworzyło się na dobre. Bębniły wokół nich gęste, nieprzerwane strumienie wody. John szybko wciągnął jąz powrotem do mieszkania i zamknął drzwi. Krople deszczu uderzały o szyby niczym serie z karabinu maszynowego.

Otarł z jej policzka odrobinę wilgoci.

- A co byś powiedziała na kawę? Jeszcze mamy parę rzeczy do ustalenia, jeśli o nas chodzi.

Błysk białoniebieskiego światła rozjaśnił pokój, wytrącając Lauren z równowagi. Po nim dał się słyszeć głośny grzmot. Deszcz walił w szyby z tą samą siłą.

- Muszę jechać do domu, zanim burza rozpęta się na dobre.

- Nie chcę, żebyś jechała do domu w taką pogodę.

- Burza mi nie przeszkadza.

Podskoczyła jednak, zdradzając tym samym swoje kłamstwo, na kolejny błysk i grzmot, który wstrząsnął oknem i wypełnił pokój.

- Właśnie widzę, że ci nie przeszkadza. Zostań na noc.

Burza przestraszyła nie tylko Lauren. Oboje usłyszeli nagle przerażone krzyki Amy. Poszli do jej pokoju i John przytulił Amy, żeby ją uspokoić. Pochylony nad wezglowiem, przemawiał do niej cichym, łagodnym głosem. Ramiona dziewczynki wczepiły się w jego szyję z taką siłą, jakby od niego zależało jej życie.

Lauren zasunęła zasłony, odgradzając Amy od błyskawic. Trudniej było coś poradzić na pioruny. Lampka nocna, którą zapalił John kładąc Amy spać, dawała dość światła, żeby Lauren mogła podejść do łóżka nie potracając niczego po drodze. Stała tam, kiedy szczególnie głośny grzmot przrwał ciszę panującą w pokoju. Wzdrygnęła się i choć usiłowała ukryć swoją reakcję, nie udało jej się zwięść Johna.

Poklepał miejsce na łóżku obok siebie, mówiąc miękko:

- Jest miejsce dla jeszcze jednej osoby.

Nie potrzebowała dłuższego namawiania, żeby do nich dołączyć. Zrzuciła buty i usadowiła się koło niego na łóżku Amy.

- Tylko na chwileczkę - powiedziała - dopóki nie przestanie padać. Wtedy będę musiała jechać do domu.

Z uśmiechem objął ją ramieniem.

- Nie ma sprawy. Odpręż się, a ja opowiem wam wszystko o Bush Gardens.

- Dlaczego o Bush Gardens?

- Obiecałem Amy, że pojedziemy tam w któryś weekend. Łagodnym, cichym głosem opisywał przejażdżki, które będą



odbywać i widoki, które będą oglądać.

John czuł, jak drobne ciało Amy ciąży coraz bardziej w jego ramionach. Odczekał jeszcze chwilę i miał ją właśnie ułożyć w łóżku, kiedy zauważył, że nie tylko Amy śpi. Odwrócił głowę i zobaczył, że Lauren leży z zamkniętymi oczami, miarowo i głęboko oddychając.

Wydał usta w uśmiechu, rozluźnił się i pozostał na swoim miejscu.

Lauren obudziła się nagle, kiedy słońce zaświeciło jej prosto w oczy. Chciała się odwrócić na drugą stronę, ale nie mogła się poruszyć. Otworzyła oczy i zobaczyła, że promień światła dochodzi ze szczeliny w zasłonach zakrywających okno. Roejrzała się.

Okazało się, że tym, co uniemożliwiało jej poruszenie się, było ramię spoczywające na jej piersi. Odwróciła głowę i zobaczyła wyciągniętego obok siebie Johna. Leżał na boku, jego głowa spoczywała na tej samej poduszce co jej, a jednocześnie przytrzymywał ją opiekuńczo ramieniem. Pled okrywał go od pasa w dół, odsłaniając jego nagą pierś.

Lauren spojrzała na swoje własne ubranie. Jedwabna bluzka była pomięta, ale na swoim miejscu. Na nogach czuła dotyk płótna spodni. John zdjął swoją koszulę, ale ją pozostawił całkowicie ubraną.

Podniosła rękę, żeby spojrzeć na zegarek. Było pięć po szóstej. Zsunęła pled, aby łatwiej wydostać się z łóżka. Jego ramię objęło ją mocniej.

- Dokąd się wybierasz?

Odwróciła się do niego.

- Jeśli wyjdę natychmiast - szepnęła - starczy mi czasu, żeby wziąć prysznic przed wyjściem do pracy.

Dotknęła bluzki.

- i nie sędzę, żeby szef być zachwycony, jeśli pokażę się w Raytech w tym ubraniu.

Podparł się na łokciu i obrzucił ją spojrzeniem.

- Szef wolałby, żebyś pokazała się bez żadnego ubrania - przysunął się do niej, żeby ją pocałować. - Dzień dobry.

- Dzień dobry - posmakowała językiem miejsce po pocałunku.

Jego spojrzenie zatrzymało się na jej języku przesuwanym się po dolnej wardze. Z głębi jego gardła wydobył się jęk nagłego pragnienia.

- Pewnego dnia będziesz musiała zrobić mi tak samo.

- Zrobić co? - zapytała bez tchu w piersiach.

- Przesunąć swoim gorącym, różowym językiem po mojej skórze.

Przebiegł ją dreszcz gwałtownego podniecenia. Obróciła się ku niemu i ukrywając twarz w zagłębieniu między jego szyją a ramieniem, pieściła jego ciało powolnymi, kuszącymi ruchami języka.

- W ten sposób?

Połączenie wrażeń wywołanych dotykiem jej wilgotnego języka i ciepłej piersi sprawiło, że zadrżał z rozkoszy.

- Tak - mruknął przez zaciśnięte zęby. Właśnie tak. i bardziej. Dużo bardziej. Wszędzie.

Obrócił ją na grzbiet i przycisnął sobą, szukając jednocześnie jej ust. Rozpiął jej bluzkę i stanik, tak by móc dotknąć jej nagiej piersi swymi spragnionymi ustami.

Za zamkniętymi powiekami Lauren widziała kolorowe światła eksplodujące w oślepiających błyskach, podczas kiedy jego usta drażniły, pobudzały jej ciało. Wyciągnęła rękę ku jego biodrom, aby przycisnąć go mocniej do siebie. Poczwała szorstki materiał dzinsów.

Gdzieś w zakamarkach pamięci tłuło się wspomnienie powodu, dla którego John przerwał ich zbliżenie poprzedniego wieczoru.

- John - szepnęła. - Amy.

Podniósł głowę i spojrział na nią. Zobaczył w jej oczach odbicie własnego pożądania.

- Muszę cię mieć, Lauren. Wolałbym dać sobie rękę odciąć, niż przestać teraz.

- Drzwi są otwarte - powiedziała słabo. Ale jej biodra, wygięte pod nim w łuk, jej ruchy przeczyły jej protestom .

Poczuła, że maleje ciężar, jakim ją przygniatał. Pochylił się, wziął ją na rękę i uniósł. Z ustami na jej wargach niósł ją do swojej łazienki. Zamknął za sobą drzwi nogą, posadził ją na blacie obok umywalki, potem odwrócił się, żeby przekręcić zamek.

Udami oplótła jego biodra, jakby nie chciała pozwolić mu się oddalić, chociaż była to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę. Zdjął jej bluzkę i stanik, a ona podniosła rękę, obejmując go za szyję. Gdy przywarł do jej piersi, rozległy się jęki rozkoszy.

Zręcznym, pewnym ruchem John zdjął swoje dzinsy, potem jej spodnie, i wsunął palce pod elastik jej majtek. Marmurowy blat przejął zimnem jej nagie ciało, ale nie zwracała na to uwagi. Żar i ogień przebiegły przez jej ciało, unoszona falami miłości i pożądania pozbyła się wszelkich wątpliwości i obaw, jakie mogła żywić wobec łączącego ich związku. Kochała go i pragnęła. W swoim życiu i w swoim wnętrzu.

- John, proszę, nie przerywaj - błagała, czując jak żar opływał ją i wypełniał, kiedy on głaskał jej uda. Bolesne napięcie rosło. Czowała się tak, jakby za chwilę miała eksplodować. Świat przestał istnieć, kiedy jego ręce objęły jej biodra i poczuła jak ją przenika.

Oddychała z największym trudem. Sciskając jego ramiona próbowała zaczerpnąć powietrza w obawie, że w uniesieniu może rozpaść się na części. Niezwykle napięcie rosło z każdym jego ruchem. Jakby z wielkiej odległości dochodził ją jego głos, pełen dziwnego napięcia, powtarzający jej imię. Niezdolna przemówić, odpowiedziała mu nie głosem, ale sobą.

Razem przekroczyli próg napiętności i wtedy poczuli, że świat wybuchnął wokół nich.

John nie puścił jej od razu. Nie mógł. Pochylił twarz, kryjąc ją na jej szyi, wdychał jej zapach. Jedno z nich drżało, ale nie potrafił powiedzieć, które. Z najwyższym wysiłkiem podniósł głowę. Odgarniając jasny kosmyk z jej policzka, zapytał ochryple:

- Dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową, a potem zmieniła zdanie. - Nie wiem - powiedziała słabym głosem.

- Nigdy nie było tak jak teraz.

Pocałował ją.

- To mało powiedziane. Nic nigdy nie było takie jak teraz.

Odsunął się od niej łagodnie, wszedł pod prysznic, odkręcił kran. Odwrócił się od niej i podniósł ją z blatu, na którym siedziała.

- Co robisz?

- Powiedziałaś, że chciałaś wziąć prysznic przed pójściem do pracy.

Z uśmiechem założyła mu ręce na szyję.

- Niezupełnie w taki sposób chciałam go wziąć.

- Czy wnosisz zażalenie?

Potrząsnęła głową. Woda spływała po nich kaskadami. Lauren przymknęła oczy, chroniąc Je przed wilgocią.

- Czy już mamy romans?

Jego ręce obsunęły się na jej nagie biodra.

- Kochanie, mam z tobą romans od dnia, kiedy zastałem cię pod stołem w moim gabinecie przyciągnął ją do siebie. - i potrwa on bardzo długo.

Nie chciała mówić ani o bliższej, ani i dalszej przyszłości. Przyciągnęła jego głowę i stanęła na palcach tak, aby ich usta się spotkały. W tej chwili nie pragnęła niczego więcej.

Lauren ledwie zdążyła do pracy. Prysznic z Johnem zajął jej nieco więcej czasu, niż się spodziewała, ale też okazał się znacznie bardziej pobudzający niż jej zwykłe pluskanie się.

Po powrocie do siebie, zamiast przebierać się do pracy, zapatrzyła się w przestrzeń, przebiegając myślą ostatnie godziny. Wspomnienie było tak żywe, aż przebiegł ją dreszcz. Czuła jego ręce, jakby nadal błędziły po jej ciele.

Pomyślała, że wyraziła się jasno, twierdząc, że chce rozdzielić ich stosunki osobiste i sprawy związane z pracą, ale wyglądało na to, że John nie wziął tego na poważnie. Przyszedł do niej do pokoju, żeby zabrać ją na lunch, a potem pokazał się o piątej, żeby odprowadzić ją do samochodu. Nie uczynił najmniejszego wysiłku, aby ukryć fakt, że byli razem, kiedy spotykali w Raytech kogoś z personelu. Otwarcie trzymał ją za rękę, kiedy przechodzili przez hol, i obejmował ją na oczach wszystkich.

Sprzeciw nic by nie dał. John nie należał do ludzi, którzy potrafią udawać. Jego zdaniem ich życie osobiste i zawodowe było rozdzielone. Nie wtrącał się do jej pracy, przynajmniej nie bezpośrednio. Biurowa polityka personalna kwitła w firmie, podobnie jak w większości dużych organizacji. Wiadomość, że coś łączy Lauren z szefem, mogłaby zaszkodzić jej pozycji. Gdyby usłyszał albo zauważył jakąkolwiek oznakę uprzedzeń czy zawiści wobec niej, wkroczyłby od razu. Do tego czasu pragnął traktować oddzielnie ich pracę w Raytech i ich stosunki osobiste.

Tego wieczoru Lauren znów przyszła do mieszkania Johna. Po obiedzie grali z Amy w różne gry, potem położyli dziewczynkę do łóżka. Kiedy zasnęła, prażyli kukurydzę i oglądali TV. Potem Lauren powiedziała, że musi wracać do

siebie. John starał się namówić ją, żeby została, ale nie skorzystała z zaproszenia. Powiedziała, że jeśli rzeczywiście traktuje serio opiekę nad córką, to jego kochanka nie powinna z nim mieszkać. Poza tym Amy do zbyt wielu nowych rzeczy musiała się przyzwyczajać, żeby dodatkowo stawiać ją w sytuacji, której prawdopodobnie nie byłaby w stanie zrozumieć.

W czasie lunchu w piątek, kiedy wspomniała o wyjeździe na weekend, poprosił ją, żeby została w mieście.

- John, wiesz, że jeżdżę do Północnej Karoliny w każdy weekend.

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie mogłabyś pojechać w sobotę?

- No ... nie, ale ...

- Czy masz jakąś piękną sukienkę?

Zamrugła.

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Chcę, żebyś ją włożyła i była gotowa dziś o ósmej. Pójdziemy dokądś, tylko we dwoje.

- A co z Amy?

- Pamiętasz, wspomniałem ci kiedyś o moim przyjacielu, który polecił mi przedszkole?

Skinęła głową.

- Ma trójkę dzieci, które kocha do szaleństwa, ale od czasu do czasu ma ochotę razem z żoną odpocząć od nich. Mają fantastyczną opiekunkę, która kocha dzieci, a ich nie obzera i nie spija wszystkich ich trunków. Nie ma też narzeczonego, który pojawia się w chwilę po ich wyjściu z domu, ani też nie wydzwania do Timbaktu z ich aparatu. Amy już ją poznała i chyba nabrała do niej sympatii, więc poprosiłem ją, żeby przyszła o siódmej trzydzieści popilnować Amy. A my wypuścimy się gdzieś sami, jak wszyscy normalni ludzie. Dzięki

temu będziemy mogli porozmawiać tak, żeby nam nikt nie przeszkadzał.

- Porozmawiać? O czym?

- Nie słyszałaś, że cierpliwość jest cnotą? - Rozglądając się po zatłoczonej restauracji Holly, dodał: - Tu nie jest miejsce ani pora. Chcę cię tylko dla siebie, tak żeby ani Holly, ani nikt z biura nie mógł przystanąć, żeby pogadać.

Po powrocie do biura Lauren rozważała różne możliwe tematy, na które John chciałby z nią porozmawiać, ale nie przyszedł jej do głowy żaden sensowny pomysł. Chyba tylko taki, że potrzebował spokojnego miejsca, żeby oświadczyć jej, że pragnie położyć kres ich krótkotrwałej zażyłości. Starła się nie przywiązywać wagi do tej właśnie myśli, ale narzucała się jej z coraz większą siłą, pomimo wszystkich wysiłków, jakie czyniła, żeby ją odepchnąć.

Kiedy wysiadała z windy po skończeniu pracy, John czekał na nią. Wziął ją pod ramię i przeszli razem na parking.

- Dlaczego tak późno kończysz pracę?

- Miałam parę rzeczy do zrobienia.

Przystanął, zmuszając ją także do za trzymania się.

- Czy to Simpson znowu zarzuca cię robotą?

- John - powiedziała ostrzegawczym tonem.

Ruszył z miejsca.

- Wiem. Chcesz, żebym trzymał się od tego z daleka. Ale naprawdę mi trudno, biorąc pod uwagę fakt, że to ja podobno jestem szefem w Raytech - powiedział suchym tonem.

Kiedy doszli do jej samochodu, otworzył jej drzwiczki. Przytrzymując jej podbródek, pochylił się i pocałował ją. Przedłużając pocałunek, szepnął:

- Będę u ciebie o ósmej.

Czy pocałowałby ją w ten sposób, gdyby zamierzał rozstać



się z nią? - zapytała sama siebie,

przyglądając mu się, kiedy uniósł głowę. Nie potrafiła odczytać odpowiedzi z wyrazu jego twarzy.

Delikatnie popchnął ją na miejsce za kierownicą. - Prowadź ostrożnie. Życie, które uratujesz, należy do mnie.

Odjeżdżając, zastanawiała się, dlaczego czuje się jakby została rozjechana przez walec. Zamierzała cieszyć się tym, co ma, i jak dotąd wychodziło jej to bezbłędnie. No, prawie bezbłędnie. John stale dotykał ją i całował, kiedy tylko choć przez chwilę byli sam na sam, jednak nie kochali się ponownie. Powtarzała sobie, że powinna być szczęśliwa już z tego powodu, że jest przy niej. i była. Ale wiedząc już, jak rozkosznie jest kochać się z nim, nie mogła oprzeć się żalowi, że nie udało im się być tak blisko ponownie.

Jej bardzo odpowiadał termin "kochać się".

Przy jego pomocy była w stanie wyrazić swą potrzebę bycia z nim razem tak blisko, jak to tylko możliwe między dwojgiem ludzi. Ciągle zastanawiała się, jak określiliby ich zażyłość John. Fizyczne zaspokojenie nie było tym samym, co miłość. Potrząsnęła głową, z irytacją. Znowu robiła się zachłanna, chciała wszystkiego zamiast zadowolić się tym, co ma.

Kierowca na nią zatrąbił. Zauważyła, że ledwo posuwa się naprzód. Powinna skupić się na prowadzeniu, jeśli chce dotrzeć do domu cała i zdrowa.

Kiedy znalazła się w mieszkaniu, miała prawie dwie godziny, żeby przygotować się na wieczór z Johnem. Jeśli miał to być jej łabędzi śpiew, postanowiła upodobnić się raczej do łabędzia niż do brzydkiego kaczątka. Z wnętrza szafy wydobyła torbę. Rozsunęła zamek i zdjęła z wieszaka czarną, jedwabną sukienkę. Materiał przeplatany był delikatną, połyskującą w świetle, nitką. Dzięki podszewce sukienka nie wymagała

bielizny, Lauren włożyła tylko czarne, koronkowe majteczki i pas do pończoch. Cienkie niczym spaghetti ramiączka i głęboko wycięty tył odsłaniały jej szczupłe ramiona i plecy.

Jedyną ozdobę stanowił błyszczący grzebień, przytrzymujący z boku jej włosy. Proste, czarne pantofle i mała torebka wieczorowa dopełniały stroju. Kiedy oceniła swój wygląd w dużym lustrze, poczuła się zadowolona.

Rozbawił ją i uradował wyraz oszołomienia w oczach Johna, kiedy otworzyła mu drzwi.

- Patrzysz na mnie, jakbyś widział mnie po raz pierwszy.

Opierając się o drzwi, powiedział ochryple:

- Bo w takiej postaci cię nie oglądałem. Czy mam ci mówić, jak pięknie wyglądasz?

- Miło byłoby usłyszeć.

- Nie znajduję właściwych słów. Nie jestem pewien, czy istnieją odpowiednie słowa.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję. To mi zupełnie wystarczy. Także jego wygląd był godny podziwu. Świetnie się prezentował w jasnobrązowej, sportowej marynarce, ciemnobrązowych spodniach, białej koszuli i brązowym, jedwabnym krawacie.

- Wejdiesz?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Jeśli wejść, to nie wyjdziemy przez dłuższy czas.

Lauren nie opuściła wzroku, kiedy intensywnie się w nią wpatrywał. Musiał wiedzieć, że nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby zdecydował się zostać, zamiast gdzieś wychodzić. Ale tylko uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

Podążyła mu swoją i wyszli.

Była pewna, że pójdą do jakiejś restauracji, ale bardzo się pomyliła.

Zacząła się domyślać, dokąd się udawali, dopiero, kiedy John zajechał na przystań. Szła za nim mijając kilka łódek. Stukot jej obcasów na drewnianych deskach odbijał się echem. Zatrzymał się przy drabince prowadzącej na niewielki jacht, za którego sterem stał jakiś człowiek.

- Czy to twoja łódź? - zapytała zdumiona. Wziął ją za rękę i pomógł wejść na pokład. - Tylko przez najbliższe trzy godziny. Rozsunął szklane drzwi i gestem zaprosił ją do

wnętrza kabiny. Lauren weszła i jej obcasy zagłębiły się w grubym, kosztownym, jasnoniebieskim dywanie. Zobaczyła stół nakryty dla dwóch osób, porcelana i kryształ połyskiwały na lnianym obrusie. Za stołem stały krzesła wyściełane białym pluszem. Tak samo obita była stojąca po prawej stronie kanapa. Przy każdym nakryciu znajdowała się srebrna pokrywa, osłaniająca talerz. Orientalny ekran oddzielał kuchenkę od części jadalnej.

John odsunął Lauren krzesło, zapalił obie świece, potem nacisnął umieszczony z boku guzik. Nie usłyszała dźwięku dzwonka, ale widocznie przeznaczony był dla człowieka na mostku. Silnik zaczął pracować. Przez szerokie okno, znajdujące się obok stołu, mogła dostrzec dwóch ludzi odwiązujących cumy. Po kilku minutach, kiedy jacht odbił od brzegu i ruszył wzdłuż Elizabeth River, przystań zaczęła się oddalać.

John nalał wina do kryształowych pucharów uniósł swój w geście toastu.

Lauren powoli ujęła kielich, żeby stuknąć się z mm.

- Miałeś z tym wszystkim wiele kłopotu. Wystarczyłaby kolacja w jakiejś restauracji.

- Nie dziś. W restauracjach pełno jest kelnerów i innych ludzi. Tutaj jesteśmy sami. Jest jeszcze trzyosobowa załoga, której polecono wypłynąć na trzy godziny w Zatokę

Chesapeake. Myślę, że mamy sporo czasu.

Zrobiła łyk wina, potem zaczęła się bawić nóżką kieliszka. - Na początku myślałam, że to taki trochę ekstrawagancki sposób żegnania się - powiedziała lekkim tonem, chociaż wcale nie było jej lekko na duszy. Uśmiechnęła się. - Ale teraz zastanawiam się, czy nie zamierzasz mnie uwieść.

Jego oczy zwęziły się.

- Żegnania się? Dlaczego mielibyśmy się żegnać?

- To się zdarza. Musisz przyznać, że w ciągu ostatnich paru dni okazywałaś niemałe niezadowolenie z rozwoju sytuacji.

- Lauren - zaczął hamując niecierpliwość. To co zauważyłaś, to była tylko i wyłącznie frustracja. Gdyby okoliczności były inne, nie wypuściłbym cię z łóżka przez tydzień. - Zauważył, jak zmienia się wyraz jej oczu, ciemniejących z pożądania. - Pragnąłem cię do szaleństwa, zanim kochaliśmy się w tamten poranek po burzy. Potem pragnąłem cię jeszcze bardziej. i nadal cię pragnę. Życie z Amy oznacza więcej ograniczeń, niż przypuszczałem.

- Wiem - szepnęła. Wskazując otoczenie, zapytała: - To dlatego uciekłeś się do tego, żeby być ze mną sam na sam?

- Po części.

- A jaka jest pozostała część?

Poczuł niepokój. Dla Johna jego własna reakcja była pewnym zaskoczeniem, ale pogodził się z tym. Zdawał sobie sprawę, że obawy brały się stąd, iż nie mógł odgadnąć, jaka będzie jej odpowiedź. Zbyt niespokojny, żeby usiedzieć na miejscu, nagle odsunął krzesło i cofnął się o parę kroków.

Przez długą chwilę wpatrywał się w okno naprzeciwko. Najbliższe minuty miały zdecydować o jego życiu. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że balansował niebezpiecznie między niebem a piekłem. Od odpowiedzi Lauren zależało, gdzie się

znajdzie.

Starając się opanować nerwy, powoli odwrócił się tyłem do okna.

- Lauren, chcę, żebyś wyszła za mnie za męża.

Upuściła kieliszek, wpatrując się w niego. Żadne z nich nie przejęło się tym, ani nawet nie zauważyło, że rozlane wino plami śnieżnobiały obrus.

Czuło się napięcie. ich oczy się spotkały. W końcu, przerywając ciszę, Lauren szepnęła:

- John, znasz mój pogląd na małżeństwo. Byłam z tobą szczerą od samego początku.

Nie powinien czuć się rozczarowany, słysząc jej odpowiedź, ponieważ czegoś takiego się spodziewał.

- Owszem, byłaś. Wyrażałaś bardzo specyficzne opinie o tym, czego właśnie chcesz albo nie chcesz. Nie chcesz wyjść za męża, nie chcesz ze mną zamieszkać, nie chcesz spędzać nocy w moim mieszkaniu. Wszystkie twoje "nie" są wyryte w moim mózgu. Problem polega na tym, że te decyzje nie pozostawiają wyboru. A trzeba coś wybrać, Lauren. Nie możemy ciągnąć tego tak, jak przez ostatnie dni.

- A tobie się wydaje, że małżeństwo rozwiąże wszystkie problemy? - Wstała z krzesła i podeszła do rozsuwanych, szklanych drzwi, żeby spojrzeć na okręty marynarki, zacumowane przy porcie. Czując nagły chłód, który nie miał nic wspólnego z panującą temperaturą, założyła ręce. Małżeństwo nic nie ułatwi, John, a tylko wszystko skomplikuje.

Chciał zmniejszyć dzielący ich dystans, wziął ją za ramię i odwrócił ku sobie.

- W ten sposób moglibyśmy być razem. Nie przez parę godzin każdego wieczoru, kiedy bawimy się z Amy, a potem odprowadzam cię do samochodu. Chcę sięgnąć w nocy ręką i

znaleźć cię obok. Już mam wrażenie, że moje życie składa się z jakichś kawałków. Rano Amy, w ciągu dnia praca, przez kilka godzin wieczorem ty i Amy, a przez resztę nocy jestem sam. Nasze małżeństwo połączy wszystko w jedną całość.

Słuchała go bardzo uważnie, ale nie usłyszała, żeby mówił o miłości. Co prawda nie było to ważne, bo ona go kochała, chociaż nie chciała go poślubić. Odwróciła od niego wzrok.

- ile razy moja matka wychodziła za mąż, nigdy nie mówiła, że to dla wygody.

Usłyszał gorycz w jej głosie. Nagle doszło do niego, co chciała powiedzieć. Wszystko zaplanował, ale o tym nie pomyślał.

- Lauren - powiedział łagodnie. - Chcę się z tobą ożenić, bo cię kocham. Chcę z tobą być, bo cię kocham. Chcę z tobą spać, bo cię kocham. - Ujmując jej twarz, powtórzył po prostu: Kocham cię.

Lauren przyglądała mu się w napięciu i wiedziała, że mówi prawdę. Myliła się. Jego miłość była ważna. Opuściła głowę, dotykając czołem jego pierSi.

- Utrudniasz mi odmowę.

- Dobrze - objął ją, gładził jej obnażone plecy. Usiłował stłumić rozczarowanie, że nie odwzajemniła jego wyznania. - Nie chcę, żebyś odmówiła. Chcę, żebyś powiedziała tak.

Nie zdając sobie z tego sprawy, pod wpływem ciepła jego dłoni na swej skórze, przytuliła się do mego.

- Nie wiem.

Spłynęła na niego ogromna ulga. Przynajmniej nie powiedziała nie. Pełen pragnienia i czułości zarazem, pochylił głowę ku jej ustom.

Przebiegł ją dreszcz. Pragnąc czuć go bliżej, ściągnęła z

niego marynarkę. Zaczęła manipulować przy guzikach jego koszuli, ale ręce zbyt jej drżały, żeby udało jej się ją rozpiąć.

John oderwał się od jej ust, by pieścić wargami jej szyję. Jego ręce ujęły jej drżące palce.

- Nie po to cię tu przywiozłem.

- Wiem - jej ręka przesunęła się w miejsce, gdzie koszula była rozchylona. Gładziła jego gorącą skórę. - Kochaj mnie, John. Pozwól mi uwierzyć, że naprawdę mnie kochasz.

Połączenie jej dotknięcia i jej błagania osłabiło jego chęć podjęcia natychmiastowych decyzji, dotyczących ich przyszłości. inne potrzeby okazały się bardziej naglące. .

Lauren uniosła się na palcach i przesunęła ustami po jego szyi. Opanowała ją radość. Gryzła go delikatnie, słyszała w odpowiedzi jego jęk i czuła, że ścisza ją mocniej w ramionach. Rozkoszowała się jego męskim zapachem, jego bliskością.

John wziął ją na ręce i poniósł za orientalny ekran, i dalej - w głąb kabiny. Ciągłe trzymając ją na rękach, całował namiętnie. Jego język zapowiadał to, co miało nadejść. Opuszczał ją w dół, aż stanęła naprzeciw niego, rozpiął zamek jej sukienki i zsunął z ramion wąskie ramiączka.

Ciągle patrząc mu w oczy, Lauren zrobiła krok do tyłu i opuściła ramiona. Sukienka opadła na podłogę. Serce łomotało w piersi Johna. Światło księżycy odbijało się od wody i wpadało przez okienka, lśniąc na jej skórze.

Sięgnęła, żeby zdjąć mu krawat.

- Nigdy dotąd nie rozbierałam mężczyzny.

- Dam ci znać, jeśli coś będziesz robić nie tak.

Krawat spadł na podłogę, po nim poszła koszula. Przejechała m u paznokciami po piersi i usłyszała, jak gwałtownie nabrał powietrza.

Nagłym ruchem zdjął z siebie jej ręce.

- Ogromnie mi się to podoba, ale pomogę ci.

Reszta jego ubrania została szybko usunięta. Wtedy podniósł ją i położył na szerokim łożu. Jego palce wśliznęły się pod wąski pasek przytrzymujący czarną koronkę, przesuwały się po jej biodrach i udach, usuwając ostatnią dziejącą ich przeszkodę.

Zetknięcie nagich ciał było wstrząsającą rozkoszą. Ręce pieściły i głaskały, usta drażniły i podniecały, splatały się nogi.

To było tak, jakby łódź wraz ze swoimi dwoma pasażerami została wessana w wir zmysłów. Kiedy John wdarł się w nią, ogarnęła ich ekstaza. Z westchnieniem wymówiła jego imię, a on jęknął, czując na plecach lekkie ukłucie jej paznokci.

Razem pogrążyli się w dzikie, wzburzone morze rozkoszy zmysłowej. Panując nad sobą resztkami sił, John prowadził ją coraz wyżej i wyżej, nie pozwalając jej jednak osiągnąć szczytu.

- Mów mi to, co chcę usłyszeć - rozkazał ochryple.

Lauren wygięła biodra w łuk, nie chciała, żeby przestał, ale on pozostał nieugięty. Musiał mieć wszystko.

- Powiedz mi to.

Niezdolna opierać mu się dłużej, szepnęła miękko:

- Kocham cię.

John jeszcze nie był zadowolony. Musiał mlec pewność, że była świadoma, komu to mówi. Pieszcząc ją, zażądał:

- Powiedz moje imię.

Zawód błysnął w jej oczach, mieszał się z pragnieniem, jakie rozpałił w niej do granic gorączki.

- Kocham cię, John - zrobiła wysiłek ze swojej strony. - Kochaj mnie - wsunęła dłonie pod jego ręce, przeplotła jego palce swoimi i ścisnęła je mocno. - Proszę. Teraz.

Dygocząc w spazmie pożądania, John przeniknął ją ponownie. Wzmocnił uścisk na jej rękach, doprowadził i przeprowadził ją przez szczyt ekstazy, towarzysząc jej w tej



drodze cal po calu.

Burza stopniowo cichła. John nie wypuścił jej z objęć i ciągle trzymał jej ręce. Powoli podniósł głowę znad zagłębienia jej szyi.

- Chyba nie grałem uczciwie?

Rozkoszując się cudownymi odczuciami po akcie, powiedziała:

- W miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone.

Lekko poruszyła biodrami kuszącym ruchem. Uśmiechnęła się, kiedy w głębi swego ciała poczuła jego reakcję.

- Ale to nie jest wojna, prawda?

- Nie - pocałował ją mocno. - To jest miłość.

Niewiarygodny taniec miłości zaczął się od początku. Tym razem wziął ją mniej gwałtownie, za to z subtelną zmysłowością. Razem sięgnęli po oczekujące ich słodkie szaleństwo. Ich okrzyki zmieszały się, kiedy wspięli się na szczyt i opadli po jego drugiej stronie.

John niechętnie zapinał suwak jej sukienki. - To wstyd zakrywać taką wspaniałą skórę, ale nie chcę szokować załogi.

Schyliła się i podniosła jego krawat, składając go w kilkoro i upychając w kieszeni jego marynarki. Wstrząśnięta, uświadomiła sobie, że nie poświęciła odrobiny uwagi trzem ludziom znajdującym się wraz z nimi na pokładzie. Przyciskając do siebie jego marynarkę, powiedziała:

- Nie zachwyca mnie myśl o tych ludziach, którzy wiedzą, co tutaj wyprawialiśmy.

Wziął od niej swoją marynarkę, potem zaprowadził ją z powrotem do części jadalnej.

- Jeśli o nich chodzi, to wynająłem jacht, a więc mogę zjeść kolację sam na sam z moją narzeczoną.

Usiadła przy stole.

- Ale nie jesteśmy zaręczeni.

Zdjął srebrną pokrywę z jej talerza, potem ze swojego. Siedząc naprzeciwko niej, powiedział lekkim tonem:

- Oficjalnie nie.

Nie spojrzała na stojący przed nią talerz.

- Jesteś bardzo pewny siebie.

Wyciągnął do niej rękę, ujmując jej dłoń.

- Wiem, że to stało się dla ciebie zbyt szybko, La uren. Ale to nie znaczy, że tak jest źle. Przyznaję, że nie spodziewałem się też po sobie, że tak szybko się zakocham. Wiem, że masz wątpliwości. Jestem nawet w stanie zrozumieć, skąd się biorą. Proszę cię, żebyś mi zaufała, żebyś uwierzyła w naszą przyszłość.

Po dłuższej chwili wzięła go za rękę.

- Nie mam wyboru - podniosła wzrok i napotkała jego uważne spojrzenie. - Nadal nie jestem pewna, czy małżeństwo to najlepsze rozwiązanie, John, ale jestem pewna tego, co do ciebie czuję.

- Na razie tyle wystarczy. Poczekam na resztę.

W sobotę rano przyjechali do domku w Północnej Karolinie. Amy pomagała Lauren usunąć cienką warstewkę kurzu, która zebrała się na meblach w ciągu minionego tygodnia, a w tym czasie John odgarniał puszkę po piwie i inne rupiecie z ganku. Wyglądało na to, że jakieś nastolatki skorzystały z nieobecności gospodarzy, żeby zrobić sobie prywatkę. Na szczęście nie włamali się do domku, jak zdarzało się to już w okolicy.

Jak wielka zmiana zaszła w Amy przez ten tydzień - zadumała się Lauren pod koniec dnia. Dziewczynka kręciła się wszędzie, nucąc piosenki, jakich nauczyła się w przedszkolu. Trzeba ją było upominać, żeby pozbierała zabawki i nie biegała po domu. Podczas lunchu, kiedy zaczęła opowiadać Lauren o zabawach, jakich nauczyła się w przedszkolu, wypadało ją pouczyć, żeby nie mówiła z pełnymi ustami. Stała się teraz bardziej otwarta i czuła, rozdawała uściski i pocałunki, kiedy tylko zdarzała się po temu okazja. Zachowywała się jak normalne, zdrowe dziecko.

Lauren zauważyła, że Amy nadal uważała, żeby się nie pobrudzić, ale przestało to już być obsesyjne. Dowodem zmiany, jaka zaszła w dziewczynce w tak krótkim czasie, był widok Amy czołgającej się po mokrej plaży i pomagającej Johnowi budować zamek z piasku. Piasek oblepiał jej ką - pielówki, kolana i ręce, kiedy zgarniała go i uklepywała.

Byli właśnie na plaży, kiedy John poruszył temat zatrzymania Amy na stałe. Usiadł na piętach i uważnie przyglądał się córce, badając jej reakcję.

Dziecko trochę się nachmurzyło.

- A co z mamusią?

- Możemy polecieć - do Kaliforni, żeby ją odwiedzić.

- My wszyscy?

John spojrział na Lauren.

- Może - potem przeniósł wzrok na córkę. Przedstawiając swoją sprawę tak uczciwie, jak tylko można w istniejących okolicznościach, powiedział: - Chciałbym, żebyś mieszkała ze mną na stałe, Amy. To może oznaczać, że będziesz spotykać się z mamą na krótko, nie będziesz z nią przez cały czas.

- A czy Lom też będzie z nami mieszkać? Kącik jego ust uniósł się w półuśmiechu.

- O tym zadecyduje Lauren.

Twarzyczka Amy była poważna, jakby rozważała to wszystko, co powiedział ojciec.

- A czy będę mogła dalej chodzić do przedszkola?

Przytaknął.

- Myślisz, że mamusia byłaby zła, gdybym chciała zostać z tobą?

Jeśli Martine będzie zła, pomyślał John, Amy nigdy się o tym nie dowie. Przynajmniej nie od mego.

- Porozmawiam z mamusią.

Amy zerwała się i rzuciła ojcu na szyję. Zapiaszczone ramiona trzymały go mocno, kiedy powiedziała:

- Chcę zostać z tobą.

John objął mały, cenny tobolek, wiszący mu na szyi. Ponad głową Amy posłał Lauren spojrzenie pełne spokoju i zdecydowania.

Po powrocie do Norfolk, w niedzielę wieczór, John opowiedział Lauren o swoich planach na następny dzień. Amy pojechała z nimi do Lauren i oglądała sobie jej mieszkanie. John dołączył do Lauren, która w kuchni przygotowywała kawę.

- Chcę cię prosić o ogromną przysługę - powiedział.

Licząc cicho łyżeczki kawy, zapytała:

- Jakiego rodzaju przysługę?

- Chciałbym, żebyś została z Amy u mnie, kiedy mnie nie będzie.

Trochę kawy rozsypało się na blat, kiedy raptownie odwróciła głowę.

- Nie będzie cię? Dokąd się wybierasz?

- Trzeba podpisać kontrakt z firmą braci Status, a to oznacza wyprawę do Kaliforni. Odłożyłem to do wtorku, więc mogę najpierw pojechać do San Francisco, żeby porozmawiać z matką Amy. Nie mogę zostawić Amy zupełnie samej na cały czas mojej nieobecności.

- i tutaj jest rola dla mnie.

Wziął ją za rękę i odwrócił. Stali naprzeciwko siebie.

- Lauren, muszę ustalić pewne rzeczy z Martine. Opieka nad Amy nie jest czymś, co można omówić przez telefon.

- Czy spodziewasz się, że będzie ci robić trudności?

Wzruszył ramionami.

- Nie będę tego wiedział, dopóki z nią nie porozmawiam osobiście.

Z naturalną poufałością kochanka przeczesał palcami jej włosy. Ujął jej głowę, przyciągnął do siebie. Przelotnie musnął jej usta, potem wyprostował się.

- Parę najbliższych dni z Amy pozwoli ci przekonać się, czy masz ochotę zaangażować się w pełną rodzinę.

- John, znowu naciskasz.

Westchnął.

- Wiem - powiedział opierając czoło o jej twarz. Gdybym mógł, naciskałbym jeszcze mocniej. Usta drgnęły mu w lekkim uśmiechu. - Ale może do tego przywykniesz.

Następnego ranka, zanim złapał samolot, podrzucił Amy do przedszkola i tam ustalił, że Lauren odbierze dziecko. Przekonany, że pomyślał o wszystkim, wsiadł na pokład

samolotu, zdecydowany porozmawiać o córce ze swoją . była żoną.

Zadzwoił do Lauren wieczorem, później niż zamierzał. W jego głosie brzmiało ogromne zmęczenie. Zapytał, jak minął jej dzień.

Sadowiąc się wygodnie na jego łóżku, podłożyła sobie poduszkę pod plecy. Mocno ścisnęła słuchawkę, pragnąc być bliżej niego.

- Amy była rozczarowana, że nie mogła rozmawiać z tobą dzisiejszego wieczoru, ale. wytłumaczyłam jej, że na pewno byś zadzwonił, gdybyś tylko mógł. Jesteś w San Francisco czy w Los Angeles?

- W Los Angeles. Nie zastałem Martine w domu. Sąsiedzi powiedzieli, że wyjechała dziś rano. Wyszła z domu z walizką. Pozostało mi tylko porozumieć się z jej adwokatem i powiedzieć mu, że mój adwokat będzie z nim w kontakcie w sprawie przejęcia praw rodzicielskich. Czeka nas przesłuchanie.

Lauren wiedziała, że takie przesłuchanie będzie konieczne, ale nie chciała o tym rozmawiać. Kiedyś sama występowała w ,takich przesłuchaniach i nie był to dla niej ulubiony temat konwersacji.

- Na lodówce są dwa nowe obrazki - powiedziała. - Albo będziemy musieli kupić większą lodówkę, albo znaleźć inne miejsce do wystawiania dzieł sztuki Amy.

Niezadowolenie Johna zmniejszyło się nieco, kiedy usłyszał, że powiedziała "my" zamiast "ty". Świadomie czy nieświadomie, automatycznie włączała się w decyzje, jakie należało podjąć w jego gospodarstwie. Poluźnił napięte mięśnie grzbietu. Może wszystko nie przedstawiało się aż tak beznadziejnie, jak mu się wcześniej wydawało.

Raptownie zmienił temat.

- Z którego aparatu rozmawiasz?

- Z tego w twojej sypialni.

Nastąpiła krótka cisza.

- Jesteś w łóżku?

- Uhm. Miałam właśnie zgasić światło, kiedy zadzwoniłeś.

- Zrób tak - powiedział. Była w jego głosie jakaś szorstkość, która nie miała nic wspólnego z poleceniem, za to miała wiele wspólnego ze zmysłowością.

W pierwszej chwili Lauren nie zrozumiała, czego chce. Kiedy dotarło to do niej, przytrzymała słuchawkę przy lampie, tak żeby mógł usłyszeć odgłos wyłączanego przycisku.

- Światło zgaszone - powiedziała. - Leżę od strony telefonu.

- Od tej strony ja zwykle śpię - mruknął. Uśmiechnęła się.

- Czy chcesz, żebym się przesunęła?

- Nie, zostań tam, gdzie jesteś. Byłabyś w tym samym miejscu, gdybym ja tam był.

Zamknęła oczy, poczuła zalewającą ją falę gorąca.

- Chciałabym, żebyś teraz tutaj był.

Wyrwał mu się głęboki jęk.

- Do diabła, ja też. Jeśli się nie rozłączę, będę w jeszcze gorszym stanie niż w tej chwili. Lubię wyobrażać sobie ciebie w moim łóżku. Tam właśnie jest twoje miejsce. Ale dobija mnie myśl, że nie mogę być tam z tobą. Wzdychając ciężko, dodał:

- Kocham cię, Lauren. Dobranoc.

Poczuła wilgoć pod powiekami, mocno zacisnęła oczy.

- Dobranoc, John. Ja też cię kocham.

Po odłożeniu słuchawki Lauren zwinęła się, przyciskając do siebie poduszkę, która nie mogła zastąpić kochanego mężczyzny. Gdyby odmówiła poślubienia go, miałyby przed sobą jeszcze wiele takich samotnych nocy. Małżeństwo z nim mogło oznaczać niepewną przyszłość; ale bez niego nie widziała

dla siebie w ogóle żadnej przyszłości.

Rano Lauren wyszła na tyle wcześniej, żeby odstawić Amy do przedszkola i zjawić się w pracy na czas. Naprawdę sprawiło jej przyjemność przygotowywanie Amy śniadania, namawianie jej do jedzenia i odpowiadanie na niezliczone pytania, jakie dziecko jej zadawało, gdy w łazience Johna robiła sobie makijaż. Odprowadziła Amy do przedszkola, pochyliła się, żeby ją pocałować i obiecać, że przyjedzie po południu, żeby zabrać ją do domu. Przyglądała się Amy biegnącej do sali z dziwnym poczuciem dumy, jakby to było jej własne dziecko.

Kiedy wróciła do biura po lunchu, zastała wiadomość, żeby natychmiast zadzwonić do przedszkola. Serce podeszło jej do gardła, wykręciła numer i niecierpliwie czekała, aż ktoś odbierze telefon.

Po trzecim dzwonku odezwała się jakaś kobieta.

Lauren przedstawiła jej się i powiedziała, że dostała wiadomość, aby się skontaktować.

- Czy z Amy wszystko w porządku?

Głos kobiety był spokojny i pewny.

- Amy ma się dobrze. Dzwoniłam z innego powodu, panno McLean. Otóż dziś rano przyszła jakaś kobieta i utrzymywała, że jest matką Amy. Chciała wziąć dziecko ze sobą, ale jak pani wie, nie oddajemy dziecka nikomu, kto nie ma upoważnienia rodziców. Dziecko powierzył nam pan Zachary, który wymienił tylko siebie samego i panią jako odpowiedzialnych za Amy Zachary.

Strach jak drzazga zakłuł ją w żołądku.

- Czy tamta kobieta podała swoje nazwisko?

- Powiedziała, że jest panią Zachary, ale kiedy poprosiłam ją o jakiś dokument, okazała prawo jazdy na inne nazwisko. Figurowała w nim Martine Termaine. Kobieta zamilkła, a potem



dodała:

- Problem polega na tym, że ta pani zapowiedziała, że wróci z policją, panno McLean. Powiedziała, że ma prawo do opieki nad dzieckiem. Byłoby nad wyraz przykre dla innych dzieci, gdyby w przedszkolu pojawili się policjanci.

- Zaraz tam będę - powiedziała Lauren, nie dając kobiecie chwili czasu na odpowiedź. Trzasnęła słuchawką, chwyciła torebkę i wybiegła z pokoju. Niecierpliwie przyciskała kilka razy guzik windy, w końcu drzwi rozsunęły się. Myśląc tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się przy Amy, nie zauważyła Simpsona wysiadającego z windy dopóki na niego nie wpadła.

- Przepraszam, panie Simpson - mruknęła usiłując obejść go, żeby wejść do windy.

- Dokąd się pani wybiera, panno McLean?

Sądzę, że przerwę na lunch mamy już za sobą.

Nie była w nastroju do wysłuchiwania jego sarkastycznych uwag.

- Mam pilną sprawę osobistą, panie Simpson.

Muszę wyjść natychmiast.

Był tak zaskoczony jej oświadczeniem, że zapomniał o zwykłym sobie protekcyjnym sposobie mówienia.

- Miała pani zamiar po prostu wyjść, nie uzgadniając tego najpierw ze mną?

Kilka osób z personelu zatrzymało się nieopodal, przysłuchując się z zaciekawieniem sprzeczce pod windą.

Dla Lauren najważniejszą rzeczą było dostać się do Atny. Jeśli musi ominąć swego nadętego zwierzchnika, zrobi to.

- To bardzo ważne, muszę wyjść natychmiast, panie Simpson. Proszę ustąpić mi z drogi.

Simpson, w najwyższym stopniu wzburzony z powodu braku poszanowania dla jego autorytetu, nie ustępował.

- Przyjdzie pani do mojego gabinetu, panno McLean. W tej chwili.

- Nie, nie przyjdę. Odepchnęła go na bok, nie zdając sobie sprawy z szerokich uśmiechów na twarzach obserwujących zajście ludzi. Weszła do windy i nacisnęła guzik na parter.

Simpson, czerwony na twarzy, wycelował w nią gruby paluch i napuszył się:

- Zwalniam panią.

- i bardzo dobrze.

Drzwi zamknęły się, ucinając dalsze ewentualne uwagi Simpsona. Lauren zapomniała o nim, jak tylko straciła go z oczu. Ani zwierzchnik, ani posada nie wydawały jej się w tej chwili ważne. Ważna była Amy.

Tego wieczoru telefon w mieszkaniu Johna zadzwonił kilka razy, potem zamilkł. Po paru minutach odezwał się znowu, rozbrzmiewając w ciemnych, pustych pokojach.

John spojrzął na zegarek. Wpół do dziesiątej.

Gdzie, u diabła, była Lauren, zastanawiał się, a niepokój ściskał mu żołądek. Setki dzikich domysłów przebiegło mu przez głowę. Może miały wypadek. Może Amy jest chora. Lauren mogła zgubić klucze od jego mieszkania. Może to Lauren się rozchorowała.

Wykręcił numer Lauren. Sygnał irytująco się powtarzał, nikt nie odpowiadał. Nie mógł znieść beznadziejnej nieświadomości. Cała jego podróż okazała się kompletną stratą czasu. Nie udało mu się spotkać z żoną, a kiedy przyjechał do Los Angeles, dowiedział się, że jeden z braci Status musiał iść nagle do szpitala na operację.

Zadzwonił na lotnisko, żeby dowiedzieć się o najbliższy samolot. W kilka minut później odłożył gwałtownie słuchawkę i zaczął chodzić po pokoju. Pech prześladował go nadal - okazało

się, nie ma żadnego lotu aż do późnych godzin porannych następnego dnia.

Wrócił do aparatu i wykręcił swój domowy numer z takim samym jak poprzednio rezultatem.

Samolot Johna po drodze do Norfolk miał krótki postój w Waszyngtonie. Zadzwoił stamtąd do firmy i ku swemu przerażeniu dowiedział się, że Lauren już u niego nie pracuje. Wykonał następny telefon, tym razem do przedszkola Amy. Usłyszał, że Lauren odebrała ją poprzedniego popołudnia. Wywołano jego lot i pozostał z pytaniami bez odpowiedzi.

Kiedy w końcu znalazł się na lotnisku w Norfolk, natychmiast udał się na parking, nie zwracając sobie głowy dalszymi telefonami. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny telefon stał się dla niego narzędziem udręki - albo nikt nie odpowiadał, albo podawano mu informacje, które tylko zaciemniały sytuację. Potrzebował działania.

Zniknęły dwie najważniejsze dla niego osoby. Musiały gdzieś być i on je odnajdzie.

Samolot wylądował późno po południu, ale zdążył dotrzeć do Raytech przed końcem godzin pracy. Jak tylko zatrzasnął za sobą drzwi swego gabinetu, znalazł się w tłumie najróżniejszych, oczekujących go ludzi. Mógł spodziewać się sekretarki.

Nawet obecność Simpsona nie była całkiem zaskakująca. Ale widok jego byłej żony, która rozsiadła się na krześle w jego gabinecie, jakby miała zamiar zapuścić tam korzenie, był ukoronowaniem dnia.

Następnego nocy Lauren usiadła na jednym z czerwonych, drewnianych krzeseł na ganku domu brata i zapatrzyła się w ciemność. Amy spała, ale Lauren nie pomyślała, żeby samej pójść do łóżka. Wiedziała, że i tak nie mogłaby zasnąć. Ciężko jej wątpliwości i niezdecydowanie. Dwa dni temu, idąc za

głosem instynktu, zabrała Amy z przedszkola, uniemożliwiając jej odejście z matką.

Teraz zastanawiała się, czy dobrze zrobiła.

Z punktu widzenia prawa nie do niej należała decyzja, co jest najlepsze dla Amy. W rzeczywistości po prostu porwała dziewczynkę, wywiozła ją nie tylko z Norfolk, ale i ze stanu Wirginia. Wtedy myślała o ukryciu Amy do czasu powrotu Johna. Gdyby jego była żona zabrała Amy z powrotem do Kalifornii, wydobycie jej legalnymi kanałami mogłoby zabrać mu dużo czasu.

Była tak głęboko pogrążona w myślach, że nie słyszała ani odgłosu kół na zwirowanym podjeździe za domem, ani kroków na piaszczystej dróżce. Zorientowała się, że ma gościa dopiero wtedy, kiedy zobaczyła wyłaniającą się z mroku sylwetkę. Ktoś zatrzymał się przy schodkach.

John, ubrany w dżinsy i niebieską koszulę, położył rękę na poręczu ganku i powiedział zdawkowym tonem:

- Mocno byłaś zajęta przez ostatnich parę dni. Lauren zerwała się z krzesła i rzuciła mu się w ramiona, o mało go nie przewracając. Objął ją i mocno przytulił jej szczupłe ciało.

Wystarczyło mu tylko trzymać ją w objęciach, wiedzieć, że nic jej się nie stało. Poczuł wilgoć na swoim policzku i rozluźnił uścisk, żeby przyjrzeć się jej twarzy. Łzy błyszczały na rzesach, kiedy podniosła oczy, odwzajemniając jego spojrzenie. Scałował je, a potem, nagle spragniony, całował jej usta.

Kiedy ukryła twarz na jego szyi, wziął ją na ręce i usiadł na krześle, sadowiąc ją sobie na kolanach. Jego ręka powędrowała w stronę obnażonego uda, potem pogładziła jej biodra.

- Dobry Boże, Lauren. Jesteś prawie naga.

- Nie spodziewałam się towarzystwa.

Tylko jego koszula i jej cienka bielizna nocna rozdzielały ich

piersi. Całą siłą woli odwracając uwagę od myśli, jak dobrze jest ją dotykać, zapytał:

- Jak się ma Amy?

- Pogubiła się w tym wszystkim.

- To zrozumiałe. Nigdy dotąd nie była porwana - cicho zachichotał.

Lauren odsunęła się nieco od niego i przyjrzała mu się ze zdziwieniem.

- Lekko to wszystko bierzesz. Dlaczego?

Naturalnie poufałym gestem położył rękę na jej nagim udzie i pozostawił ją tam.

- Czy spodziewałaś się, że będę zły?

- Była taka możliwość - powiedziała lekko drżącym głosem.

- Przyznaję, że byłem cokolwiek zły, kiedy wydzwaniałem do domu, a ty nie odpowiadałaś. Wtedy się zdenerwowałem. Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie i nie powiedziałaś, co się dzieje?

- Nie wiedziałam, gdzie się zatrzymałeś.

- Moja sekretarka wiedziała.

Rzuciła spojrzenie na guzik jego koszuli, którym się bawiła. Przyznała dość potulnie:

- Nawet nie pomyślałam, żeby ją zapytać.

- Trochę w tym mojej winy. Tak się śpieszyłem, żeby ustalić wszystko z Martine, że nie pomyślałem, żeby zostawić ci telefony, pod którymi mogłaś mnie złapać w San Francisco i w Los Angeles.

- Wiesz, dlaczego przywiozłam Amy tutaj?

Twoja była żona chciała ją zabrać z powrotem do San Francisco - zamilkła na chwilę. - Nie mogłam się tylko domyślić, skąd ona wiedziała, gdzie jest Amy.

Westchnął.

- Pani Murray jej powiedziała. Martine zadzwoniła do biura i pani Murray nie mogła jej nie powiedzieć.

- A więc nie mogłam jej pozwolić, żeby zabrała Amy w czasie twojej nieobecności. Zostawiłeś ją pod moją opieką. Po prostu nie mogłam pozwolić, żeby twoja była żona ją zabrała.

- Martine dostała to, czego chciała.

Lauren wyczuła napięcie i złość w jego głosie.

- Teraz ja się pogubiłam. Myślałam, że chce Amy. Przecież nie ma Amy.

- Posłużyła się Amy, żeby dostać to, po co naprawdę przyjechała. Właśnie dlatego nie zjawiłem się tu wcześniej, musiałem czekać, aż otworzą banki. Spotkałem się z Martine u mojego adwokata dziś rano, żeby podpisać dokumenty stwierdzające, że Amy prawnie należy do mnie. Mój adwokat nie był zachwycony, kiedy wczoraj wyciągnąłem go z łóżka w środku nocy, żeby zatrudnić go przy papierach. Kiedy dokumenty zostały podpisane, odwiozłem Martine na lotnisko. Nareszcie byłem wolny i mogłem przyjechać tutaj, żeby odnaleźć moje zaginione kobiety.

Lauren chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się.

Chcąc skłonić ją, by wypowiedziała, co ma na myśli, zapytał:

- Co mówisz?

- Chciałam cię zapytać, czy musiałeś zapłacić swojej byłej żonie, zanim podpisała dokumenty dotyczące opieki nad dzieckiem, ale wydaje mi się, że to nie moja sprawa.

- Masz dziwne pomysły na temat tego, co jest a co nie jest twoją sprawą - powiedział rozbawiony. - Uciekasz z moją córką, tracisz pracę, a potem wstydzisz się pytać o porozumienie, jakie zawarłem z moją byłą żoną.

- W porządku. Uznaj, że zadałam to pytanie.

Przesunął twarzą po jej szyi, rozkoszując się subtelnym zapachem jej skóry.

- Warto było zapłacić każdą cenę.

- Czy pogorszyłam sprawę, zabierając Amy?

- Martine nie potrafiła tego właściwie ocenić, ale ja owszem

- zdjął rękę z jej uda i ujął jej twarz. - W jaki inny sposób mógłbym się dowiedzieć, że jesteś moją narzeczoną?

- Ach, tamto - opuściła wzrok.

- Tak, tamto - pogłaskał jej szyję, jego palce pozostawiły za sobą smugę gorąca. - Wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy Martine powiedziała mi, że moja narzeczoną zabrała Amy z przedszkola, zanim ona wróciła tam ze stróżami prawa.

Jego dotknięcie odwracało uwagę Lauren od jego słów. Zamiast tego koncentrowała się na swoich odczuciach.

- Przypuszczam, że to kobieta w przedszkolu powiedziała twojej byłej żonie, jak się przedstawiłam.

- Nie zgłaszam skarg, Lauren - przesunął ustami po jej wargach, chwytając dolną zębami. - Ale mnie to intryguje. Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć, że chcesz wyjść za mnie za mąż?

Po wszystkich swoich wcześniejszych protestach względem małżeństwa Lauren poczuła się głupio. Wyglądałoby jeszcze śmieszniej, gdyby próbowała zaprzeczać swoim odczuciom w tej sprawie.

- Ostatecznie oswoiłam się z tą myślą. Nadal mam swoje zastrzeżenia co do małżeństwa, ale bardziej przeraża mnie myśl, że miałabym żyć bez ciebie. Może inni też mają podobne odczucia. To jest ryzyko, ale muszę je podjąć. Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie jego głowę.

- Pocałuj mnie. Tęskniłam za tobą.

Przyjął jej zaproszenie. Rozwarł językiem Jej wargi.

Złakniony, całował ją z całej siły. Nagle oderwał się i wstał, podnosząc ją w ramionach.

Westchnęła zdziwiona.

- Co robisz?

- Zabieram moją narzeczoną do łóżka.

Kiedy niósł ją po schodach do sypialni, ścisząc głos zapytała:

- A jeśli Amy się zbudzi i zacznie mnie szukać? Zastanie nas razem w łóżku.

- Może się zacząć do tego przyzwyczajać, kochanie, bo tam właśnie będzie nas zastawać każdej nocy przez resztę naszego życia.

2008 - 05 - 28

em1